



MEG WOLITZER
ŻONA

PRZEKŁAD
PAWEŁ LASKOWICZ

DOM WYDAWNICZY REBIS POZNAŃ 2005



ROZDZIAŁ PIERWSZY

W chwili, kiedy podjęłam *decyzję*, by od niego odejść, gdy wreszcie powiedziałam sobie dość, znajdowaliśmy się dziesięć tysięcy metrów nad taflą oceanu, pędząc z hukiem przed siebie, choć w iluzji bezruchu i błęgiego spokoju. Zupełnie jak w naszym małżeństwie, mogłabym powiedzieć, ale po co burzyć wszystko właśnie teraz? Siedzieliśmy w splendorze pierwszej klasy, na jakiś czas oderwani od obaw i trosk; bez żadnych turbulencji, pod jasnym niebem, a gdzieś za nami, w masce sposepniałego pasażera, siedział zapewne tajny agent ochrony lotu, może skubiąc bez apetytu orzeszki ziemne, a może dając się uwodzić trupiej prozie samolotowego czasopisma. Drinki podano jeszcze przed startem i nieco nas już zmorzyło; z wpółotwartymi ustami opieraliśmy ciężko głowy o podgłówki. Stewardesy w granatowych uniformach dreptały niestrudzenie między rzędami, z koszyczkami pełnymi łakoci, niczym useksowiony zaciąg Czerwonych Kapтурków.

- Miałby pan ochotę na ciasteczkę, panie Castleman? - zapytała słodko brunetka, pochylając się ku niemu ze szczypczykami w dłoni, a kiedy jej piersi zafalowały przed jego oczami, płynąc ku niemu i cofając się po chwili, wyczułam, jak z furkotem maszyny do ostrzenia noży rusza w nim ten sam odwieczny, niezawodny mechanizm męskiego podniecenia; widok, jakiego doświadczałam tysiące razy przez te kilkadziesiąt lat.

- A pani, pani Castleman? - kobieta zwróciła się potem do mnie, a ja odmówiłam po krótkim namyśle.

Nie chciałam jej ciasteczek. Niczego od niej nie chciałam.

Tak zmierzaliśmy do **kresu** małżeństwa, ku chwili, w której raz na zawsze, ostatecznie, wyrwę wtyczkę z gniazdka i odwrócę się od męża, z którym przez długie lata dzieliłam życie. Tak zmierzaliśmy do Helsinek w Finlandii, ku miejscu, o którym nikt nawet nie pomyśli, jeśli nie przyjdzie mu posłuchać Sibeliusa, poleżeć na rozgrzanych, mokrych deskach sauny lub pożywić się potrawką z renifera. Kiedy ciasteczka wreszcie rozdano, a chętnych uraczono drinkami, ze skrytek pod sufitem wysunęły się monitory wideo. Nikt w samolocie nie myślał już o śmierci, jak wcześniej, kiedy wszystkie dusze i umysły na pokładzie - te w klasie ekonomicznej, te w biznesowej i tych kilku wybranych - spętane traumą ryku, traumą woni spalanego paliwa i chóralnego jęku furii uwięzionych w silnikach, zespoliły się w wielkim wysiłku woli, pragnąc unieść samolot w chmurę, tak jak zahipnotyzowane medium pragnie wygiąć metalową łyżeczkę.

Oczywiście łyżeczka wygina się za każdym razem; jej dzióbek opada niczym wędnący tulipan z ciężką główką. Samolotom nie zawsze udaje się wzbić w powietrze, ale tego wieczoru się udało. Zadowolone mamy wyjęły już dla swych pociech kolorowe książeczki i płatki „Cheerios” w plastikowych torebkach z pylistym osadem na dnie. Biznesmeni otworzyli laptopy, uruchomili je i czekali, aż na drgających monitorach ustabilizuje się obraz. Nasz tajny agent, jeśli rzeczywiście był na pokładzie, zapewne coś chrupał, przeciągał się bądź poprawiał broń pod poliestrowym, trzaskającym kocykiem. Nasz samolot wlatywał, wzbijał się w niebo, aż zawisł gdzieś na planowanej wysokości i cicho sunął dalej naprzód, a ja zdecydowałam ostatecznie: odchodzę. Na pewno. Bez odwołania. Na sto procent. Trójka naszych dzieci dawno poszła w świat. Już nic nie zmienia mojej decyzji. Już nie stchórzę.

Spojrzał nagle przez ramię, wpatrzył się we mnie i zapytał:

— Coś się stało? Wyglądasz jakoś nie tego...

- Nic się nie stało - odparłam. - W każdym razie nic, o czym warto teraz mówić — dodałam.

Uznał tę odpowiedź za zadowalającą i wrócił do chrupiących ciasteczek „Tollhouse”. Lekkie czknięcie wydeło mu na moment policzki jak rechoczącej żabie. Trudno było zakłócić spokój temu człowiekowi; posiadał wszystko, czego dusza zapagnie.

Joseph Castleman, jeden z tych, do których świat należy. Wiadomo chyba, jaki gatunek ludzi mam na myśli: te chodzące autoreklamy, somnambuliczne olbrzymy przetaczające się po globie i powalające na ziemię innych: mężczyzn, kobiety, meble, całe wioski. Co ich obchodzą inni? Wszystko należy do nich; morza i góry, drżące wulkany i bystre potoki. Występuje kilka odmian tego gatunku; Joe to odmiana literacka. Niewysoki, przysadzisty, z obwisłym brzuszkiem; pisarz, który mało sypia, uwielbia topione serki, dobre wino i whisky (specjały te wykorzystuje też do wpuszczania w krwiobieg pigułek mających sprawić, by lipidy nie tężały w nim jak kulki tłuszczu na niemytej patelni), pisarz, który umie się bawić jak mało kto, który nie ma pojęcia, jak zadbać o siebie ani jak zadbać o innych, i który wiele ze swego stylu czerpie z „Dylana Thomasa podręcznika etykiety i higieny osobistej”.

Siedział teraz obok mnie, w samolocie linii lotniczych Finnair, lot 702, i chętnie przyjmował wszystko, co usłużnie podawała brunetka, każde ciasteczko, cukierka, palonego orzeszka, jedno-razowe kapcie ze sztucznego tworzywa, parujący ręczniczek zrolowany ciasno jak Tora. Z pewnością nie odmówiłby, gdyby ta ponętna, ciasteczkowa pani obnażyła się przed nim do pasa i z powagą instruktorki poradni laktacyjnej podała mu pierś, delikatnie wsuwając sutek między jego wargi; bez cienia wątpliwości.

Z reguły mężczyźni, do których świat należy, są nadaktywni seksualnie, choć nie zawsze w odniesieniu do swoich żon. Dawno temu, w latach sześćdziesiątych, wskakiwaliśmy do łóżka przy każdej nadarzającej się okazji; niekiedy nawet podczas nudniejszych przyjęć. Barykadowaliśmy się w sypialni gospodarzy i rzucaliśmy na stos pozostawionych tam płaszczy. Wychodzący goście, by odzyskać okrycia, pukali nerwowo do drzwi, a my,

psst... tłumiąc chichot, uciszaliśmy się nawzajem i w pośpiechu dopinaliśmy guziki i zamki błyskawiczne.

Nic takiego nie zdarzyło się nam od bardzo dawna, choć ktoś, kto widziałby nas teraz w samolocie, w drodze do dalekiej Finlandii, mógłby stwierdzić, że zapewne nie mamy powodu do zmartwień i że nocami nasze niemłode ciała nadal chętnie się odszukują.

- Chcesz drugą poduszkę? - zapytał troskliwie.

- Nie. Nie znoszę tych jaśków dla lalek - odparłam. - Aha, nie zapomnij, że doktor Krentz kazał ci prostować nogi.

Wystarczyło na nas spojrzeć - Joan i Joego Castlemanów z Weathermill w stanie Nowy Jork, obecnie na miejscach 3A i 3B — aby się domyślić, dlaczego lecimy do Finlandii. Można by nam nawet zazdrościć - jemu wielkiej mocy wypełniającej każdą szczelinę otyłego, znoszonego już ciała, a mnie całodobowego dostępu do tej mocy; jakby sławny i wybitny mąż-pisarz miał być dla żony otwartym na okrągło sklepem; miejscem, do którego może w każdej chwili wejść, by zaczerpnąć Wielki Łyk niezrównanego intelektu, błyskotliwego dowcipu i głębokiej emocji.

Ludzie zwykle sądzili, że dobrana z nas para, i wydaje mi się, że kiedyś, dawno temu, bardzo, bardzo dawno temu, kiedy na chropowatych ścianach w Lascaux powstawały pierwsze szkice, kiedy ziemia była jeszcze niezmierzona i niezbadana, kiedy wszystko jeszcze tchnęło nadzieją, wtedy tak, to mogła być prawda. Bardzo szybko jednak ze wzlotu i chwały młodzieńczej miłości przenieśliśmy się w ciemnozielone, bagienne wodorosty tego, co delikatnie nazywa się „latami późniejszymi”. Choć mam już sześćdziesiąt cztery lata i dla mężczyzn jestem widoczna nie bardziej niż drobiny kurzu w powietrzu, to kiedyś byłam zgrabną blondynką z dużym biustem, obdarzoną przy tym pewną nieśmiałością, która przyciągała Joego jak miód pszczołę.

Niestety, wcale sobie nie schlebiam; Joego kobiety przyciągały zawsze, kobiety wszelakiego autoramentu, i to od pierwszej chwili, kiedy w 1930 roku przyszedł na świat przez aerody-

namiczny tunel dróg rodnych swej matki. Lorna Castleman, teściowa, której nigdy nie poznałam, była kobietą z dużą nadwagą, sentymentalnie rozpoetyzowaną, władcą i nadopiekuńczą, darzącą syna miłością przeznaczoną wyłącznie dla niego. (Patrząc z drugiej strony, część mężczyzn, do których świat należy, w ogóle nie była zauważana w dzieciństwie — zostawiano ich samych na nieprzyjaznych boiskach szkolnych, nawet bez drugiego śniadania.)

Kochała go nie tylko Lorna. Kochały go także jej dwie siostry, z którymi dzieliła mieszkanie na Brooklynie, i kochała go babunia Mims, kobieta z wyglądu przypominająca fotelowy podnózek, słynąca głównie z tego, że robiła „bezkonkurencyjny mostek wołowy”. Ojciec Joego, Martin, człowiek słaby i niezaradny, wiecznie nad czymś wzdychający, zmarł nagle na atak serca w swoim sklepie z butami, kiedy Joe miał siedem lat, rzucając syna na pastwę tej szczególnej, żeńskiej cywilizacji.

Sposób, w jaki zawiadomiły go o śmierci ojca, był doprawdy typowy. Joe wrócił ze szkoły i zobaczywszy otwarte drzwi mieszkania, wszedł do środka. Nie zastał nikogo, co było nie do pomyślenia w domostwie, w którym zawsze zdawała się kręcić ta czy inna kobieta, zwykle przygarbiona i zapracowana jak krasnoludek. Joe usiadł przy kuchennym stole i zajął się kawałkiem miękkiej jak gąbka, słodkiej babki; rozmarzony, jak to dzieci, nieobecny wzrokiem, z konstelacją okruszków na brodzie i wargach.

Wkrótce drzwi się otworzyły na oścież i do mieszkania wtoczyły się panie. Najpierw Joe usłyszał płacz, chlipanie i wymowne dmuchanie w chusteczki. Potem, jak na zawołanie, wszystkie jednocześnie zjawiły się w kuchni i stłoczyły ciasno wokół stołu. Ich policzki płonęły, zaczerwienione oczy zaszczyły łzami, a zwykle pieczołowicie pielęgnowane fryzury teraz straciły kształt. Wiedział już, że rozegrał się jakiś dramat, i poczuł, jak podniecenie ściska mu żołądek; początkowo nawet było to przyjemne, ale wkrótce miało się gwałtownie zmienić.

Lorna Castleman uklękła przed krzesłem, na którym siedział syn, jakby miała zamiar się oświadczyć.

- Och, och, mój dzielny, mały chłopczyku — wydusiła z siebie ochrypłym szeptem, delikatnie strząsając okruchy ciasta z jego warg. - Zostaliśmy już tylko my.

Nie inaczej; zostali już tylko oni, jeden chłopak i same kobiety. W tym żeńskim świecie Joe mógł polegać tylko na sobie. Ciotka Lois, stara hipochondryczka, całymi dniami nie rozstała się z domową encyklopedią medyczną, zgłębiając zmysłowe nazwy kolejnych schorzeń. Ciotka Viv, owładnięta niesłabnącą obsesją na punkcie mężczyzn, zachowywała się w ich towarzystwie dwuznacznie, kręciła się jak fryga, byle pokazać wąski pas pleców spod niedopiętego zamka błyskawicznego w sukni. W środku tego wszystkiego malutka i stareńka babcia Mims, dzierżąca w kuchni berło władzy, triumfalnie wyrwijąca z pieczenia termometr do mięs, jakby to był co najmniej Ekskalibur.

Joe błąkał się po tym mieszkaniu niczym rozbitek z wraku, którego nawet dobrze nie pamiętał, w poszukiwaniu podobnych mu niepamiętających rozbitków. Ale takich nie było; był tylko on, jedyny, ukochany chłopczyk, który niebawem dorośnie i stanie się zdrajcą, jednym z wielu mocno skropionych wodą kolońską nikczemników i kanalii. Lornę zdradził mąż przedwczesną śmiercią, która nadeszła bez zapowiedzi i bez ostrzeżenia. Ciotkę Lois zdradziły jej własne zmysły, brak doznań, to, że nigdy w życiu nie poczuła nic do żadnego mężczyzny, jeśli nie liczyć Clarka Gable'a (choć i to na odległość), jego szerokich ramion i odstających uszu, łatwych do uchwycenia zębami w czasie miłosnych uniesień. Ciotkę Viv natomiast ustawicznie zdradzały całe pułki mężczyzn, niewyspanych, seksownych, rozrywkowych, którzy telefonowali do niej o każdej porze dnia i nocy albo przysyłali listy zza mórz, gdzie akurat przyszło im stacjonować.

Kobiety otaczające małego Joego nosiły w sobie złość i żal do wszystkich mężczyzn. Mocno się tego trzymały, ale jednocześnie zgodnie powtarzały, że chłopca te urazy nie dotyczą. Jego jednego kochały, choć trudno mówić o nim jako o mężczyźnie; niewysoki, bystry chłopczyk, z genitaliami przywodzą-

cymi aa myśl co najwyżej marcepanki, z ciemnymi, dziewczęcymi lokami, cennym darem płynnego czytania i objawioną nagle po śmierci ojca niemożnością zaślnięcia. Wieczorami Joe przewracał się niespokojnie z boku na bok, próbując myśleć o czymś lekkim i przyjemnym, o baseballu albo przeczytanej ostatnio wesołej książce, ale nieodmiennie przed oczami stawał mu w końcu ojciec — unosił się na podniebnej, puszystej chmurce i smutnie wyciągał ku niemu pudełko z parą eleganckich skórzanych butów.

Zwykle około północy Joe poddawał się mocy bezsenności. Wstawał z łóżka i przechodził do ciemnego pokoju bawialnego, gdzie siadał na środku wytartego dywanu i samotnie grał w pchełki. Na tym samym dywanie siadał w ciągu dnia, u stóp swych kobiet, gdy zmęczone zrzucały pantofelki i rozsiadały się na kanapie. Słuchając ich nie kończących się i nakładających na siebie opowieści, czuł, że jakimś niepisanym prawem on tu jest panem i zawsze nim będzie.

Kiedy Joe opuścił dom, mógł z ulgą stwierdzić, że jest wreszcie człowiekiem wolnym, ale także w pełni wyedukowanym. Wiedział o kobietach niejedno: o ich westchnieniach, bieliźnie, comiesięcznej bolesnej niedyspozycji, dzikim łaknieniu czekolady, ciętych uwagach, różowych lokówkach ze szpikulcami, a także o nieubłaganej linii czasu rysującej się na kobiecym ciele, którego zdążył zobaczyć już każdy szczegół. Wszystko to będzie mu dobrze znane, gdy spotka kobietę swego życia. Wiedział, że będzie musiał patrzeć, jak z biegiem lat ulega przemianom, aż wreszcie zapada się w sobie; i nic na to nie będzie mógł poradzić. Jasne, teraz może być powabna i podniecająca, ale przyjdzie czas, gdy będzie tylko dostarczycielką mostków wołowych. Postanowił więc nie pamiętać tego, co poznał, udawać, że cała ta wiedza nie przebiła się do jego doskonałej głowy. I tak zostawił za sobą ów babski teatr, ruszył przed siebie i wsiadł do trzęsącego pociągu, który zgarnia ludzi z wszystkich mniejszych dzielnic i wwozi ich wprost w fascynujący chaos jedynej dzielnicy, która się naprawdę liczy: Staten Island.

To tylko żart, oczywiście.

Manhattan, rok 1948. Joe wyłania się z kłębów pary nowojorskiego metra i wkracza w mury Columbia University, gdzie poznaje podobnych mu, inteligentnych i wrażliwych chłopaków. Jako główny kierunek studiów wybiera angielski. Niebawem trafia do redakcji studenckiego pisma literackiego, gdzie niemal z marszu publikuje opowiadanie o staruszce wspominającej dawne lata życia w jakimś zapadłym, rosyjskim siole (robaczywe ziemniaki, odmrożone palce u nóg i tak dalej, i tak dalej...). „Opowiadanie żałosne i mizernie napisane”, wytkną później krytycy badający młodzieńczą twórczość Joego. Chociaż nieliczni podkreślali, że już wtedy dała się zauważać bujność prozy Castlemana. Joe drży z podniecenia, kocha nowe życie, uwielbia gorączkową atmosferę studenckich wypraw do Ling Pałace w Chinatown i smak pierwszych krewetek w pikantnym sosie sojowym - pierwszych krewetek w ogóle, jakichkolwiek, bo prawdę mówiąc, nic, co miało za dom kruchą skorupkę, nie trafiło dotąd do ust Joego Castlemana.

Ust, które niebawem zaznają też warg i języka pierwszej kobiety, a których właściciel, w niedługim czasie, z chirurgiczną precyzją usuwania zęba, zostanie pozbawiony dziewictwa. Zabieg przeprowadza dziewczyna biedna, ale o wielkim temperamencie, Bonnie Lamp, studentka Barnard College, gdzie, jak twierdzi Joe i jego koledzy, otrzymała stypendium za celujące wyniki w nimfomanii. Joe jest zauroczony tyleż sarnooką Bonnie Lamp, ile naturą nie znanego mu dotąd, zachwycającego aktu seksualnego. A poprzez skojarzenie jest też zauroczony samym sobą. No bo dlaczego nie? W końcu wszyscy inni też poddają się jego urokowi.

Gdy kocha się z Bonnie, wchodząc w nią mocno i wolno wychodząc, jest pod wrażeniem krótkich, rytmicznych plaśnień, jakie wydają dopasowujące się części ich ciał, jakby gdzieś w oddali stukwały po miękkim linoleum wysokie obcasy jakiejś sekretarki. Fascynują go też inne odgłosy, jakie, już samodzielnie, wydaje z siebie Bonnie Lamp; w czasie snu zdaje się mru-

czeń jak kotka. Spogląda na nią z czułością, ale i protekcyjnie, wyobrażając sobie, że dziewczyna śni o kłębkku wełny i miseczce mleczka.

„Kłębek wełny, miseczka mleczka i ty”, myślał, zakochany w słowach, zakochany w kobietach. Fascynują go ich uległe, giętkie ciała, wszystkie te wyniosłości i obfitości. Nie mniej fascynuje go własne ciało. Kiedy mieszkający z nim kolega wychodzi do miasta, Joe zdejmuje ze ściany lustro i długo się w nim przegląda: klatka piersiowa, tu i ówdzie obsypana ciemnym włosiem, tors i członek, nadspodziewanie duży, jak na osobę tak niską i krępa.

W wyobraźni przywołuje chwilę swego obrzezania sprzed tyłu lat; widzi siebie, jak szamocze się bezradnie w silnych ramionach brodatego mężczyzny, jak aprobejuje w buzi koniuszek jego grubego palca umoczonego w koszernym winie, a potem wsysa się w ten palec dziko, jakby z niego chciał wyssać nie istniejącą ciecz, ale czuje tylko miękką kopułkę opuszka, pozbawioną dziurek bijących matczynym mlekiem. Jednak obraz słodkiego wina, sączącego się wolno w jego gardle, upaja go, zaciera skupione wokół niego dumne i wzruszone twarze. Jego ośmiiodniowe oczęta zamykają się powoli, potem otwierają i znowu zamykają, a osiemnaście lat później budzi się; dorosły mężczyzna.

Czas mija szybko. Po uzyskaniu bakalaureatu Joe Castleman zostaje w Columbia University na studiach magisterskich i w tym czasie dostrzega zmiany w otoczeniu. Nie chodzi weale o zmiany pór roku ani o powstające jak grzyby po deszczu nowe budynki, obrysowane pnącymi się rusztowaniami. Nie chodzi też o spotkania sympatyków socjalizmu, w których Joe coraz częściej bierze udział, choć nienawidzi wspólnoty i nie znosi być częścią grupy, nawet dla sptawy, którą szczerze wspiera, jak było w tym przypadku; siedzi więc po turecku na czyimś podpleśnianym dywanie i słucha, chłonie informacje, ze swej strony nie oferując niczego. I nie chodzi o coraz głośniejszą nowojorską bohemę wczesnych lat pięćdziesiątych, która prowadzi Joego

do ciasnych i przyciemnionych wnętrz klubów bongo, gdzie poznaje i na całe życie pokochuje smak skręcanej trawy. Chodzi o to, że cały świat staje przed nim otworem, niczym gigantyczna ostryga rozchyła przed nim swą muszlę, a on wkracza do jej wnętrza, zaciekawiony dotyka gładkich krawędzi jamy, idzie i znikną skąpany w srebrnej poświacie.

Były w naszym małżeństwie chwile, kiedy Joe wydawał się nieświadomy własnej siły. W tych chwilach był najlepszy, wznosił się na wyżyny. Gdy osiągnął wiek średni, był już wielki, spokojny i nie dbał o wygląd; chodził w beżowym sweterku rybakim, który nie tuszował mu brzuszka, lecz przeciwnie: delikatnie, z pobłażliwością go podkreślał, pozwalając kołysać nim lekko w marszu, gdy Joe wchodził do salonów, restauracji, sal wykładowych lub kiedy pojawiał się w sklepie Schuylera w naszym Weathermill, gdzie odnawiał zapasy „Śnieżek”; bladoryżowych słodkich pianek obtoczonych w kokosowych wiórkach, którymi, nie wiedzieć czemu, nałogowo się objadał.

Wyobraźmy sobie, jak w sobotnie popołudnie Joe Castleman kupuje u Schuylera swoje ukochane łakocie — świeżutkie, opakowane w szeleszczący celofan — i jak dobrotliwie poklepuje po głowie artretycznego psa sklepikarza.

— Dzień dobry, Joe — wita go Schuyler, człowiek stary i cheralawy, o ciemnoniebieskich, płaczkliwych oczach. — Jak robota?

— Och, Schuyler, staram się jak mogę, jeśli chcesz wiedzieć — odpowiada, wzdychając głęboko. — Czyli idzie nie za bardzo.

Joe znakomicie potrafił okazywać zwątpienie we własne siły. Pijany czy trzeźwy, wychwalany przez krytykę czy besztany, kochany czy odrzucany, przez większość lat pięćdziesiątych, przez całe lata sześćdziesiąte, siedemdziesiąte, osiemdziesiąte i w początkach lat dziewięćdziesiątych zawsze umiał być człowiekiem wrażliwym i udręczonym. A co było źródłem jego udręki? W przeciwieństwie do starego przyjaciela, wybitnego powieściopisarza Leva Bresnera, człowieka ocalałego z Holocaustu, skrupulatnego kronikarza własnego dzieciństwa spędzonego w obozie śmierci, Joe w zasadzie nie miał kogo za co ob-

winiać. Lev, ze swymi przepaścistymi, błyszczącymi oczami mógłby dostać Nagrodę Nobla nie w dziedzinie literatury, lecz smutku. (Choć ceniłam Leva Bresnera, to nigdy nie uważałam, że jego powieści rzeczywiście są tym, czym objawiały się w powszechnie głoszonych peanach; jednak wypowiedzenie głośno takiej opinii, choćby na przyjęciu z przyjaciółmi, wzbudziłoby taką samą reakcję, jak publiczne oświadczenie, że „lubię dotykać gołych chłopców”.) To nie pisarstwo Leva, lecz sam temat wywoływał dreszcze, opór i lęk, gdy się przewracało kolejne strony jego książek.

Lev był człowiekiem autentycznie zmęczonym i udręczonym. Dawno temu, kiedy Joe i ja często jeszcze przyjmowaliśmy gości, przyjeżdżał do nas na weekendy z żoną Toshą, kładł się na sofie w salonie i przykładał do czoła lód, a ja dyskretnie uciszałam dzieci, kazałam im zabierać z pokoju hałaśliwe zabawki; lalkę dukającą monotonnym głosem słowa miłości czy drewnianego pieska, który klekotał niemiłosiernie, gdy się go ciągnęło na sznurku.

— Lev chce odpocząć — tłumaczyłam dzieciom. — Idźcie na górę, dziewczynki. Ty też, Davidzie.

Dzieciaki stały jeszcze chwilę przy schodach, nieporuszone, jakby sparaliżowane.

— No, już, już... — ponaglałam je i w końcu wchodziły na schody.

— Dziękuję ci, Joan - mruczał Lev swoim ciężkim głosem z obcym akcentem. - Jestem śmiertelnie znużony.

Mówił tak i było mu wolno tak mówić. Levowi Bresnerowi wiele było wolno.

Tymczasem Joe Castleman nie mógł powiedzieć, że jest śmiertelnie znużony; bo czym? Życie, inaczej niż Levowi, oszczędziło mu traumy Holocaustu. Kiedy hitlerowskie zastępy maszerowały przez odległy kontynent, Joe - słodki, czarujący chłopczyk - grał z mamą i ciociami w kierki w rodzinnym domu na Brooklynie. Później, gdy wybuchła wojna koreańska, Joe w czasie ćwiczeń na poligonie przypadkowo postrzelił się w nogę

z własnego M-1. Przez dziesięć następných dni pielęgniarki w lecznicy wojskowej cierpliwie znosiły jego zachcianki, a on codziennie zgarniał z niesmakiem kożuch z budyniu tapiokowego. Wreszcie został wypisany i odesłany do domu.

Nie, nie mógł winić wojny za to, że nie czuł się szczęśliwy. Więc winił matkę, kobietę, której nie znałam, ale którą w ciągu tych wspólnych lat Joe opisał mi w najdrobniejszych szczegółach.

Jedno wiedziałam na pewno; Lorna Castleman, w przeciwieństwie do siostr i matki, była kobietą po prostu grubą. Kiedy jest się dzieckiem, otyłość matki może dawać przyjemne poczucie bezpieczeństwa, ba, nawet powody do chluby. Świadomość, że ma się największą mamę na świecie, rozpala twarz rumieńcami dumy. O matkach innych dzieci, cienkich jak krewetka, do których trudno się przytulić, myśli się wtedy z poczuciem wyższości i niesmaku.

Te uczucia, twierdził Joe, przenoszą się z upływem czasu na ojca. Ojciec powinien być jak największy i jak najsilniejszy; takie wielgachne i barczyste cudo, zabierające cię do biura, sklepu, wszędzie tam, gdzie spędza większość swych ponurych, męskich dni, unoszące cię w górę jak piórko i zostawiające kobietom podtykanie ci pod nos włochatych, kwaskowych plastrów, które mało kto lubi: ananasów. Ojciec powinien być źródłem mocy; możesz nie zwracać uwagi na rosnącą nad jego czołem błyszcząca łysinę, na głośne odchrząkiwania nad talerzem, gdy pochłania codzienną porcję smażonej wątróbki. Może być cichy i uległy, ale i tak jest silny jak zwierzę pociągowe, a kiedy sika, to wpadający w muszlę strumień bije hałaśliwie w wodę, wydając dźwięczne odgłosy, niczym strugi, które wiją się cudownie ulicami Brooklynu.

Tymczasem gruba matka zaczyna przerażać - oto kobieta, która potrafi się wgrzyźć w czekoladowy torcik Ebingera z zielonego, przezroczystego pudełka, w jego połukrowany wierzch i czarne nadzienie, i pochłonać go w dziesięć minut bez problemu i bez najmniejszego poczucia wstydu. Czujesz, że mat-

ka, z którą spacerowałeś za rękę po okolicy, teraz irytuje i budzi wstręt; wypudrowana, wyperfumowana, wielka, stateczna i nobliwa; chodząca kanapa.

Był czas, gdy kochałeś ją do szaleństwa, chciałeś się z nią zeńzić, usiłowałeś odgadnąć, czy to w ogóle jest możliwe, a jeśli tak, to wyobrażałeś sobie, że któregoś dnia stajesz przy niej na kobiercu, wsuwasz na jej palec złotą obtączkę i zastanawiasz się, czy będziesz jej kiedykolwiek wart. Lorna, twoja matka, w luźnej, kwiecistej sukni, kupionej w sklepie o wdzięcznej nazwie „Tania moda dla drogich pań puszystych” we Fłatbush, była dla ciebie wszystkim.

Ale teraz życie jest inne. Teraz koniecznie chcesz, aby mama była drobna, zbudowana z samych kosteczek, waziutka w pasie, krucha, delikatna i piękna jednocześnie. Dlaczego nie wygląda jak mama Manny'ego Gumperta, kobieta z klasą, o ciele drobnym jak ciało kolibra? Dlaczego po prostu nie zniknie?

Ale nie znikąca. Nie znikąca przez bardzo długi czas. Przez lata, odkąd biedny Martin Castleman wyzionął ducha w sklepie z butami, zapadając się raptem w sobie na winylowym zydelku, z dziewczęcą stopką między kolanami i pudełkiem z butami w ręku, przez wszystkie te lata Joe pozostawał sam z mamą i innymi kobietami. Matka była obecna w jego życiu do dnia, w którym poślubił pierwszą żonę, Carol. Znikła właśnie wtedy, krążąc między gośćmi weselnymi. Lekarze stwierdzili atak serca, który, podobnie jak w przypadku jej męża, spadł jak grom z jasnego nieba, czyniąc ze szczęśliwego pana młodego sierotę, w pełni świadomego dziedzicznej po rodzicach ułomności sercowej. Śmierć matki była przeżyciem przygnębiającym, ale nie tak traumatycznym jak śmierć ojca.

Muszę jednak wyznać, że kiedy usłyszałam od niego tę historię, moją pierwszą okropną myślą było: „Dobry materiał”.

Wyobrażałam sobie jego matkę na tamtym weselu, wielką i nieustraszoną kobietę o obfitych kształtach, i ciotki w szykowych sukniach, z torebkami pod pachą, i uwijających się kelnerów z tacami pełnymi tęczowych sorbetów w zmrożonych,

srebrnych szklankach; w uszach dźwięczały mi nawet klezmerskie melodie, a młoda para wirowała w tańcu.

— Czegoś jednak nie rozumiem — zapytałam kiedyś w pierwszych dniach naszego małżeństwa. - Dlaczego w ogóle się żeniłeś z Carol?

— Ty też wysłaś za mnie za mąż - odparł przewrotnie.

Rzecz jednak w tym - w każdym razie tak widział to później Joe - że Carol była wariatką. Absolutnym, klasycznym świrem z papierami z oddziału zamkniętego. O pierwszej żonie można powiedzieć to śmiało i głośno, a siedzący w pokoju mężczyźni gorliwie przytakną ze zrozumieniem; doskonale będą wiedzieć, o co chodzi. Wiadomo, pierwsze żony są szurnięte, histeryczne i porywcze - strzelają dziko oczami, wiją się jak piskorze, jęczą, buchają płomieniami, marszczą się i rozkładają w oczach. Prawdopodobnie, utrzymywał Joe, Carol była szurnięta już w dniu, kiedy się poznali; o drugiej w nocy, w jakimś zagubionym barze rodem z *Nighthawks* Hoppera, w którym każdy, kto siedzi ciężko wsparty o lśniący kontuar, zdaje się mieć do opowiedzenia tragiczną historię swojego życia i opowiedziałaby ją zapewne, gdyby tylko ktoś, na swoje nieszczęście, zgodził się jej wysłuchać.

Wówczas jednak Joe inaczej widział Carol. Dopiero co wrócił z poligonu po feralnym samopostrzale. Był samotny, otwarty na innych i kiedy tamtej nocy spotkał tę kobietę, w jednej chwili dał się porwać jej szczególnemu czarowi; dziecięcej urodzie, kasztanowatym włosom opadającym na czoło starannie przyciętą grzywką i stopom, które ledwie muskały ziemię. W smukłych, lalkowatych dłoniach trzymała grubą książkę: *Wybór pism* Simone Weil - a właściwie *Ecrits*, we francuskim oryginale. Był pod wielkim wrażeniem. Natychmiast przypomniał sobie ową jedną jedyną rzecz, jaką wiedział o Simone Weil - niewykluczone, że to tylko apokryficzna ciekawostka, ale kolega z akademika przysięgał, że to prawda.

— Czy wiesz — odezwał się do dziewczyny, Carol Welchak, która zrzędzeniem losu siedziała obok niego przy barze - że Simone Weil bała się owoców?

Wybałuszyła na niego oczy.

- Uhm, akurat...

- Serio, mówię ci, to prawda - Joe bił się w piersi. - Jak Boga kocham. Simone Weil bała się owoców. Właściwie można powiedzieć, że cierpiała na fruktofobię.

Wybuchnęli śmiechem, a ona sięgnęła po plaster pomarańczy, który leżał nieruszony na brzegu jej talerza z naleśnikiem.

- Och, Simone, *ma chérie*, nie daj się dwa razy prosić - powiedziała z francuskim akcentem. — Spróbuj tylko, jaka wyborna pomarańcza!

Joe był wniebowzięty. Co za znalezisko! Najwidoczniej świat jest pełen takich apetycznych dziewcząt, pichających się we własnym, smakowitym sosie, gorących i czekających, aż zjawi się jakiś mężczyzna, uniesie pokrywkę i zakosztuje ich woni.

- Powiedz... Co tu robisz w środku nocy? - zapytał po chwili.

Robotnik portowy siedzący obok Joego zaczął się głośno drapać po ogorzałym karku. Joe uchylił się przed jego ręką, próbując jednocześnie przysunąć się bliżej dziewczyny, ale stołki przy barze były przymocowane do podłogi.

- Uciekłam od współlokatorki - wyjaśniła krótko. - Jest harfistką. Czasem potrafi ćwiczyć całą noc. Bywa, że budzę się o bladym świetle i przez chwilę wydaje mi się, że jestem w niebie, a wokół, trzepocząc skrzydłami, unoszą się anioły i wygrywają u^mega łoża niebiańskie melodie.

- To musi być cudowne — zaśmiał się Joe. — Wierzyć, że są niebiosa i że człowiekowi pozwolono w nie wstąpić.

- Bynajmniej! — zachnęła się Carol. — O wiele cudowniejszy był dzień, kiedy przyjęto mnie do college'u Sarah Lawrence.

- Oho, humanistka! — zawołał uradowany.

Natychmiast uznał, że musi być osobą niezwykle i prawdziwie twórczą, i widział już jej smukłe dłonie umazane w czasie zajęć plastycznych farbami akryłowymi, a w czasie nocnych saturnaliów sokami ambrozji. Wyobraził też sobie, że na pewno kocha się jak Mongołowie, o których gdzieś ostatnio czytał, uprawiający istną seksualną akrobatykę; że kręci zapierające

dech w piersiach salto, które wynosi ją wysoko, a przy wyjściu z obrotu w cudowny sposób wprowadza idealnie na jego czło- nek: *czang-czing*\

— Właściwie Sarah Lawrence to przeszłość. Mam już dyplom - oznajmiła Carol. — No, a ty — zagadnęła go zaraz — co robisz w takim miejscu o tej porze?

Było jasne, że nie zetknęła się jeszcze z takimi mężczyznami jak Joe Castleman - zuchwałymi, pewnymi siebie, zakochanymi w śpiewie własnego głosu i we własnym wizerunku, niewyraźnie odbitym w wyglansowanych butach — którzy wychodzili sobie w nocy do baru tylko dlatego, że po prostu mogli. Nowy Jork, szczególnie z tamtych czasów, roku 1953, był dla ambitnego, ufnego w swe siły młodego człowieka miejscem jak najbardziej odpowiednim, by wybrać się w środku nocy na spacer. Miasto-symfonia, skomponowane z neonowych liter, nieprzerwanych ciągów świateł, błysków i kłębow pary, wydobywających się w gwałtownych porywach na ulice przez otwory wentylacyjne metra. Wydawać by się mogło, że pary całujące się namiętnie przy każdej latarni to zamierzony element scenografii.

— Co tu robisz? — odpowiadał Joe. - Cierpię na bezsenność. Nie śpiam w nocy, więc wychodzę z domu. Mówię sobie, że moim mieszkaniem jest całe miasto. O, tam jest łazienka - wskazał za okno. — A tam garderoba, w której trzymam marynarki.

— Domyślam się, że tu jest kuchnia — stwierdziła rezolutnie Carol. - Po prostu przyszedłeś napić się kawy?

— Właśnie. — Uśmiechnął się do niej. - Sprawdźmy, co mamy w lodówce.

Kręcili się na obrotowych krzesłach w płynnym tańcu godowym. Wreszcie poprosili o rachunki i zapłacili, po czym wzięli po garści białych miętówek, które z jakiegoś powodu leżały w koszykach przy kasach wszystkich barów i kawiarni jak świat długi i szeroki, jakby ich właściciele uzgodnili to kiedyś na walnym zebraniu zakończonym podpisaniem wspólnego protokołu. Potem on kurtuazyjnie otworzył przed nią drzwi i wyszli

w mrok nocy. Mając u boku Joego, podobnie jak on ssąc miętówkę i odświeżając usta przed nieuchronnym pocałunkiem, Carol zaczynała lubić nocne wyprawy do miasta — teraz zupełnie inne niż wtedy, gdy była sama. Jakże wspaniale jest wiedzieć, co znaczy uczucie odprężenia i beztrioski, co znaczy stać się częścią czegoś wielkiego, nieogarnionego i życiodajnego. Noc była chłodna, powietrze przejrzyste, budynki rysowały się ostrymi konturami. Joe trzymał jej małą, białą dłoń i prowadził w podróż ulicami miasta, wzdłuż szarych, opuszczonych żaluzji, ponieważ był jednym z tych mężczyzn, ponieważ to wszystko należało do niego.

- Niebawem lądujemy - oznajmiała niemal przepraszającym tonem ciemnowłosa stewardesa, przechadzając się między rzędami foteli.

Oczywiście teraz, po dziewięciu godzinach, długi lot odbierało się zupełnie inaczej; początkowe doznania świeżości, czystości, uśmiechów i wyczekiwanej przyjemności zastąpiło nieznośne wrażenie duchoty i zwykłego umęczenia, jak to zwykle bywa, kiedy zbyt długo jest się zamkniętym w małej przestrzeni. W powietrzu, najpierw tak sterylnie czystym, teraz gnieździły się stęchłe wonie milionów wydechów, pierdnięć, płatków kukurydzianych i zużytych perfumowanych chusteczek. Pasażerowie mieli wygniecione ubrania i poczochrane włosy, a na policzkach, które wtulali w zagłówek, poduszki lub kurtki, odcisnęły się charakterystyczne zmarszczki. Nawet stewardesa, która jeszcze niedawno zdawała się ponętnie uwodzić Joego, teraz przypominała zmęczoną dziwkę, która na dzisiaj ma wszystkiego dość. Nie częstowała już ciasteczkami, jej koszyczek świecił pustką. Wróciła na swe miejsce w ogonie samolotu, zapięła pas bezpieczeństwa i psiknęła sobie w usta odświeżaczem.

Znowu zostaliśmy sami. Wiele rzędów za nami, oddzieleni grubą zasłoną, siedzieli Sylvie Blacker, wydawca Joego, Irwin Clay, jego nowy agent literacki, i dwóch młodych krytyków.

Joego nie łączyły z nimi żadne głębsze ani żywe więzi; wszyscy jego współpracownicy pochodzili ze stosunkowo niedawnych naborów. Hal, pierwszy i długoletni wydawca Joego, już nie żył, a poprzedni agent literacki przeszedł na emeryturę. Joe trafił potem w ręce różnych ludzi, z których część też już odeszła. Ci, którzy siedzieli za nami w samolocie, nie lecieli do Helsinek dlatego, że byli potrzebni czy bliscy Joemu. Lecieli dlatego, że im się opłacało, że ptzy okazji samemu mogli spać trochę śmietanki chwały. Rodzina i przyjaciele zostali w domu. Joe przekonał ich, że nie ma potrzeby, najmniejszego nawet powodu, by jechali do Finlandii, że wróci raz-dwa i wszystko opowie, a oni posłuchali go jak zawsze. Samolot obniżał pułap, wcinając się w pierzynę gęstych chmur, sprowadzając Joego, mnie i wszystkich innych z nieba na ziemię, ku małemu, urokliwemu, nieznanemu miastu, spowitemu aurą jesiennej Skandynawii.

— Wszystko w porządku? — zapytałam Joego, który zawsze lękał się tego cichego, niezauważalnego opadania, kiedy zdawało się, że silniki gasną, a maszyna dryfuje w powietrzu jak dziecięcy samolocik z balsy.

— Tak, tak. Dzięki, Joan — przytaknął.

Nie pytałam go dlatego, że się naprawdę martwiłam; raczej z małżeńskiego nawyku. Mężowie i żony na całym świecie zadają sobie nawzajem to pytanie: „Wszystko w porządku?”, bez namysłu, rutynowo. To klauzula zawarta w kontrakcie; zobowiązanie, które trzeba wypełniać, które ma upewnić partnera, że się troszczysz i myślisz, nawet jeśli w istocie jesteś śmiertelnie znudzony. Właściwie Joe wyglądał na bardzo spokojnego, nawet trochę osowiałego, zapewne z powodu braku snu. Nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni Joe dobrze się wyspał w nocy. Nie sypiał, odkąd go znałam. Ale raz w roku jego bezsenność nieuchronnie dotykał prawdziwy kryzys: w okresie poprzedzającym ogłoszenie laureata Helsińskiej Nagrody Literackiej.

Każdego roku słyszy się barwne anegdoty o tym, że laureat wziął za figiel telefon z zaskakującą wieścią o nagrodzie. Krążą legendy o pisarzach, którzy, wyrwani ostrym dzwonkiem ze snu,

porywają słuchawkę i zapamiętane łajają rozmówcę mówiącego z dziwnie obco brzmiącym akcentem: „Czy wie pan, która jest godzina?!”, i dopiero po chwili, przytomniejąc, zdają sobie sprawę, że rozmówca ma im coś ważnego do zakomunikowania, że wieści są wspaniałe i że ich życie zmieni się teraz na zawsze i na dobre.

Oczywiście, nie był to Nobel, lecz nagroda postawiona parę szczebli niżej, raczej krnąbrna pasierbica tamtej, ciesząca się jednak coraz bardziej ustaloną renomą dzięki magii pęczniającej z roku na rok puli finansowej, która tym razem osiągnęła równowartość pięciuset dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Nie był to Nobel, jak Finlandia nie była Szwecją. Niemniej nagroda miała prestiż i wywoływała emocje. Wynosiła człowieka, jeśli nie na sztokholmskie wyżyny, to przynajmniej na ich podnóża.

Każdy pragnie zdobyć nagrodę, powieściopisarz, dramaturg, poeta. Jeśli jakaś nagroda zostaje ufundowana, to gdzieś na kuli ziemskiej jest ktoś, kto jej pożąda. Dorośli mężczyźni chodzą nerwowo po domu i głowią się, w jaki sposób zdobyć laur. Dzieci podniecają się szkolnym pucharem, który mogą wygrać w konkursie kaligraficznym, w zawodach pływackich albo po prostu za sympatyczną osobowość. Może inne formy życia także przyznają sobie nagrody: „Dla najbardziej wszędobylskiego robaka”, „Dla najsprytniejszej sroki”?

Niektórzy z przyjaciół Joego nagabywali go o nagrodę helińską już od paru miesięcy.

— W tym roku na pewno ją dostaniesz - mówił Harry Jacklin. - Zobaczysz! Starzejesz się, Joe, starzejesz, „spodnie z podwiniętymi mankietami wdziejesz”*. Słuchaj, nie mogą cię pominąć; to byłby dla nich policzek.

— Raczej dla mnie.

— Nie, dla nich!

Harry Jacklin pisał wiersze, co do końca życia gwarantowało mu brak sławy i grosza przy duszy. Choć poeta, to cholernie

* Aluzja do wiersza T. S. Eliota, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, tłum. Michał Sprusiński (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

ambitny; więcej nawet, umiał być złośliwy i miał w sobie zadziwiająca chęć dokuczania innym — jak zresztą wszyscy poeci, których Joe znał. Zdawać by się mogło, że im mniejszy tort do podziału, tym większego pragnie się kawałka.

- Nie dostanę tej nagrody - powątpiewał Joe. — Od trzech lat powtarzasz, że „w tym roku na pewno”, i zawsze masz babo placek. Niepotrzebnie bijesz na alarm.

- Bo na to trzeba czasu — przekonywał Harry. - Teraz pojmuję ich strategię. Zrozum, siedzą sobie w tych Helsinkach, raczą się wędzonymi łososiami i... czekają. Przyjęli sobie taki plan, że jeśli ciągle żyjesz, to w tym roku przyznają ci nagrodę. Jesteś poprawny politycznie, a to dzisiaj nie bez znaczenia, przynajmniej z perspektywy dalekich Helsinek. I masz ten dodatkowy gen, którego brakuje innym: wrażliwość na kobiety, niechęć do uprzedmiotowienia płci przeciwnej, tak się przecież o tobie mówi, nie mam racji? Kreujesz postać kobiety, wydajesz ją za męża, znajdujesz dla niej rodzinę, małżeńskie łóżko w domu na przedmieściach, a mimo to nie czujesz potrzeby, żeby robić z niej coś więcej, żeby opisywać jej... No, nie wiem, włoski łonowe jako, powiedzmy, „nimbus w sjenie palonej”, jak czyniłby to ów tłum wokół ciebie.

- Nie mam wokół siebie żadnego tłumy.

-Wiesz, o czym mówię... - ciągnął Harry. - Po mistrzowsku mieszasz w to ten cały feminizm, jak to zwał, tak zwał, choć feminizm niezmiennie kojarzy mi się z lesbą wymachującą piłą łańcuchową. Oryginał z ciebie, Joe! Wielki pisarz, który wcale nie jest jednym skończonym kutasem. Ty jesteś taki pół kutas, pół cipa.

- Ha! To bardzo uprzejme, co mówisz. I poetyckie, muszę dodać.

Inni zgadzali się z logiką myślenia naszego poety, zauważając, że tym razem nie ma poważnych kontrkandydatów do nagrody. Dla literatów w Ameryce miniony rok był rokiem pożegnań. Odchodzili twórcy, których Joe znał jeszcze w latach pięćdziesiątych, kiedy często widywali się na spotkaniach sympatyków

socjalizmu. Ci sami, z którymi dziesięć lat później organizował słynny maraton literacki, by zaprotestować przeciwko wojnie w Wietnamie, a jednocześnie wycieńczyć publiczność. Raz jeszcze spotkał się z nimi na początku lat osiemdziesiątych. Z pewnym zakłopotaniem zgodzili się wtedy wystąpić we wspólnej reklamie horrendalnie drogich zegarków, produkowanych przez pewną niemiecką firmę, starą i dobrą, ale o niesławnej nazistowskiej przeszłości. W końcu zaczęli się spotykać na własnych pogrzebach. Jak zauważył Joe na pogrzebie dramaturga Dona Loftinga, każdy z nich miał na ręce elegancki zegarek, którymi wiele lat wcześniej obdarowała ich niemiecka firma.

Harry Jacklin nie mylił się w twierdzeniu, że niewielu było tego roku pisarzy zasługujących na nagrodę w równym stopniu co Joe. Niewielu, których dzieła mogłyby uchodzić za wykuty w marmurze pomnik. Lev Bresner miał swój wielki helsiński dzień siedem lat wcześniej. Dla nikogo nie było to zaskoczeniem, spodziewano się tej nagrody od dawna. Jednak Joego tamta wiadomość z Helsinek ścięła z nóg. Przez kilka dni nie wychodził z zaciemnionego pokoju, nawet nie wstawał z łóżka, posilając się przede wszystkim flaszka szkockiej whisky i środkami uspokajającymi. Trzy lata później Levowi przyznano Literacką Nagrodę Nobla. Po dziś dzień Joe unika tego tematu jak ognia.

Nobel pozostawał poza zasięgiem Joego. Oboje wiedzieliśmy o tym dobrze i w jakimś sensie oboje się z tym pogodziliśmy. Choć Joe Castleman był popularny w Europie, to jego dzieła nie przemierzały globu nieodzownymi w tym wypadku szlakami. Był Amerykaninem, pisarzem introspektywnym, przelewającym na papier tętno własnego życia. Jak mówił Harry, Joe prezentował poprawność polityczną, ale z drugiej strony, był pisarzem niepolitycznym. Dlatego nagrodę helsińską należy uznać za sukces. Krytykom podobał się kreślony w jego książkach obraz współczesnego małżeństwa amerykańskiego, który tajemnicę kobiecej wrażliwości zgłębia na równi z męską i, co ciekawe, czyni to bez nuty gorczy, zjadliwości czy wzajemnego obwiniania. Już pierwsze jego powieści wielkim susem wskoczyły

do Europy, gdzie doceniano go bardziej niż w Stanach Zjednoczonych. Pisarstwo Joego wywodziło się ze starej, powojennej „szkoły małżeńskiej” — szara rzeczywistość, mężowie i żony w ciasnych mieszkaniach lub domkach w stylu kolonialnym na przedmieściach, przy ulicach o pretensjonalnych nazwach, jak Skwer Betanii lub Aleja Jaskółcza. Mężczyźni wrażliwi, ale zgorzkniali, kobiety smutne i piękne, dzieci małomówne. Rodziny słabe, rozdarte wewnętrznie, bardzo amerykańskie. Joe czerpał z doświadczeń własnego życia, sięgając po szczegóły z dzieciństwa, młodości, a potem także z okresu obu małżeństw.

Jego książki przełożono na dziesiątki języków. Na jednej z półek w gabinecie Joego stały wyłącznie przekłady. Była tam pierwsza jego powieść, *Onech*, niegruba książka z dawnych, niewinnych czasów, opowiadająca o młodym, żonatym profesorze, który z wzajemnością zakochuje się w swojej najlepszej studentce. Prowadzi to do splotu wydarzeń, po których profesor porzuca żonę i dziecko, ucieka ze studentką do Nowego Jorku, a po pewnym czasie bierze z nią ślub. To dziełko to czysta autobiografia — hisoria nas dwojga i pierwszej żony Joego, Carol.

Na tej samej półce stały obcojęzyczne wersje *Orzecha*, zatytułowane: *La Noix, Die Walnufi, La Noce, La Nuez* i *Valnot*. Stała tam także książka, która przyniosła mu Nagrodę Pulitzera, *Nadgodziny*, a tuż za nią rząd przekładów: *Heures Supplementaires, Uberstunden, Horas Adicionales* i *Overtid*. Nagroda Pulitzera była bardzo krzepiąca, przyniosła mu wiele zaszczytów i próżnej przyjemności, przyznana jednak była tak dawno, że jej wonie dawno już wywietrzały, a Joe na dobre zapomniał o tej końskiej dawce wzmacniającego zastrzyku.

Na fotografii zamieszczonej na tylnej okładce *Nadgodzin* Joe ma ciemną, zmierzwioną, bujną czuprynę, do której, ku własnemu zaskoczeniu, czasem jeszcze tęskni. Teraz jego włosy są przerzedzone i siwe. Wówczas na czoło opadała mu grzywka, którą odrzucałam delikatnie palcami, kiedy chciałam spojrzeć mu w oczy. W młodości Joe był przystojnym mężczyzną, umięśnionym i smukłym jak chart, z jędrnym, płaskim brzuchem.

Jego erekcje zdawały się trwać wiecznie, jakby utrzymywane niewidzialną dłońią jakiejś niewiasty (niekoniecznie moją), apolińskiej muzy, szepczącej mu śpiewnie do ucha: „Jesteś cudowny”. Od Pulitzera minęły dziesiątki lat, ale potem były mniejsze nagrody, które otwierały Joemu drzwi do nowojorskich sal hotelowych, na bankiety z drobiową garmażerką i tanim winem, podczas których odbierał nagrodę i wygłaszał przemówienie. Gdy mówił, ja siedziałam cicho w towarzystwie innych żon, wśród których od czasu do czasu zdarzał się jakiś mąż. Teraz przyszedł czas na kolejną nagrodę, tym razem wielką. Bardzo potrzebował mocy, którą ten laur ze sobą niósł; wystawnych, wysokokalorycznych przyjemności i towarzyszącego temu wszystkiemu delirium.

W tamten wieczór, kiedy miał zadzwonić telefon z Helsinek, jeśli rzeczywiście ktoś miał stamtąd telefonować, poszłam spać wcześniej. Joe oczywiście wałęsał się po mieszkaniu. Mieszkamy w starym, pięknym domu z roku 1790, pomalowanym na biało, dobrze utrzymanym, schowanym za omszonym murem. Człowiek cierpiący na bezsenność znajdzie w nim dość pomieszczeń do przechadzek. Wiem, gdybym miała większe serce, zostałabym z nim, jak to robiłam każdego roku. Ale byłam zmęczona i tęskniłam za ciepłym łóżkiem; tak jak dawniej tęskniłam za naszymi przytulonymi ciałami. Zresztą nie miałam ochoty jeszcze raz przez to przechodzić. Słyszałam, jak myszkuje na parterze, otwiera w kuchni szuflady i szafki, coś hałaśliwie z nich wyciąga, po dźwiękach poznałam, że to chyba tarka do serów i łyżka - wszystko to w oczywistym, pożałowania godnym zamiarze, bym nie mogła zasnąć, bym o nim pamiętała.

Dobrze wiedziałam, co robi. Znałam jego manewry, znałam go na wylot, tak jak żony znają swoich mężów. Poznałam nawet jego wnętrze; byłam z Joem w gabinecie zabiegowym, gdy doktor Ruffner pokazywał mu na monitorze endoskopowe zdjęcia jego okrężnicy. Siedzieliśmy i wpatrywaliśmy się w oślepiający punkt światła, który wędrował wzdłuż najbardziej intymnej części jego jelita. Po tym doświadczeniu czuliśmy się związani na

śmierć i życie. Kiedy żonie przyjdzie patrzeć na ruchy okrężnicy męża, na gwałtowne skurcze zwieracza, taniec wziernika pełzającego wzdłuż nieskończonego ludzkiego szlauchu, wtedy wie, że on należy już tylko do niej, a ona tylko do niego.

Wiele lat później, w towarzystwie doktora Vikrama, drobnego, eleganckiego kardiologa, wyznawcy braminizmu, miałam okazję przyrzeć się ultrasonogramom serca Joego - owej wadliwej, naczynnej piąstki z płochliwą zastawką dwudzielną, zamykającą się nieregularnie, niedbale, jakby po pijanemu.

Tamtego dnia jeszcze raz poznałam jego wnętrze. Wręcz gołym okiem mogłam obserwować, jak myśli formują się w jego głowie, jak usiłuje przeczuć i przewidzieć.

— Rzeczywiście, wydaje mi się, że w tym roku mam ogromną szansę — powiedział przy obiedzie. Pamiętam, że jedliśmy kurki kornwalijskie i zostawiliśmy na talerzach stosiki ogryzionych kostek. — Harry też jest tego zdania. Louise również.

— Och, zawsze to mówią — westchnęłam.

— Uważasz, że to w ogóle nie wchodzi w grę, Joan? - zapytał.

— Nie wiem.

— No, ale oceń moje szanse. Podaj jakiś procent.

— Chcesz, żebym w procentach określiła twoje szanse na zdobycie Helsińskiej Nagrody Literackiej?

Joe przytaknął. W tej sekundzie mój wzrok zatrzymał się na kartoniku mleka, który stał na stole.

— Jakieś dwa procent — wypaliłam.

— Uważasz, że mam tylko dwa procent szans na nagrodę? - zapytał zaskoczonym, pośpynym głosem.

- Tak.

- Ech, pierniczysz... - powiedział.

Wzruszyłam tylko ramionami, powiedziałam „przepraszam” i oświadczyłam, że idę spać, bo jestem zmęczona.

Leżałam więc w łóżku, świadoma, że wycofując się do sypialni, pokazałam się. Ale też świadoma, że powinnam była zostać z nim i dotrzymać mu towarzystwa w godzinach wyczekiwa-

nia. Jednak nie byłam z nim na dole. Byłam w sypialni na górze. Nasłuchiwałam w łóżku, rozbudzona. Minęło sporo czasu. Wreszcie usłyszałam jego kroki na starych, wąskich schodach. Skoro ja nie zostałam z nim, to on przyszedł do mnie. Taka jest odwieczna rola żon; są źródłem uspokojenia, którym sypią jak weselnym ryżem. Zazwyczaj odgrywałam tę rolę bez zarzutu. Także wobec trójki naszych dzieci. I nie powiem, lubiłam tę misję.

Gdy Joe wpadał w chandrę, zawsze przy nim byłam. I byłam z dziećmi, gdy budziły je złe sny; nawet z naszą córką Alice, kiedy odurzona meskaliną zobaczyła swoje pluszowe przytulanki z dzieciństwa: jak ożyły, otoczyły ją ciasnym kręgiem i śmiały się z niej bełkotliwym rechotem. Była przerażona. Przywarła do mnie jak kangurek schowany głęboko w kieszeni matki, jak **0** wiele młodsze, wystraszone dziecko, i wołała: „Mamo, mamo ratuj! Mamo ratuj!”

Jej krzyk był rozdzierający, prawie nie do zniesienia, ale, jak wszystkie matki, przytuliłam ją do siebie, ukołysałam, z wałącym sercem i kamienną twarzą wyrzuciłam z siebie nie kończący się szept ciepłych, kojących, matczyńskich słów, aż wreszcie się uspokoiła, wróciła z dalekiej, meskalinowej podróży i zasnęła.

W ten sam sposób wiele *razy pomagałam naszemu* synowi Davidowi, przy okazji jego nerwicowych wybuchów, nad którymi nie umiał panować i które zdarzały mu się przez długie lata, i nadal się zapewne zdarzają. Już w szkole powiedziano nam, że jest bardzo rozgarnięty, ale niezrównoważony emocjonalnie. Wszczywał bójki, dokuczał dzieciakom i nauczycielom. Potem, gdy skończył dwadzieścia i trzydzieści lat, nieustannie dochodziły nas słuchy o jakichś nocnych awanturach w barach i ulicznych bójkach. Raz nawet uderzył swoją dziewczynę, wychodzącą z heroinowego nałogu; zdzielił ją kilka razy po głowie bochnem czerstwego chleba. Także dzisiaj David jest dla nas cichym sttapieniem: mężczyzna jak góta, przystojny i inteligentny, dobiegający czterdziestki; długo potrafi być spokojny i obojętny, by raptem dać się ponieść furii gniewu. Pracuje w jednym z no-

wojorskich zespołów adwokackich jako redaktor tekstów i stenogramów, nie ma większych ambicji, nie liczy już na szczęście i dni chwały. Ale jest jednym z moich dzieci; zrodził się ze mnie i Joego. Kiedy w chwilach słabości przychodzi do mnie, słucham go i konsekwentnie przeczę jego słowom, że nic nie jest wart i nic nie potrafi. Nie sięgam po żadne racjonalne, słuszne argumenty. Po prostu jestem obecna, w podomce i kapciach, spokojna, i słucham z bólem, który pojawia się tak łatwo na widok cierpiącego własnego dziecka.

Zawsze się starałam, by czuli moją bliskość, i David, i jego siostry, Susannah i Alice. I byłam w tym dobra. Przemawiałam do nich łagodnym głosem, a gdy trzeba było, głąaskałam po głowie lub przynosiłam do łóżka szklanekę wody.

Teraz Joe zapragnął, bym pogłąaskała go po głowie, bym, jak kiedyś, odgarnęła z jego oczu grzywkę. Wszedł wolno na piętro, potem do sypialni, położył się przy mnie na łóżku i objął mnie ramieniem. Udawałam, że śpię. Instykt podpowiadał mi, że Joe nie ma zamiaru zamienić tego dotknięcia w pieszczoty, ale nie pozostawało mu nic innego. Kiedyś seks był dobry na wszystko, oboje lubiliśmy go tak samo; płaszcze zsuwające się z łóżka na podłogę w czyjś domu, usta zamknięte na piersi, usta zamknięte na członku. Kiedy po spełnionej miłości umyślaliśmy sobie czasem te pornograficzne obrazki, rozprawialiśmy o ich prymitywizmie, o tym, w jaki sposób nas równają, jak mieszają cały gatunek ludzki w jednym tyglu i ścierają go w zagęszczoną pulpę soków i pożądlivosti, i ująć dla podobnych zachcianek popędu.

Popęd. Oboje mieliśmy silny, Joe i ja. Wcale nam to nie przeszkadzało i czuliśmy się z tym dobrze. Z wyjątkiem jednego razu, dawno temu, kiedy Joe powiedział do mnie: „Rany, Joan, tymi udami mogłabyś zadusić krokodyla!”, tak mocno zaciskałam na nim nogi. Wtedy nie czułam się z tym dobrze. Kobiety nie lubią, kiedy się im wytyka siłę seksualnego pożądania; powinno ono pozostać niezauważone, jak niewyczuwalny, opływający nas lotny gaz. Przez długi czas byłam jak on niezaspokojo-

na i aktywna seksualnie. Pptem, mocno po czterdziestce, zdałam sobie raptem sprawę, że już nie jestem niezaspokojona, że moje pożądanie po prostu się ulotniło, zabierając z sobą radość, chęci i głębokie przekonanie, że jestem drugą połową Joeego Castlemana.

Ale w tamten wieczór niespokojnego wyczekiwania Joe nagle odkrył w sobie płomień namiętności, choć od wieków się nie dotykaliśmy (minął chyba okrągły rok). Delikatnie przesunął dłoń na moją pierś, a ja poczułam, jak sutek posłusznie twardnieje.

- Przestań — powiedziałam, nie udając już, że śpię.

- Co przestań? - Dobrze wiedział co.

- Wykorzystywać mnie dlatego, że nie możesz zasnąć.

- Nie wykorzystuję cię, Joan - odparł natychmiast, ale zabrał rękę. - Jesteś dziś taka ponętna, chciałem tylko cię dotknąć.

- Chciałeś się tylko czymś zająć - orzekłam, siadając na łóżku. - Zachowujesz się jak dziecko, nie umiesz wytrzymać tych paru godzin.

- Tak, nie umiem. I dziwię się, że ty możesz wytrzymać — stwierdził z pretensją w głosie. - To dzień, w którym mamy się dowiedzieć, czy świat mnie zauważył.

- Dobrze wiesz, że cię zauważył — powiedziałam. — Mało ci dowodów? Ile ich potrzebujesz? Cały świat należy do ciebie, Joe. Jesteś w nim, znaczysz coś.

- Nie... - Joe pokręcił głową. - Wcale tego nie czuję.

Spojrzałam na niego i uświadomiłam sobie, że nadal potrafię znaleźć dla niego odrobinę czułości. To był właśnie moment tej czułości; dowód rzeczowy wydobyty ze mnie w środku nocy. Mogłam się na niego wściekać, mogłam go nie lubić, mogłam rozmyślać nad sposobami psychicznego znęcania się nad nim, mogłam iść wcześniej do łóżka i zostawić go samego w wielkim domu, ale nie brakowało mi ciepłych odruchów. Taka byłam.

- To żałosne. Jesteś taki patetyczny - orzekłam.

- Patetyczny? Chyba w najlepszym rozumieniu tego słowa? — uśmiechnął się lekko do mnie.

- Och, tak - zapewniłam. - Oczywiście, jak najbardziej...

Joe leżał z głową na moim ramieniu i w takiej pozycji pozostaliśmy przez resztę nocy. Jeśli wstanie słońce i my będziemy leżeć w tym samym miejscu, a *telefon* nie zakłóci porannej ciszy, to Joe będzie wiedział, że minął kolejny rok, a on znów nie dostał Helsińskiej Nagrody Literackiej i najprawdopodobniej nigdy już jej nie dostanie. Ale, z drugiej strony, nic to w jego życiu nie zmieni, wszystko będzie, jak było, bo ma żonę - coś, czego potrzeba każdemu.

Joe powiedział kiedyś, że żał mu kobiet, bo mogą mieć tylko mężów. Mężowie próbują pomóc, udzielając prostych odpowiedzi, myśląc logicznie lub stosując się z uporem godnym lepszej sprawy. Choć bywa i przeciwnie: nie próbują pomagać, żyją w jakimś obcym wymiarze i chadzają po świecie własnymi ścieżkami. Za to żony, ach, żony, jeśli tylko nie są zbyt melancholijne lub zgorzkniałe, jeśli tylko nie wyliczają ostentacyjnie swoich skarg i żalów, to potrafią zatroszczyć się o mężczyznę delikatnie, z naturalną łątwością.

O piątej dwadzieścia spałam głęboko. Mój równy oddech zakłócały tylko od czasu do czasu chrapnięcia i sapnięcia, normalne już u większości ludzi w moim wieku. Joe leżał przy mnie ciągle w tej samej pozycji. Nie spał, kiedy telefon zadzwonił.

Kiedy później opowiadał znajomym całą historię, poddał wydarzenia tamtej nocy małemu przerysowaniu, przypisując sobie rolę wyrwanego ze snu niewiniątka. Oto wersja wyidealizowana: dzwoni telefon, Joe nieprzytomnie siada na łóżku („Co jest?... Co jest?...”), jego wyciągnięta ręka po omacku szuka słuchawki, strącając z nocnego stoliczka szklankę wody. Kiedy wreszcie otwiera usta, mamrocze tylko jakiś bełkotliwe słowa. W tym czasie ja, która spędziłam przy nim całą noc, z przejścia nie mogę nabrać tchu i obejmuję go mocno, słysząc tak wspańnięte wieści („Och, Joe, ciężko sobie na to zapracowałeś...”), a potem oboje się rozpłakujemy.

Musiał tak to przedstawiać, bo w przeciwnym razie okazałoby się, że jest zbyt pewny swego, a on sam wyszedłby na kogoś, kto jest święcie przekonany, że tym razem rzeczywiście zadzwonił z Finlandii.

Tymczasem prawda była taka, że Joe sięgnął po słuchawkę niemal natychmiast po pierwszym dzwonku, jednym płynnym ruchem, nic po drodze nie strącając ani nie przewracając. „Halo” wypowiedział głosem pewnym i silnym. Połączenie było marnej jakości, towarzyszyły mu zakłócenia, szумы, trzaski i opóźnienia, przypominające, że głosy nikną w tunelu różnicy czasu.

Po drugiej stronie odezwał się męski, obcy głos, łagodny i serdeczny. „Czy mógłbym prosić pana *Yosepa Castlemana*?”, zapytał i od razu krótko wyjaśnił, że chodzi o nagrodę. Joe przełknął ślinę, poczuł, jak pierś rośnie mu od nagłego przypływu dumy, która raptem wydała mu się daleką krewną zawału. Położył dłoń na sercu i przycisnął mocno, jakby chciał uciszyć jego rozszalałe bicie.

— Czy moja żona, Joan, mogłaby posłuchać tej wiadomości z drugiego telefonu? - Joe zapytał Teuva Halonena, prezesa Fińskiej Akademii Nauk i Literatury. - Myślę, że także powinna być obecna...

— Och, oczywiście, proszę pana — odpowiedział uprzejmie Fin.

W tym momencie siedziałam już na łóżku, wbijając w Joego dziki wzrok, czując, jak łomocze mi serce, jak napływają płyny chemiczne, jak drażą mnie; zerwałam się na równe nogi i płacząc się w koszuli nocnej, popędziłam korytarzem, by podnieść słuchawkę w dawnym pokoju Susannah.

— Halo, halo? - mówiłam szybko do różowej słuchawki dziecięcego telefonu. - Tu Joan Castleman. - Usiadłam na brzegu łóżka, nad którym wisiała jeszcze półeczka z kolorowymi książkami o przygodach Nancy Drew i Trixie Belden*.

— Dzień dobry, *Yoan*, to znaczy pani Castleman. Słyszałem, że pani również chciałyby uczestniczyć w rozmowie, bardzo się

* Tytułowe bohaterki bardzo popularnych serii książek detektywistycznych dla dzieci.

cieszę - przywitał mnie pan Halonen. - Powtórzę więc, że nasza akademія podjęła dziś decyzję, by tegoroczną nagrodę literacką przyznać pani mężowi.

- *O!* - Zatkano mnie. - O Boże!

- To znamienity pisarz — kontynuował Halonen — który z całą pewnością zasługuje na takie wyróżnienie. Dla nas to zaszczyt, że za całokształt twórczości możemy uhonorować dżentelmena, którego pisarstwo cechują piękno, wyważone słowo i rzadki zmysł obserwacji. Jego kariera rozciąga się na przestrzeni długich lat, jego renoma rosła z roku na rok, czemu można było się przypatrywać z prawdziwą przyjemnością, a z każdym dziełem twórca stawał się dojrzalszy. Przyznam, że największe wrażenie zrobiła na mnie *Pantomima*, gdyż pojawiające się tam małżeństwo, Margaret i Louis Stricklerowie, przypomina mi moją drogą żonę Pippę i mnie samego. Jakże ludzcy! Jakże omylni! Cóż, pani Castleman - dodał - teraz musi się pani przygotować na lawinę dziennikarzy.

- Och, nie jestem gwiazdą filmową - odezwał się Joe ze swojego aparatu. — Tu, w Stanach, pisarz niewiele znaczy. Ludzie mają inne zmartwienia.

- Helsińska Nagroda Literacka jest czymś wyjątkowym - tłumaczył spokojnie Halonen. — Oczywiście, zdajemy sobie sprawę, że to nie Nobel - dodał z nutą zakłopotania w głosie, jakby z poczucia obowiązku, z wyczuwalnym uśmiechem — ale ludzie ją dostrzegą, zobaczy pan.

Potem zaczął wyjaśniać szczegóły dotyczące wizyty Joego w Helsinkach oraz zapierającej dech w piersiach finansowej wartości nagrody.

- Oczywiście, spodziewamy się także pani przyjazdu, pani Castleman - dodał szybko Halonen.

W ramach przygotowań do wyjazdu Joego czekał w najbliższym tygodniu oficjalny wywiad w domu, a w następnym tygodniu sesja zdjęciowa z zamówionym fotografem.

- Ale, ale... Domyślam się, że wyrwałem państwa ze snu - zreflektował się raptem Halonen. — Nie będę przeszkadzał

i pozwolę państwu jeszcze trochę pospać. Niebawem skontaktuje się z panem sekretarzem naszej akademii. — Z pewnością wiedział, że po takim telefonie nikt nigdy nie miał ochoty kłaść się z powrotem do łóżka.

Pozegnaliśmy się wszyscy jak starzy przyjaciele, odłożyliśmy słuchawki, a ja pobiegłam do sypialni i rzuciłam się na łóżko obok Joego.

- O mój Boże, stało się - jęknęłam. - Miałeś rację. Miałeś rację. Robi mi się niedobrze, chce mi się wymiotować.

- Wcale nie wiedziałem, że dostanę nagrodę. - Joe położył się obok mnie. - To początek nowego okresu, Joan.

- Który będzie nam wyłaził bokiem - dodałam.

Milczał, udawał, że nic nie usłyszał.

- Co mam teraz robić? - zapytał po chwili.

- Jak to, co masz robić?

- Co robić? - zapytał jeszcze raz jak dziecko.

- Zadzwoń do Leva - rzuciłam. - Powie ci, co robił, gdy dostał tę nagrodę. Na pewno dobrze ci poradzi. Poprowadzi cię krok po kroku. Moim zdaniem, powinieneś robić to, co zwykle. To nagroda jak inne, będzie tylko trochę więcej zamieszania.

- Dziękuję, Joan - powiedział spokojnym głosem.

- Nie, tylko nie dziękuj. Nie zaczynaj znowu. Nie zniosę tego.

- Ale coś muszę powiedzieć.

- Nie masz mi do powiedzenia nic nowego - stwierdziłam. - I z góry proszę, ostrzegam, niech ci nawet przez myśl nie przejdzie, żeby dziękować mi oficjalnie, w czasie ceremonii, kiedy staniesz na mównicy w jakiejś gigantycznej auli, sali, czy co to tam będzie.

- Ależ muszę. - Podniósł brwi. - Wszyscy tak robią.

- Ale ja nie mam zamiaru po raz kolejny grać roli żony, która dobrowolnie dla dobra męża latami znosi katusze — ucięłam ostro. — Chyba to rozumiesz, prawda? Joe, postaw się na moim miejscu, jak ty byś się czuł?

- Może pomartwimy się tym później?

- Tak. - odparłam. - Myślę, że rak.

Pocałował mnie długo i mocno w usta. Oboje poczuliśmy słony smak snu. Potem ztobił coś najdziwniejszego: powoli podniósł się, stanął niepewnie na łóżku i spojrzął w dół z nowej perspektywy. Z wysoka pokój wydawał mu się jakby przechylony, ale to przecież wciąż ten sam pokój. Joe Castleman wiedział, że jest kimś niezwykłym, jednak nie aż tak niezwykłym, żeby odsunąć od siebie codzienność. Ta otaczała go nadal, choć wiedział, że teraz częściej będzie mógł jej nie dostrzegać, że będzie mógł sobie pozwolić na zaistnienie w innym świecie, w jakimś równoległym wymiarze, w którym laureaci wielkich nagród wylegują się na słońcu, objadają figami i nie myślą o niczym i o nikim oprócz siebie. Będzie musiał walczyć z taką pokusą, będzie musiał być twardy. Będzie musiał dalej pisać i publikować, będzie musiał utrzymać jakość swej twórczości.

- Co robisz? - zapytałam, zadzierając głowę.

- Mam ochotę poskakać - odpowiedział. - Jak dzieci.

Pomyślałam o Davidzie, Susannah i Alice. Jeszcze nie tak dawno ich dziecięce ciała fruwały tu pod sufit, ich piżamy trzepotały w locie, ich rozrzucone ręce łapały równowagę, a oni chichotali przy każdym skoku i krzyczeli uniesieni emocjami. Dlaczego dzieci tak lubią skakać? Czy w tym magicznym wznoszeniu się i opadaniu, na łóżku, na huśtawce, na placu zabaw, można znaleźć rozkosze dzieciństwa? W przeciwieństwie do rozkoszy dorosłości, którą znajdujemy w ślepo przyjmowanych, posuwistych ruchach w przód i w tył?

— Chodź — zawołał Joe. — Poskacz ze mną.

— Dla zabawy? — zapytałam bez uśmiechu.

— Może dla zabawy — odparł, choć wiedział, że to nie czas i miejsce na zabawę: sypialnia, o świecie, gdy pierwsze promyki słońca przenikają przez okna, oświetlają nasze twarze i podkreślają podobieństwa, jakie występują u kobiety i mężczyzny w tym wieku, wszelkie androginiczne malunki i żłobienia.

Tu chodziło o coś więcej, coś podniecającego, być może trochę zbyt podniecającego, zbyt pobudzającego, coś, co zamazy-

wało doznania i emocje, niwelowało możliwość zabawy aż do zera.

- Skacz ze mną - powtórzył.
- Nie - odparłam. - Nie chcę.
- Och, daj spokój, Joanie, poskacz trochę.

Nie zwracał się tak do mnie od bardzo dawna. Joanie. Wiedział, że takie wezwanie odniesie skutek. I nie mylił się. Coś wezbrało we mnie, wbrew mnie samej. Co za idiotka ze mnie, żeby po raz kolejny dać mu się uwieść, prawda? Żeby świętować jego sukces, śpiewać jego pieśni? W tej jednak chwili nie umiałam znaleźć w sobie nic innego. Tak więc podniosłam się na nogi i łapiąc równowagę, stanęłam obok niego na łóżku.

- To głupi pomysł - ostrzegłam.

Stanęliśmy twarzą w twarz, niezdarnie trącąc się o siebie. Z całą pewnością nie towarzyszyło nam poczucie wolności, jakie miały nasze dzieciaki, ani prostota, z jaką ich ciała wlatywały w nieznaną przestrzeń. Instynktownie skrzyżowałam ramiona w obawie, że piersi wyrwą się spod luźnej koszuli i trzaskną mnie w brodę. Najpierw wypróbowałam materac, testując nogami jego sprężystość, starając się wyczuć właściwości domowej trampoliny. Mimo wszystko była w tym przyjemność, nawet jeśli tłumiona; gdy zaczęliśmy skakać, uniosła się z nami i zamieszała powietrzem.

Już niebawem rozzwoni się telefon. Każda rozmowa będzie do Joego i o Joem. Cóż w tym nowego? Dawno już do tego przywykłam. Joe nie od dzisiaj cieszy się sławą, a sława zawsze ma to samo oblicze, niezależnie od rodzaju i wielkości - czy jest to sława gwiazdy telewizyjnej, z dziko wybielonymi zębami i szerokim uśmiechem, czy polityka, z przylizaną fryzurą i błyszczącymi spinkami, czy sława Joego, z wełnianym swetrem i niewysychającą szklaneczką w pulchnej dłoni.

Już niebawem ruszy lawina wywiadów, rozmów i gratulacji. Już niebawem nie będę umiała tego znieść - z upływem dni coraz silniej to czułam. Nie dam sobie z tym rady; zapłonę we mnie najgorszy rodzaj zazdrości. Zostanę sama w swoim ni-

czym nie przystrojonym stanie wiecznej małżonki. Już niebawem on zacznie się pysznić i stroić w piórka, nieprzerwanie rozprawiać o triumfie, nadęty poczuciem własnej ważności. Już niebawem nie będę umiała tego tolerować. I niebawem będziemy razem w samolocie — tym samolocie — wśród pierzastych chmur będziemy zbliżać się ku ziemi, ku niezwykłym kształtom jezora Skandynawii, ku kresowi wszystkiego, co nas dotychczas łączyło. Ale jeszcze w tej chwili, na łóżku, byliśmy ciągle tacy sami. Nasze śmieszne jestestwa, odziane w wygniecione piżamy, wzbijały się nad ziemię, aż wreszcie uspokoiły się i osiadły w pościeli.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie znoszę o tym mówić, ale kiedy się poznaliśmy, byłam jego studentką. Tworzyliśmy typową parę; Joe energiczny, zawsze skoncentrowany, w modnym tweedzie, ja głupia gęś, krążąca wokół niego jak niestrudzony satelita. Żenujące jest dla mnie nawet to, jak się ubieraliśmy — przynajmniej patrząc z perspektywy boskiego Olimpu, jaką daje bezlitosny upływ **CZasu**: jego zamszowe łaty na łokciach miały przemienić brooklińskiego Żyda w cnotliwego pana Chipsa*; ja nosiłam długą, kraciatą spódnicę i buty bez obcasów, ponieważ byłam wyższa od niego, a zniechęcenie go do siebie było ostatnią rzeczą, na jakiej mi zależało.

Bez obaw; Joe wcale się nie zniechęcał. Był wobec mnie nadzwyczaj ufny i bardzo mi oddany. Puszczając do mnie oko, a ja nie udawałam, że nic nie widzę, i też puszczałam do niego oko. Tak samo zresztą czynili wszyscy inni profesorowie i studentki w kraju, łączący się w gorące parki, które przynosiły tyleż przyjemności, ile braku stabilności. Czułam się wyróżniona, że zwrócił na mnie uwagę. Czułam też wielką ulgę, bo wyrwał mnie z marazmu, w jakim w 1956 roku wydawała się pogrążona cała zakieria Smith College. Nie było w tym naszej winy. Choć wiele dziewcząt z mojego akademika trzaskało buzią jak kastanietami, bez końca gruchając o ślubie zaraz po szkole i domu w pięknej dzielnicy, najlepiej w Old Lyme w stanie Connecticut (Chancey Foster zdecydowała już nawet, który dom kupi: taki

* Aluzja do popularnego - i sfilmowanego z powodzeniem - opowiadania Jamesa Hiltona *Goodbye Mr. Chips*, o uwielbianym przez uczniów nauczycielu, odchodzącym na emeryturę.

potężny w stylu Tudorów, z ogrodem i stawkiem ze złotymi rybkami — choć, jak na razie, nie miała na horyzoncie kandydata na męża), to wcale nie byłyśmy ani głupie, ani próżne, ani nieświadome. Tworzyłyśmy w akademiku żywą grupkę władczych dziewczyn, zainteresowanych polityką i ciekawych świata. Lubiłam je wszystkie i porywały mnie krzykliwe dysputy, którym dawałyśmy się ponieść podczas obiadu czy kolacji. Jednak nie byłam jedną z nich. Choć miałam duży zasób wiedzy i zawsze własne zdanie, to należałam do osób niewygodnych i uległych. Studiowałam anglistykę i interesowałam się socjalizmem, choć było to niełatwe, a na dłuższą metę niemal niemożliwe na uczelni, której mury porastały bajeczne pnącza, w akademiku, na którego ganku kusiła ławka-huśtawka, i gdzie do obiadu podawano świeżutkie bułeczki i wszystko było zatopione w złocistym świetle kobiecości.

Żadna z nas nie mierzyła wysoko. W 1956 rozumiałyśmy dobrze, że jesteśmy trzymane z dala od świata, który coś znaczy, świata ulizanych mężczyzn z komisji senackich, zadufanych, budzących organiczny odruch wstrętu, zadzierających nos przed baniastymi mikrofonami, oraz mężczyzn w pokojach hotelowych i ich nieustannych, niezaspokojonych potrzeb. Oszczędzaliśmy nas na inne okoliczności i dla innych celów; z nieprzymuszonej woli dałyśmy się zawiesić na cztery uniwersyteckie lata jak owoce w słodkiej galarecie.

Kiedy na początku roku akademickiego Joe pojawił się w Smith College, uderzyła go siła i wszechobecność żeńskości, czego nie doświadczał od czasu, gdy uciekł od świata kobiet swego domu na Brooklynie. To jednak, rzecz jasna, było czymś innym; ta żeńskość była młoda i wyzywająca, świeża jak rosa o poranku, wyczekująca, chętna i niezwykle szybko reagująca. Coś takiego poczuliby zapewne mężczyźni zamknięci w celach więzienia, w którego bramie stanęłaby nagle kobieta. Wyczuliby ją natychmiast, wręcz namacalnie, jakimś szóstym zmysłem; całe więzienie zdrząłoby z podniecenia, gdyby z delikatnym szelestem weszła na dziedziniec. Tak właśnie zachowywałyśmy się

my, kiedy Joe wszedł na pierwsze zajęcia do sali wykładowej w gmachu Seelye Hall, spóźniony o siedemnaście minut.

Oczywiście, gdziekolwiek spojrzeł, widział dziewczęta; otaczały go zewsząd. Równie dobrze mógł wybrać każdą inną. Uczelniane życie obfitowało w kolokwia, konsultacje, gry w hokeja na trawie i sobornie drinki. Ale wybrał mnie, a ja jakbym na to czekała, *hopsaa!*, i już jestem, bez najmniejszych oporów. Pozostałe dziewczyny też były roześmiane, rozgadane i równie godne, choć może za bardzo cierpliwe, czekały na Bóg wie kogo. Przez otwarte drzwi łazienki w akademiku widziałam czasem, jak jakaś dziewczyna opiera gołą nogę na wannie i zamyślona przeciąga po niej leniwie maszynką do golenia, zbierając warstwę białej pianki. Po kampusie dziewczęta poruszały się w płochliwych stadkach, jakby groziły im potknięcie i upadek, gdyby kazano im chodzić pojedynczo. W powietrzu unosiły się wonie trzech najpopularniejszych perfum, które zlewały się ze sobą niczym napływające z różnych stron obłoki pyłku kwiatowego i przemieniały college w istny bar nektarowy.

Mężczyźni, z którymi wolno nam było utrzymywać kontakty, tak naprawdę nie byli mężczyznami. Patrzyłam na nich jak na jakąś samczą wersję próbną, słabszy podgatunek, kruchy i mniej wymagający od tego, z którym prędzej czy później przyjdzie nam stanąć oko w oko. W ciągu tygodnia chowali się za bramami swoich kampusów, by w weekend wypłynąć z nich nagle szerokim strumieniem. Chłopcy o grubych karkach i dziecięcych twarzach wyskakiwali z samochodów jak wygłodniali żołnierze na przepustce, ruszali zapachowym tropem i unosili nas do kawiarni, barów, na dyskoteki lub do łóżka.

Miałam dziewiętnaście lat i nie chciałam mieć do czynienia z tymi chłopięcymi, nie w pełni uprawnionymi mężczyznami. Po kilku wieczorach spędzonych w ich towarzystwie, przy kolorowo spienionych, tropikalnych drinkach z wisienką i parasolką, przy wysmażonych stekach i ziemniakach zapiekanych w srebrnej folii, przy nudnawych rozmowach o tym, co można robić po studiach, o komisji McCarthy'ego albo o tym, czy sę-

dzia Kaufman nie wymierzył zbyt surowego wyroku biednym, sinobladym Rosenbergom („absolutnie nie!”, wołał twardo abszyfikant, kładąc pięść na stole i ponuro wyrażając opinię usłyszana zapewne od tatusia), podjęłam decyzję: *dosł* Koniec z kolorowymi drinkami, koniec z perełkami i dekoltem, koniec z moherowymi kamizelkami, koniec z robieniem przed lustrem bużki w ciup i malowaniem się szminką „Xanadu” i koniec ze spotkaniami w hołu akademika z nadskakującym mi wyrostkiem z wielką grdyką. Koniec ze ściskaniem się i obłapywaniem, koniec z piersiami, które wyskakują ze sztywnych misecek biustonosza w jego zaciemnionym samochodzie, i koniec z jego zaślinionym psim pyszczkiem na tych piersiach. Bo wiedziałam, że jeśli nie zerwę z tym teraz, to będę coraz mniejsza, coraz mniej istotna i nikt się mną naprawdę nie zainteresuje, mężczyzna ani kobieta, a kiedy wreszcie wyruszę w świat, nikt tam nie będzie na mnie czekał i nikt nie będzie mnie chciał.

Zawsze dręczył mnie lęk przed małością i przeciętnością. „Jak tak można żyć?” — z niedowierzaniem pytałam czasem mamę po powrocie ze szkoły, siedząc w kuchni naszego mieszkania w Nowym Jorku i pogryzając chruściki. Miałam wtedy dwanaście lat. Przeżuwałam obsypane cukrem pudrem słodkości i usiłowałam zajrzeć w okna mieszkań po drugiej stronie szerokiej Park Avenue.

Mama, kobieta zasadnicza i surowa, wiecznie czymś zatroskana, której życie upływało na organizowaniu bankietów charytatywnych w eleganckich hotelach „Waldorf” lub „Pierre”, nie bardzo wiedziała, o co mi chodzi. Niespodziewane wybuchy mojej rodzącej się samoświadomości tylko ją niepokoiły. „Co też ty mówisz, Joan?” — rzuciła i wychodziła do drugiego pokoju.

Gdy szłam do college'u, wiedziałam już, że chcę mieć wpływ na innych, że chcę być kimś i chcę błyszczeć, co wydawało mi się jednak mało prawdopodobne w krótkich chwilach otrzeźwienia, gdy dostrzegałam, kim tam naprawdę jestem; chuda, małomówną typową studentką Smith College, która nie ma o niczym pojęcia i która nie wie, jak uczyć się życia.

„Podstawy pisania kreatywnego”, zajęcia numer 202 pierwszego roku anglistyki, odbywały się późnym popołudniem w poniedziałki i środy. Słyszałam, że wcześniej prowadziła je niejaka pani Dymphna Worrell, która w periodyku wydawanym przez Towarzystwo Kultury Ogrodowej Nowej Anglii publikowała wiersze o kwiatach (*Gałązka frezji, Pąk, który nie rozkwitł*) i która, ssąc słodkie landrynki, każdą studentkę zachwalała w taki sam sposób: „Bardzo ekspresyjny język, bardzo ekspresyjny!” Pani Worrell przeszła na emeryturę i zamieszkała w pobliskim Chicopee, a o jej następcy nikt nic nie wiedział, poza nazwiskiem, które widniało w uczelnianym terminarzu zajęć: pan mgr J. Castleman.

Zapisałam się na te zajęcia nie dlatego, bym uważała, że jestem jakoś szczególnie utalentowana, ale ponieważ wymarzyłam sobie, że jestem utalentowana, choć nigdy nie odważyłam się tego sprawdzić, z obawy, by mój wymarzony talent nie okazał się tylko przeciętny. Na zajęcia zapisało się dwanaście studentek. Pierwszego dnia wszystkie pojawiłyśmy się w Seelye Hall, weszłyśmy do sali, usiadłyśmy w ławkach, wyciągnęłyśmy zeszyty, jeszcze nie zapisane, jeszcze pełne nadziei, i zaczęłyśmy beznamiętnie rozmawiać. Trwało to dobrych kilka minut, po czym w sali zapadła dziwna, niespokojna cisza. Nie wiadomo było, kim jest pan mgr J. Castleman, ale wiadomo było, że spóźnia się na zajęcia.

Kiedy siedemnaście minut po czasie drzwi wreszcie otworzyły się z impetem, byłam zaskoczona tym, co zobaczyłam. Wszystkie byłyśmy zaskoczone. Castleman wyglądał na jakieś dwadzieścia pięć lat, był dość niski i chudy, miał rozwichrzone czarne włosy i wyraźne kolory na policzkach. Niewątpliwie należał do przystojnych mężczyzn, choć w zachowaniu i sposobie ubierania się robił wrażenie abnegata. Nawet książki i notatniki, które ze sobą przyniósł, spięte były byle paskiem i przydawały mu wyglądu nerwowego młokosa. Profesor Castleman poruszał się, lekko kuśtykając; jedna jego stopa, nim oderwała się od podłogi, wykonywała nieznaczne szurnięcie, jakby wahała się przez ułamek sekundy.

- Przepraszam! - powitał nas, z trzaskiem rozpinając pasek i rozsypując cały swój majdan na połyskujący stół; następnie z kieszeni palta wydobyl dwie garście orzechów włoskich, rozjrzał się po sali i dodał: — Mam jednak coś na swoje usprawiedliwienie. Dziś w nocy moja żona urodziła dziecko — uśmiechnął się szeroko.

Siedziałam cicho, ale kilka dziewczyn zaczęło mamrotać słowa gratulacji, jedna jęknęła: „Ooouu...”, a jeszcze inna zapytała rezolutnie:

- Chłopak czy dziewczynka, profesorze?

- Dziewczynka - odpowiedział. - Ma na imię Fanny. Jak Fanny Price oczywiście.

- Ta żydowska piosenkarka wodewilowa? - zapytała któraś bez przekonania.

- Chodzi raczej o Fanny Price z książki *Mansfield Park* - wyrwało mi się cicho.

- Słusznie. - Profesor podniósł palec. - Doskonale. Punkt dla dziewczyny w błękicie.

Spojrzał na mnie z wdzięcznością, a ja, skrępowana niespodziewanym wyróżnieniem, nieśmiało zerknęłam na boki. *Dziewczyna w błękicie*. Moja uwaga wydała mi się raptem próżna i niepotrzebna, ot, czeze słowa, mogłam się tylko pacnąć w głowę. Z drugiej strony łatwo się domyśliłam. Zawsze byłam zachłanną i nienasyconą czytelniczką, która dopisywała na marginesach komentarze i pożyczła swoje książki na prawo i lewo, nawet jeśli miały już nie wrócić; po prostu chciałam się nimi dzielić, chciałam, żeby znajomi przeczytali to samo co ja, żeby przejęli się tym, czym ja się przejęłam. Swego czasu miałam w domu aż trzy egzemplarze *Mansfield Park*. Nie wiem dlaczego, ale chciałam, żeby on wszystko to o mnie wiedział.

Tymczasem mgr J. Castleman znowu sięgnął do kieszeni palta, wyjął małego, srebrnego dziadka do orzechów i wziął do ręki pierwszy orzech. Starając się nie robić hałasu, rozłupał go powoli, zjadł i zabrał się do następnego. Po chwili, jakoś odruchowo, zaproponował nam swój specjał, ale my, jak na komendę,

pokręciłyśmy przecząco głowami, szepcząc: „Nie, nie, dziękuję...” Przez kilka chwil gryzł orzech. Potem, niemal teatralnym gestem, zagarnął do tyłu rozczochrane włosy.

— Zawsze wiedziałem — zaczął w końcu tubalnym głosem — że jak urodzi mi się dziecko, to dam mu jakieś literackie imię. Chciałbym, żeby moje dzieci wiedziały, jak ważne są książki. Chciałbym, żeby także panie to wiedziały — dodał z namysłem. — Bo człowiek się starzeje, a jego życie się wypala, jak zużyta bateria. Wszystko, co kochał, nagle płowieje i ginie mu z oczu, a jeśli nawet uda mu się to na powrót odnaleźć, to okazuje się, że brakuje czasu i siły, by kochać to tak, jak kochał dawniej... Czyż tak nie jest? — zapytał, a my przytaknęłyśmy skwapliwie, choć nie bardzo go rozumiwałyśmy. — Dlatego mojej córeczce dałem na imię Fanny — kontynuował. — I mam nadzieję, że wy, moje drogie panie, kiedy za kilka lat staniecie się dobrze prosperującymi fabryczkami niemowlaków, to wszystkie swoim córeczkom również dacie na imię Fanny.

Po sali przeszedł cichy szmer grzecznego śmiechu. Żadna z nas nie miała jeszcze pojęcia, co o nim sądzić, ale czułyśmy, że już go lubimy. Znowu zrobił dłuższą pauzę, rozłupał kilka kolejnych orzechów, po czym ciepłym i łagodnym głosem zaczął opowiadać o swoich ulubionych pisarzach: Dickensie, Flaubercie, Tołstoju, Czechowie i Joysie.

— Dla mnie Joyce... to jest to — oznajmił. — Chylę czoło przed geniuszem autora *Ulissesa*, choć tak naprawdę, przynajmniej moje serce należy do *Dublińczyków*. Doprawdy, nie ma nic lepszego od *Zmarłych*.

Po tych słowach Castleman oświadczył, że przeczyta nam fragmenty tego opowiadania. W jego rękach pojawiło się nagle stare wydanie *Dublińczyków* w miękkiej, sinozielonej oprawie. Zaczął czytać, a my, w to leniwe, późne popołudnie, przestałyśmy się bawić długopisami, kręcić pierścionki na palcach i dyskretnie ziewać. Niektóre fragmenty opowiadania, zwłaszcza te bliżej finału, były znakomite i pochtaniały uwagę; w sali panowała absolutna cisza. Castleman czytał spokojnie i poważnie,

głosem pełnym szacunku. Kiedy skończył, mówił coś na temat znaczenia śmierci Michaela Fureya, człowieka biednego, skazanego przez los i cierpiącego z miłości, który w opowiadaniu Joyce'a wystaje przez całą noc na trzaskającym mrozie i umiera.

- Mógłbym zaprzedać duszę, mógłbym zamordować w zamian za możliwość napisania rzeczy choć w połowie tak dobrej, dosłownie zamordować - orzekł profesor, po czym się zmytygował. — No dobrze, nie dosłownie. Metaforycznie. — Pokiwał głową. — Bo dobrze wiem, moje drogie panie, i dzielnie przyjmuję tę bolesną prawdę, że nigdy nie będę w stanie napisać czegoś podobnego... — Zrobił raptem pauzę i niepewnie spojrzął w odległy kąt. - Cóż, nadszedł chyba moment, w którym powinienem się przyznać, że sam trochę piszę. Napisałem już parę opowiadań... Ale — znowu odzyskał wigor — nie o mnie przecież mamy tu mówić, lecz o literaturze! - Wypowiedział to słowo, zabawnie przeciągając ostatnią sylabę, po czym rozejrzał się po sali. — Kto wie? - dodał. - Może i któraś z was napisze kiedyś *coś* wielkiego. Niezbadane są wyroki boskie.

Jak się domyśliłam, dał nam do zrozumienia, że jego wyroki są zbadane, już zapadły i nie rokują najlepiej. Mówił jeszcze przez jakiś czas, a najpilniejsze dziewczęta skrupulatnie wszystko notowały. Zerknęłam przez ramię do zeszytu Susan Whittle, siedzącej obok rudej, zarumienionej dziewczyny w moherowym sweterku. Na kartce notatnika napisała piękną kaligrafią:

Literatura = SZTUKA + EMOCJE! Np. powieści Virginii Wolfe (spr. pisownię), Jamesa Joyce'a etc. etc. Doświadczeniu nie sposób się oprzeć. *Metafora porównania* W KONIECZNIE: kupić DZIŚ serpentyny & piwko - pierwsza imprezka na roku.

Niebo za wysokimi oknami ciemniało, z wolna zapadł zmierzch. Chodnikami przechadzały się jakieś dziewczęta, ale nie zwróciłam na nie uwagi, ot, idą ludzie, nic poza tym. Spojrzałam znowu na profesora Castlemana. Świeżo upieczony ta-

tuś; żona i dzieciaczek w ciepłej pościeli miejskiego szpitala. Inteligentny i wrażliwy człowiek. Próbowałam dociec przyczyn utykania; albo został ranny w Korei, albo przeszedł w dzieciństwie polio.

Wyobraziłam go sobie starszego o dziesięć lat, zatrzaśniętego w pancerzu żelaznego płuca. Leży nieruchomo, tylko głowa mu wystaje na zewnątrz, a uprzejma pielęgniarka czyta na głos *Olwera Twista*. Smutny to obrazek, niemal się popłakałam nad losem chłopca, którego zaczęłam już mylić z postacią książkowego Twista. Poczułam wobec profesora Castlemana zwykłą ludzką słabość, nie tylko wobec niego, także wobec jego żony i ich bobasa; wobec trzech gwiazdek tworzących delikatną konstelację Castlemanów.

Po zakończeniu zajęć niektóre dziewczęta podjęły próbę nawiązania bardziej osobistych więzi z profesorem; wyglądało to trochę tak, jakby machały mu przed oczami ręką i krzyczały: „Halo, halo! Jestem tutaj!” Oczywiście, trudno mówić, że wyobrażały go sobie jako kochanka — w końcu był już zajęty — ale z drugiej strony, właśnie ro, że „był zajęty”, czyniło całą sytuację o wiele subtelniejszą.

— Napiszcie, co chcecie i co wiecie! — pożegnał nas dobrą radą, wyznaczając pierwsze pisemne zadanie domowe.

Po obiedzie (jadłam placek pasterski, czyli zapiekankę z baraniny i ziemniaków, dobrze to pamiętam, bo siedziałam nad talerzem, gapiłam się w placek i próbowałam opisać go w sposób literacki; wyszło mi coś żałośnie górnolotnego: „sklepienie puree rozpięte grubym płatem na przycupniętej świątyni mięsa”) poszłam do biblioteki Neilsona. Na wysokich stalowych regałach na piętrze stały stare egzemplarze jakichś periodyków naukowych: „Annały Fitochemii”, wrzesień-listopad 1922, „Międzynarodowy Dziennik Hematologiczny”, styczeń-marzec 1931. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek otworzy jeszcze kiedyś te szpargały, czy też pozostaną na wieczność zamknięte, niczym baśniowe bramy Sezamu.

Może to właśnie ja mam je otworzyć, złożyć czarodziejski

pocałunek na poźółkłych, kruchych stronach i zdjąć złe zakłęcie? Czy warto pisać? A jeśli nikt nie przeczyta tego, co uda się napisać? Jeśli moje nietknięte książki będą do końca świata żółknąć na zimnych półkach bibliotek? Usiadłam w kąciku i zapatrzyłam się smutno w zakurzone grzbiety odtraconych wolumenów i słabe zarówki w drucianych abażurkach. Dochodziło mnie tylko odległe szuranie krzesła i skrzypienie wózka z książkami.

Zatopiłam się na dłuższą chwilę w myślach. Usiłowałam zastanowić się nad tym, co ja tak naprawdę wiem. Nie widziałam i nie znałam jeszcze nic; wyprawa z rodzicami do Florencji i Rzymu w wieku piętnastu lat upłynęła mi pod osłoną dobrych hoteli i przyciemnionych szyb autokarów; kamienne fontanny na środku osłonecznionych *piazze* oglądałam tylko z daleka. Od tamtego czasu bagaż mego życiowego doświadczenia i wiedzy niewiele się zmienił, nie przybrał na wadze, nie przytłoczył mnie. Stałam wówczas w grupie innych Amerykanów — wszyscy ciasno stłoczeni zadzierali głowy, wpatrując się z otwartymi ustami w malowane sklepienia. Pomyślałam sobie teraz, że nigdy jeszcze nie stałam naga przed mężczyzną, nigdy jeszcze się nie zakochałam, nigdy nie uczestniczyłam w politycznym spotkaniu w niczyjej piwnicy, nigdy nie zrobiłam niczego porywającego i odważnego, co można by uznać za coś wynikającego ze mnie, a nie z naporu otoczenia. Koleżanki w Smith College otaczały mnie równie ciasno jak amerykańscy turyści we Włoszech. Dziewczęta w grupkach dają to samo poczucie bezpieczeństwa co ciepły placek pasterski.

Siedziałam na piętrze biblioteki, nie zważając już na przenikliwe zimno, i nagle postanowiłam, że będę pisać. Natychmiast. I zaczęłam. Bez cenzury wewnętrznej, bez krytyka wytykającego trywialność, płytkość czy marną konstrukcję napisałam opowiadanie o nieprzeniknionym murze kobiecości, która uformowała moje życie. To znałam na pewno. Napisałam o trzech perfumach - Chanel No 5, White Shoulders i Joy - których woń wyczuwało się w kampusie. I o śpiewie, jaki niósł się

z sześciuset żeńskich gardeł, gdy wrywało się z nich chóralne *Gaudeamus igitur*.

Kiedy skończyłam pisać, siedziałam jeszcze przez jakiś czas w czytelnianym kąciaku. Myślałam o profesorze J. Castlemanie, o tym, jak przymykał oczy na zajęciach. Jego powieki były lekkie, jasnopurpurowe, tak delikatne, że niemal przeświecające; zdawało się, że nie są władne spełniać swej podstawowej funkcji, jaką jest odgradzanie od świata. Może właśnie na tym polega bycie pisarzem: widzieć z zamkniętymi oczami?

Tydzień później siedziałam niecierpliwie przed pokojem profesora Castlemana w godzinach jego dyżuru, doprowadzona długim wyczekiwaniem do białej gorączki. Ktoś był w środku; zza drzwi dobiegały mnie mamroczące na przemian głosy, męski i kobiecy, przerywane raz po raz wybuchem kobiecego chichotu, który tylko potęgował moją złość. Co tam się dzieje? Urządzają jakiś bankiet? Częstują winem i świeżymi kanapkami? Kiedy wreszcie otworzyły się drzwi, stanęła w nich Abigail Brenner, dziewczyna z mojej grupy. W rękę trzymała swoje opowiadanie, które przepisywała i poprawiała w kółko od pierwszego dnia zajęć, nudne jak flaki z olejem, o niedawnej śmierci jej babci (obustronne zapalenie płuc). W głębi pokoju dostrzegłam sylwetkę Castlemana; siedział za biurkiem, bez marynarki, w białej koszuli z krawatem.

- Och, witam, panno Ames - zawołał, gdy zauważył, że stoję w progu.

- Dzień dobry, panie profesorze - odpowiedziałam, weszłam i usiadłam na drewnianym krześle po przeciwnej stronie biurka.

Przed Castlemanem leżało moje opowiadanie, które zostawiłam wcześniej w jego przegródce pocztowej na wydziale.

- Właśnie, właśnie, opowiadanie... — Spojrzył na nie pogodnym wzrokiem.

Na kartkach maszynopisu nie dostrzegłam prawie żadnych czerwonych znaków, żadnych hieroglificznych komentarzy ani poprawek.

- Przeczytałem je dwukrotnie - oznajmił. - I, szczerze powiem, za każdym razem wydało mi się znakomite.

Każdej tak mówił? To samo sądził o kretyńskim opowiadaniu Abigail Brenner? Uznałam, że nie. Moje opowiadanie było rzeczywiście dobre. Napisałam je dla niego, żeby sprawić mu przyjemność, i najwyraźniej dopięłam swego.

- Dziękuję - odparłam cicho, uciekając wzrokiem.

- Z pewnością nie wie pani, o czym mówię, prawda, panno Ames? — ciągnął. — Pani nawet nie ma pojęcia, jak dobrze pani pisze. Ta skromność też mi się podoba, to niezwykle ujmujące, proszę się nie zmieniać.

Przytaknęłam głową, trochę zakłopotana, i zrozumiałam, że taką właśnie chciałby mnie widzieć: nieprzeciętną, ale niewinną. Poczulałam też, że nie mam nic przeciwko temu, by być taka. Może to jest właśnie cała prawda o mnie? — pomyślałam.

- Panno Ames, panno Ames - uśmiechnął się filuternie. - Co ja mam z panią zrobić?

Odwzajemniłam uśmiech, czując się coraz swobodniej w tej dziwnej, nowej roli.

- Skoro nie mam się zmieniać... - odezwała się po chwili - Moja przyjaciółka, Laura, powiedziałaaby, że *powinien* mnie pan zamarynować...

Castleman złożył ręce za głową i oparł się wygodniej w fotelu.

- Hm... może pani przyjaciółka wie, co mówi - powiedziała wolno.

Na tym zakończyła się towarzyska część naszego spotkania i pochyliwszy się nad tekstem, zabraliśmy się do pracy. W jego oddechu wyczułam woń orzechów włoskich.

- „Drzewa odchyliły się, jakby wylęknione” — przeczytał głośno i skrzywił się, jak gdyby rozgryzł nagle gorzki orzech. - No, nie wiem... Brzmi jakoś sztucznie, prawda? Na pewno stać panią na coś lepszego.

- Och, tak... Sama nie byłam pewna tego zdania — odpowiedziałam! szybko i pomyślałam sobie, że to najgorsze zdanie ze wszystkich studenckich esejów w historii.

- Dała się pani ponieść wewnętrznemu głosowi — tłumaczył Castleman. - Też taki byłem na pierwszym roku. Choć mój wewnętrzny głos, w przeciwieństwie do pani, niezbyt chciał mnie ponosić.

- Och... Na pewno jest pan znakomitym pisarzem — zaszczybiotałam.

- Nie wiem, jakim jestem pisarzem, ale z pewnością nie urodzonym pisarzem — powiedział. — Raczej takim typem, który siada przy stole, poświęca na to cały boży dzień i ma nadzieję, że ktoś doceni sam wysiłek. Ale o jednym proszę pamiętać, panno Ames: samego wysiłku nikt nie doceni.

Rozległo się pukanie do drzwi. Castleman złożył mój maszynopis i powiedział:

- Kiedy znowu usiądzie pani nad kartką papieru przy nocnej lampce, proszę pamiętać, że ma pani cichego wielbiiciela.

- Dziękuję.

- I na litość boską, niechże coś pani zrobi z tymi wylęknionymi drzewami...

Zaśmiałam się, w nadziei, że robię wrażenie, jakbym wszystko doskonale rozumiała. Wstałam i sięgnęłam po opowiadanie; nasze dłonie otarły się o siebie.

- Proszę wejść! - krzyknął.

W drzwiach pojawiła się rudowłosa w moherowym sweterku, Susan Whittle. Już wcześniej zauważyłam, że na swej białej, wrażliwej skórze Susan zdradzała najmniejsze nawet emocje. Można by pomyśleć, że trwała w permanentnym stanie palącego wstydu. Także teraz na jej szyi wykwitła gęsta sieć różowych plamek. Ja tymczasem byłam anielsko spokojna, jakby ktoś zaaplikował mi dawkę leków uspokajających. Bez słowa wyszłam na korytarz i przeszłam obok sąsiednich gabinetów, w których inni profesorowie i inne studentki prawili sobie uprzejmości, obok tablicy informacyjnej z programem letnich kursów w Rzymie i Oksfordzie, i obok sekretarki wydziału, starej kobiety z nieodłącznym słoiczkiem landrynek.

Od tamtego dnia czułam na zajęciach spokój; jakby tamta

wyimaginowana dawka miała długowieczne działanie. Gdy Castleman mówił o literaturze lub sztuce pisania, pochłaniał moją uwagę całkowicie. Siedział nad rozsypanymi na stole kilkunastoma orzechami, łupał je z uporem, łamał większe skorupki, pracowicie wyłuskiwał miąższ, pogryzał jego drobne kawałeczki i mówił.

Któregoś dnia oznajmił, że na uczelnię przyjedzie w przyszłym tygodniu pewna „bardzo utalentowana pisarka”. Będzie czytała swoje teksty i on bardzo prosi, abyśmy wszystkie były obecne.

— Mówi się, że to nietuzinkowy talent - tłumaczył. - Przeczytałem pierwszy rozdział jej powieści; ponury, zimny... Z pewnością wywołuje niepokój wśród damskiej części czytelników. Widać, że autorka pisze z błyskiem. Muszą panie przyjść, ostrzegam, że sporządzą listę obecności, którą sumiennie sprawdzę.

Niektóre dziewczęta spojrzały po sobie zaniepokojone, zdając się wierzyć, że to groźba rzucona nie na wiatr.

Tak więc w następną środę wybrałam się do sali wykładowej w Bibliotece Neilsona posłuchać Elaine Mozell. Było to dla mnie pierwsze takie spotkanie. Krzesła rozstawiono bez specjalnego porządku; usiadłam gdzieś z brzegu. Ktoś z wydziału wygłosił krótkie wprowadzenie i zaraz potem na mównicy stanęła kotpulentna, niska kobieta o jasnych, potarganych włosach, z długim, fioletowym szalikiem zarzuconym luźno wokół szyi.

— Przeczytam fragment powieści, której dałam tytuł *Śpiące psy* - oznajmiła donośnym, ochrypłym głosem, zdradzającym słabość do alkoholu i papierosów.

Od razu polubiłam ten tembr; nie spotkałam dotąd nikogo, kto mówiłby w taki sposób.

— Wiem, że większość z was jej nie czytała — mówiła dalej pisarka. — Mimo entuzjastycznych recenzji, jak to się ładnie mówi, sprzedano jej zaledwie tysiąc pięćset trzy egzemplarze, a większość z tych tysiąca pięciuset trzech egzemplarzy — kontynuowała — kupili moi krewni, sownie przeze mnie opłaceni.

Tu i ówdzie ktoś się zaśmiał. Ja również. Czułam, że chcę

polubić tę książkę bez względu na to, jaka jest. To nagle stało się dla mnie ważne i kiedy zaczęła czytać, z ulgą stwierdziłam, że rzeczywiście książka może się podobać. Opowiadała o inicjacji seksualnej młodej dziewczyny na samotnej farmie gdzieś na pustkowiach stanu Iowa. Bardzo dosadnym językiem Mozell opisała scenę, w której muskularny parobek bierze dziewczynę na poddaszu starej obory, przy akompaniamencie ryczących pod nimi krów. Gorące chwile uniesień pokazała zarówno z punktu widzenia dziewczyny, jak i chłopaka. W żadnym jednak razie nie był to zwykły romans; utwór wybiegał poza świat wiejskiej dziewczyny. Z niebywałą lekkością pióra autorka wchodziła w szczegóły dotyczące nasion kukurydzy i soi, a nawet, krótko, w historię legendarnych traktorów „John Deere”.

W powieściach pisanych przez mężczyzn często można było wtedy znaleźć wręcz homeryckie katalogi dokładnych informacji: począwszy od tego, co ile kosztuje, a skończywszy na tym, jak to smakuje i jakie jest w dotyku. Na lądzie czy morzu, zawsze odróżniają ziarna od plew. Powieść Elaine Mozell nie była inna. Potok starannie dobieranych słów płynął z niej nikotynowym głosem, a jego donośność bardzo szybko rozbudziła senną salę. Kiedy po dobrej godzinie Mozell skończyła czytać, rozległy się owacje, a jej twarz zapłonęła rumieńcem.

Nieco później, podczas skromnego bankietu w sali wystanej cienkim dywanem, z lampionami w rdzawych kolorach sepii, młoda pisarka stała w narożniku, między dwójkiem wykładawców: mężczyzną i kobietą. Cała trójka rozprawiała o czymś żywo, choć oczywiście głos Elaine Mozell brzmiał najdonośniej. Wzlatywał co chwilę wybuchem śmiechu lub głośnym westchnieniem. Tego wieczoru nie musiała już więcej grać, występować przed publicznością, stać przed nami i mówić o seksie i irygacji. Nie musiała już używać takich słów jak „snopowiązałka”. Znów czuła się wolna i było to widać po jej jasnych oczach i czerwonych policzkach. Strzeliła sobie whisky z lodem, potem drugą i trzecią, i kiedy innym zaczynało ledwie szumieć w głowach, Elaine Mozell była już mocno wstawiona.

Stałam w zwartym kółku nieśmiałych dziewcząt z mojej grupy. Z daleka, w milczeniu, wszystkie przypatrywałyśmy się pi-sarce i krążącym wokół niej satelitom. Wkrótce na jej orbitę wszedł profesor Castleman; widziałam, jak zatacza łuk, by znaleźć się przy samym łokciu Elaine Mozell. Zauważyła go, odwróciła się do niego, uściśli sobie dłonie, on szepnął jej słówko w przesłonięte włosami ucho, ona roześmiała się i odszepnęła coś, nachylając się do jego ucha. Czułam się jak idiotka. Miałam na sobie grubą kamizelkę i spódnicę w szkocką kratę ze złocistą, ozdobną, dużą agrafką. Ogarnęła mnie ochota, by wyrwać tę agrafkę i jednym pchnięciem wpakować ją sobie w oko.

Nie śmiałam podejść. Profesor Castleman spostrzegł mnie jednak i skinął zapraszająco ręką. Po chwili przedstawił mnie Elaine Mozell: „To jedna z naszych najbardziej obiecujących młodych pisarek”. Kobieta obrzuciła mnie bacnym spojrzeniem. Byłam absolutnie pewna, że na ułamek sekundy zatrzymała wzrok na kretyńskiej agrafce. „Nie szaty zdobią człowieka...” — miałam ochotę powiedzieć, kuląc się z wrażenia, gdy ścisnęła mi rękę. Zamiast tego powiedziałam, że bardzo podobało mi się, jak czytała swoją książkę, i że postanowiłam przeczytać ją całą.

- To świetnie, jeśli tylko ją znajdziesz - rzuciła. - Obawiam się, że będziesz musiała przekopać się przez stopy męskich epepej o wieku niewinności i brzemieniu ich życia.

Wszyscy, z profesorem Castlemanem włącznie, gorąco zaprotestowali, przekonując, że to przesada i nieprawda, że jej powieść jest jedyna w swoim rodzaju, że ma wartość, że bla, bla, bla...

Z tego chóru po chwili przebił się głos Castlemana.

- Ależ panno Mozell, na pewno nie jest tak, jak pani mówi.

- Skąd to mniemanie?

- Przecież - nabrał oddechu - w ostatnim czasie ukazały się książki auterek, które zasługują na najwyższe uznanie, bardzo mi się podobają i bardzo je sobie cenię. Choćby pisarki amerykańskiego Południa; dają tradycję, lokalny koloryt, tworzą takie literackie kółko gospodyń, ze wspinałą Flannery O'Connor na

czele. To kobiety, których znakomite piarstwo nierozzerwalnie wiąże się z regionem, w którym się wychowały i mieszkają.

Mówił, a ja patrzyłam, jak wymienia z Mozell spojżenia, jakby znaki tajnego kodu, jak potakują głowami, jak on swobodnie opiera łokieć o ścianę, jak okazują sobie wzajemne zainteresowanie, a reszta wykładowców i studentów stoi w potulnym kręgu, niczym statyści w roli ludu, który odśpiewawszy swoje kwestie, ustępuje miejsca gwiazdom operowego spektaklu. Mozell okazała się zgorzkniała, pełna rezerwy i niełatwa w dyskusji; niegdyś zapewne atrakcyjna kobieta, ale dziś zbyt ciężka, zbyt szeroka w ramionach i żywiąca zbyt wiele urazy do świata, by przyciągać ludzi. Mimo to interesowała profesora Castlemana. Być może budziła w nim niechęć, ale przede wszystkim nadzwyczajne zaciekawienie. Miała niewątpliwy talent i ogromne umiejętności; może nietypowe, silne, wywołujące niepokój, trochę jakby męskie. Elaine Mozell należała do kobiet chmurnych i gniewnych - bo sprzedała tylko tysiąc pięćset trzy egzemplarze swej powieści, bo znała swą wartość, ale wiedziała, że talent może nie mieć żadnego znaczenia.

- Flannery O'Connor - zaczęła - to geniusz, trudno zaprzeczyć, i wcale nie mówię tego z przekąsem, ale CConnor to wybryk natury, taka uduchowiona, tak z głębi duszy katolicka, taka silna.

- To ważna postać w literaturze — odezwał się jakiś inny wykładowca. — Od lat omawiam jej książki na zajęciach z groteski; jedyna kobieta na liście lektur, drugiej takiej ze świecą szukać.

- Ale panna Flannery posiada też coś, czego ja nigdy nie będę miała - ciągnęła Elaine. - Jej „południowość” automatycznie wyposaża ją we wspaniały, barwny obszar, o którym może pisać w nieskończoność. Na tym buduje swoje piarstwo. Regionalność, nie wiedzieć czemu, ludziom ciągle wydaje się egzotyczna i atrakcyjna. - Przerwała na chwilę, podsuwając któremuś z panów szklaneczkę do napełnienia. — Ludzie chcą czytać o starym, dobrym Południu, gorącym i szalonym, i zawsze będą lubić piararki z Południa - mówiła dalej. - Nigdy jednak nie będą chcie-

li ich znać! Dlaczego? Bo to dziwadła. Cała ta święta O'Connor, cała ta stuknięta, androginiczna Carson McCullers... Kto chciałby mieć z nimi do czynienia? A ja nie chcę uchodzić za dziwadło. Chcę tylko być kochana. - Wychyliła spory łyk whisky. - Właściwie żałuję, że nie jestem lesbijką — wypaliła raptem. - Naprawdę.

Nastąpiła chwila konsternacji.

- Chyba nie mówi pani... — rozpoznałam nieśmiały dysz-kant naszej pani dziekan, ale Elaine Mozell nie dała jej dojść do głosu.

- Jak najbardziej — zahuczała. — Sęk w tym, że pasjami kocham mężczyzn, choć wcale na to nie zasługują. Ale jeśli zdarzyłoby mi się zostać taką literacką lesbijką, w nosie miałabym, co świat sobie o mnie pomyśli lub czy w ogóle sobie coś o mnie pomyśli.

Ktoś coś odpowiedział, rozmowa toczyła się dalej, coraz mniej zajmująca. W końcu pierwsi goście zaczęli wychodzić. Robiło się późno. Na korytarzu czekała sprzątaczką z odkurzaczem, wiadrem i mopem. Ja również czekałam, mnąc w palcach serwetkę z herbem Smith College, ale nie bardzo wiedziałam na co. W pewnej chwili Elaine Mozell rzuciła na mnie okiem i nagle ujęła delikatnie moje ramię. Szybciutko odciągnęła mnie na bok, do małej wnęki, tak sprawnie, że nawet nie zdążyłam się odezwać

- Powiadają, że masz talent, hm? - zapytała.

- No, może... - zaczęłam.

- W takim razie miej się na baczności! — ostrzegła krótko.

Nikt nas nie słyszał. Stałyśmy za marmurowymi popiersiami czcigodnych, nieżyjących od dawna kobiet, zapewne szlachetnych patronek college'u.

- Dlaczego? - nic nie rozumiałam.

- Nie daj się im zwieść. Nie myśl, że naprawdę zdobędziesz ich uwagę.

- Czyją uwagę?

Spojrzała na mnie smutnym wzrokiem, trochę zniecierpli-

wioną, jakbym była małą, słodką idiotką. Idiotką ze złocistą agrafką w kraciastej spódnicy.

- Mężczyzn - odpowiedziała z westchnieniem. - Tych, którzy piszą recenzje, którzy szefują wydawnictwom, wydają gazety, czasopisma, którzy decydują, kto ma być potraktowany poważnie, kto ma stanąć na parnacie i zostać tam do końca swoich dni. Kto ma zostać Panem na Kupie Gnoju.

- Pani twierdzi, że to jakiś... spisek? - zapytałam.

- Jeśli powiem, że to spisek, wyjdę na wariatkę i zazdrosną sekutnicę. - Elaine Mozell wzruszyła ramionami. - Nie jestem ani jednym, ani drugim. Ale... owszem. Tak. Myślę, że od biedy można by to nazwać spiskiem. Mającym na celu tłumienie głosu kobiet i sprawienie, by głos mężczyzn brzmiał donośniej — ostatnie słowo wypowiedziała specjalnie głośno.

- Och... rozumiem - nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Uważaj. Nie szukaj u nich uznania. Znajdź własną drogę. Tylko niewielu kobietom udaje się coś osiągnąć, głównie tym, które piszą opowiadania, tak jakby kobiety łatwiej było im zaprobować w miniaturach.

- Może kobiety różnią się od mężczyzn? - spróbowałam. - Może chodzi im o coś zupełnie innego niż mężczyznom?

- Tak. - Elaine kiwnęła głową - to niewykluczone. Ale mężczyźni, ze swymi wielkimi retrospektywami, wielkimi książkami, w których pragną zawrzeć wszystko, wielkimi garniturami i wielkimi głosami, są zawsze hojniej wynagradzani. To oni są ważni. A wiesz dlaczego? - Pochyliła się do mnie. - Bo sami tak twierdzą!

Po tych słowach odwróciła się gwałtownie i odeszła, a ja wróciłam do akademika. Przez całą noc źle się czułam; nie mogłam zasnąć, miałam mdłości. Pisarstwo Elaine Mozell, jak czas pokazał, nie przetrwało próby. Jej soczysta powieść nie miała do druku i nigdy nie została wznowiona; znikła, ulotniła się, stała się najwyżej przemijającą ciekawostką, jednym z tysięcy nic nie mówiących tytułów, sprzedawanych za dwadzieścia pięć centów na straganie przy szosie w Yermoncie, a potem stawianych na

półkę w pustych pokojach gościnnych, choć żaden gość i tak nigdy nie bierze ich do ręki.

Czasem zastanawiałam się, co się stało z Elaine Mozell. Po *Śpiących psach* nic już nie opublikowała. Może nie było to już dla niej proste; może wyszła za mąż, urodziła dzieci, może zaczęła wieść życie, w którym nie ma czasu na pisanie, może wpadła w alkoholizm, może wydawcy odrzucają jej maszynopisy, może „nie została w niej żadna książka”, jak ludzie często mówią o pisarzach, wyobrażając ich sobie niczym potężne spiżarnie, które są albo pełne po brzegi, albo puste jak w czasie wojennej zawieruchy.

Może zmarła. Nigdy się tego nie dowiedziałam. Jej powieść dołączyła do wielkiego, toczącego się przez świat cmentarza niekochanych książek i może ona sama, niepokieszona, rzuciła się w ten grób.

Któregoś dnia, jakiś miesiąc po rozpoczęciu roku akademickiego, gdy miałam już za sobą trzy konsultacje z profesorem Castlemanem, każdą zakończoną tyradami pochwał na mój temat, po wykładzie profesor poprosił mnie przy wszystkich do siebie. Podeszłam podniecona, z trudem zachowując kamienną twarz.

— Panno Ames, chciałem panią o coś prosić — zaczął. - Moglibyśmy się trochę przejść i porozmawiać?

Skinęłam głową, widząc kątem oka, że dziewczyny zerkają na nas z zainteresowaniem. Rochelle Darnton, znana z tego, że z uporem godnym maniaka wieńczyła swoje opowiadania niespodziewanym zakończeniem, nawet jeśli nie było to potrzebne („Jak w opowiadaniach O. Henry'ego”, mówiła na swoją obronę), westchnęła głośno, wkładając płaszcz, jakby wiedziała, że profesor Castleman nigdy nie wywoła po zajęciach jej nazwiska, nie wyciągnie jej na spacer, nie poprosi na stronę i nie zachęci, by dała z siebie więcej, bo ją na to stać.

Myślałam, że Castleman chce mi powiedzieć, że zgłosił moją kandydaturę do fundowanej przez uczelnię nagrody literackiej

w wysokości stu dolarów. Albo że chce mnie zaprosić do restauracji, na kolację, na prawdziwą schadzkę — pewna dziewczyna z mojego piętra w akademiku co kilka dni zniknęła z jakimś profesorem chemii. Nie umiałam rozstrzygnąć, czy chodzi mu o literaturę czy miłość. Ale z kimś takim jak J. Castleman miłość do literatury może się przerodzić w miłość do człowieka, prawda? Miałam nadzieję, że to prawda, ale tę nadzieję szybko zgasila myśl, że to moje złudzenia, okłamywanie się i niedopuszczalne nadużycie.

Doszliśmy do centrum kampusu, kiedy Castleman zapytał:

- Pamo Ames, czy w najbliższą sobotę ma pani wolny wieczór?

Odparłam, że tak. Obok mijały nas idące wolno dziewczęta.

- To znakomicie - odparł. - Czy nie zechciałyby pani zaopiekować się moją córeczką? Wie pani, od czasu gdy się urodziła, nie mieliśmy z żoną okazji wyjść razem z domu.

- Oczywiście — rzuciłam pustym głosem. — Uwielbiam dzieci.

Nie było w tym krzty prawdy. Poczułam na policzkach rumieniec wstydu i upokorzenia, zdając sobie nagle sprawę, jak okrutna okazała się rzeczywistość. Ale zawsze to coś. Lepsze to, niż w ogóle być niezauważoną. Tak więc sobotę wieczór wymówiłam się od potańcówki organizowanej w Northrop House i ruszyłam pieszo długą Ełm Street, zostawiając za plecami dźwięki *String of Pearls*, zakłócone gramofonowymi trzaskami i junackimi okrzykami chłopców. Gdy znikły uniwersyteckie zabudowania, wtopiłam się w miasto, ogrody, domy, rodziny.

Na Bancroft Road nie było latarni ulicznych i przez duże okna frontowe budynków mogłam podpatrzeć, jak domownicy - wykładowcy, ich żony i ich dzieci - krzątają się po kuchni i salonie. Czy tak wygląda dorosłe życie? Wcale nie tak ekscytujące, bujne i nieograniczone, jak się wydawało, ale przeciwnie: zamknięte i równie jak dzieciństwo pełne zakazów? Co za rozczarowanie. Przecież liczyłam na coś innego, czekałam na otwartą, wciągającą przestrzeń, wyobrażałam sobie wolność. „Może tylko *mężczyznom* jest dane odczuć wolność?“, myślałam, patrząc, jak młoda matka idzie przez pokój, zatrzymuje się i podnosi coś

z podłogi (bucik, zabawkę?). Bo w roku 1956 kobiety musiały nieustannie podejmować próby przekraczania granic, musiały zawsze negocjować; czy mogą wyjść wieczorem z domu albo czy mogą dopuścić do siebie mężczyznę, gdy są tylko we dwoje. Mężczyźni nie zaprzatali sobie głowy takimi sprawami; wychodzili, gdzie i kiedy chcieli, czy było ciemno czy zimno, czy ulice były gwarne czy ciche jak makiem zasiał. I pozwalali wędrować swoim dłoniom, rozpinali paski, a potem spodnie, i nigdy nie musieli w duchu błagać: „Dość, dość, niech już przestanie, ani kroku dalej, muszę to przerwać”.

Bancroft Road robiła wrażenie krainy, gdzie wszyscy zatrzymali się w pół drogi. Smith College to nie Harvard; ma renomę, ale brakuje mu prawdziwego poziomu akademickiego. Mężczyźni, którzy znajdują tu posady, w pierwszym odruchu czują radość i satysfakcję, planują zapuścić tu korzenie swej kariery naukowej na dłuższy czas. Wkrótce jednak coś ich porywa, pragnienie, by iść dalej, by przenieść się do większego miasta, nie marnować doktoratu, publikacji i mozolnie przygotowywanych wykładów dla dziewcząt, które pochłaniają wszystko, co im się powie, ale potem nikną z horyzontu; wychodzą za mąż, rodzą dzieci i zapoczątkowują długi proces sukcesywnego zapominania.

Dom Castlemanów był niewielki, szary, ze skośnym dachem i poddaszem. Stał z dała od ulicy, za rozległym trawnikiem. Kiedy weszłam na ganek i wcisnęłam dzwonek, rozległo się raczej jakieś beczenie niż śpiewny gong. Profesor Castleman stanął w drzwiach w świetle żółtawej żarówki.

— Na pewno pani zmarzła - powitał mnie, zapraszając do środka. Miał na sobie nie dopiętą koszulę i zawieszony na szyi, nie zawiązany jeszcze krawat. — Ostrzegam, straszny tu bałagan - uśmiechnął się.

Pachniał jakimś balsamem po goleniu. Na lewej stronie podbródka zauważyłam drobne, krwawe zadraśnięcie. Z głębi domu dochodziły dźwięki melodii z albumu *South Pacific*, a gdzieś jeszcze dalej zrywał się głośny płacz dziecka i wołanie kobiety.

— Joe? Joe? Możesz przyjść na chwilę?

Ma na imię Joe. Nie wiedziałam o tym i jakoś bałam się przypinać imię do jego nazwiska. Po schodach schodziła żona z dzieckiem na ręce. Podniosłam oczy. Dziecko już nie płakało, ale buźkę miało wciąż czerwoną od łez. Pani Castleman wcale nie była piękna; niska, niepozorna kobieta, mocno po dwudziestce, z widocznym zmęczeniem na twarzy, o krótkich, kasztanowatych włosach i rozbieganych oczach. Co on w niej widział? Wyobraziłam sobie profesora w łóżku z tą nieszczególną kobietą. Wydawała się tak inna niż dziewczęta ze Smith College, które na uliczkach kampusu przypominały zgrabne gazele skubiące soczyste listowie. Stała przy schodach i sięgała dłonią do pupy dziecka, sprawdzając ciężar i zawartość pieluchy. Z ręką wsuniętą pod niemowlęcy kaftanik wyglądała jak lalkarz, który przygotowuje pacynkę do występu — dziecko było jej poddane; przynajmniej na razie.

— Dzień dobry — powitała mnie bez specjalnego zainteresowania. — Carol Castleman. Miło mi.

Próbowałam zachowywać się naturalnie. Podałam rękę z szerokim uśmiechem, niczym radosna studentka Smith College, wzięta żywcem z kolorowego katalogu uczelni; wokół mnie powinny jeszcze opadać jesienne liście.

— Mnie również — odpowiedziałam. — Och, dzidziuś, witaj, bobasku — zmusiłam się, by powiedzieć coś bezpośrednio do dzieciaka. — Co za słodkie maleństwo.

— Nigdy jeszcze nie zostawała sama z opiekunką - wyjaśniała trochę zdenerwowana pani Castleman. — Ale to jeszcze niemowlę, nie sądzę, żeby się wystraszyła i chowała potem urazy do końca życia. Choć są tacy, którzy tak twierdzą. - Żona profesora przełożyła dziecko na drugie ramię i dodała wyjaśniającym tonem: — Studiuję psychoanalizę. Ptoszę tędy, pokażę pani dom.

W pokojach panował nieład, wszędzie widać było stosy książek i papierzysek, rozsypane zabawki, wpółotwarte szuflady, nie domknięte szafy, przekrzywione klosze na lampach. Pani Castleman nie uważała jednak za konieczne, by przeproszać lub coś

tłumaczyć. Dziewczynka spała razem z rodzicami, od razu więc poszłyśmy do małżeńskiej sypialni na piętrze. Szłam po schodach, wiedząc, że za chwilę zobaczę miejsce, gdzie każdej nocy pan Castleman kładzie się u boku żony i bierze ją w ramiona. Łóżko było zasłane, choć widać, że w pośpiechu. Obok niego stała biała, wiklinowa kołyska. Na jednym z nocnych stolików leżało kilka orzechów włoskich. Joe wyszedł z łazienki w pełnej gali. Stał w drzwiach. Krawat idealnie zawiązany. Mankiety spięte spinkami. Włosy, jeszcze wilgotne, zaczesane do tyłu, odsłaniały wysokie czoło. Z gramofonu płynął senny, tropikalny głos porzuconej kobiety: „Jestem, jestem twoją wyśpą, nie odchodź... niee...”

- Carol? - zwrócił się do żony. - Wycieczka skończona? Musimy się pośpieszyć.

Ona ujęła go pod ramię i na moment zastygli w portretowej pozycji, czysti i pachnący; cudownie się prezentujące młode małżeństwo uniwersyteckie, gotowe na wieczorny raut. Niewątpliwie uzupełniali się, obdarowywali się czymś nawzajem, ale czymś nieuchwytnym, czego nie sposób było zauważyć i co trudno było sobie nawet wyobrazić, bo przecież on był taki przystojny, a ona tak nijaka i pospolita. Pomyślałam o własnych rodzicach, tak od siebie oddalonych, niczym dwa nieruchome stalaktyty wiszące w zimnej grocie. Nigdy się nie dotykali w obecności innych. Ojciec w nieodłącznym brązowym garniturze, pachnącym męskością i tytoniem, a mama w sukniach, których desenie mogły się kojarzyć tylko z obrusem. Spali w osobnych łóżkach przedzielonych nocną szafką, solidnych, z ciemnego lakierowanego drewna. Którejś nocy moja kochana, dobrodusznym mama, oddana tyłu akcjom dobroczynnym, wypiswszy zapewne jedną lampkę wina za dużo, wślizgnęła się do mojego pokoju i płacząc, wyznała, że ojciec jest dla niej zbyt „grubiański”, jeśli chodzi o „kwestie małżeńskie”. Dopiero dużo później zrozumiałam tę skargę, choć już wówczas przerażała mnie sama myśl, że tato, mój wielki, bezosobowy tato, może się zachowywać „grubiańsko” wobec wątej mamy, gdy kładzie się na niej w jed-

nym z ich łóżek i zrywa z niej przypominającą obrus sukienkę. Teraz, w obecności tej pary, męża i żony, którzy nie byli moimi rodzicami i którzy żyli w świecie dużo bardziej złożonym niż mój świat, czułam się zapóźniona i mocno zgaszona. Powiedziałam do Fanny „bobasku”, ale nie było w moich słowach słodczy. Prawdziwym obiektem zainteresowania nie była malutka Fanny, lecz jej tatuś, człowiek objadający się orzechami i czytający studentkom na głos Jamesa Joyce’a.

—Zatem do zobaczenia i powodzenia — żegnali się wesoło Castlemanowie, zostawiając na stole numery telefonów, butelczki, smoczki i suche pieluchy. - Do zobaczenia, do zobaczenia! - wołali, niknąc w mroku, w drodze na eleganckie przyjęcie gdzieś w gronie innych akademików.

Kiedy poszli, ostrożnie wzięłam becik z berbeciem na ręce i postanowiłam rozejrzeć się po sypialni. Oto ślady życia profesora Joego Castlemana, wszelkie dowody, jakich mi trzeba. W garderobie równy rząd jego butów, w większości znoszonych i wytartych, obok, na toaletce flakonik jego wody po goleniu. Na stole egzemplarz *Listów do młodego poety* Rilkego, z własnoręcznym podpisem właściciela na stronie przedtytułowej; „Joseph Castleman”, duże, zamaszyste litery, „Columbia University, 1948”, jakby już wtedy przeczuwał, że któregoś dnia stanie się sławny i wywoła dreszcz emocji w kimś, kto przypadkiem otworzy tę książkę i natknie się na jego nazwisko. Był jednak rok 1956, on nie był jeszcze sławny, ale podpis i tak wywołał we mnie dreszcz podniecenia; delikatnie pociągnęłam palcem wzdłuż zawijasów. Potem odłożyłam książkę i usiadłam na skraju łóżka, kładąc obok siebie dziecko. Wzięłam do ręki nie sprzątnięte łupiny po orzechach i wolno przesypałam je przez palce. Dziewczynka zwróciła uwagę na ruch. Przez chwilę Fanny i ja parrzyłyśmy sobie chłodno w oczy.

—Jak się masz — powiedziałam. — Zakochałam się w twoim tacie, wiesz? I bardzo chciałabym się z nim przespać.

W odruchu ciekawości otworzyłam szufladę w nocnej szafce jego żony. Chciałam chyba zobaczyć, co znaczy być żoną, co

znaczy wieść życie u boku mężczyzny. Trafiłam na to, czego mogłam się spodziewać: diafragma w pudełku, obok tubka z kremem do diafragmy i aplikator. Poczuję się nieswojo. Wyobraziłam sobie, jak żona profesora, przygotowując się na jego przyjęcie, głęboko wsuwa w swe ciało plastikową błonę i wstrzykuje dawkę kremu. W szufladzie znajdowała się też dentystyczna wykałaczka z gumową końcówką i jeden nie rozłupany orzech. Sięgnęłam po owoc i przyjrzałam mu się; na skorupie zobaczyłam wyrysowane czerwonym pisakiem serce, a pod nim podpis: *Dla C. Kocham - J.*

Teraz poczułam się jeszcze bardziej nieswojo. Diafragma to tylko bezduszny przyrząd; dziewczęta z college'u wracały z czymś takim z nieodległego Springfield, z wizyty u pani ginekolog, wiekowej już kobiety rodem z Wilna, która słabo mówiła po angielsku i nie zadawała wielu pytań. Orzech z dedykacją wydawał mi się o wiele bardziej intymny, nawet trochę perwersyjny. „Jest bardzo kobiecy”, pomyślałam wtedy, wpatrując się w układ fałd i bruzd na łupinie, w jej chłodną, jedwabistą powierzchnię z wyrysowanym czerwonym serduszkim. Ostrożnie włożyłam go z powrotem do szuflady i zajęłam się Fanny, która nagle ożywiła się i rozpłakała, jakby czegoś było jej trzeba. Mleka? Suche pieluchy? Kto to może, do cholery, wiedzieć? Płacz był irytujący, męczył jak kamyk uwierający w bucie. Nie mogłam pojąć, dlaczego dzieciaki na całym świecie otacza się uwielbieniem. To ma być wielką nagrodą, jakiej przyjdzie mi zapragnąć za kilka lat?

Podniosłam dziewczynkę i przytuliłam ją, kołysząc i szepcząc czułe słówka, jednak bez efektu. Nie miałam w tym domu żadnej władzy, żadnego autorytetu, nawet tego magicznego, jaki daje tajemnica diafragmy zanurzonej głęboko w ciele dziewczyny odkrywającej swą seksualność.

Mimo to po powrocie Castlemanów rozpaczliwie usiłowałam zwrócić na siebie uwagę Joego. On podziękował, zapłacił, zaproponował nawet, że odwiezie mnie do Northrop House, ale nie nalegał, gdy zapewniłam, że to niepotrzebne. Wydawało się

raczej, że z ulgą wraca do nieładu swoich domowych pieleszy i do śpiącej już smacznie w kołysce córeczki. Ja również poczułam ulgę, bo o czym mielibyśmy rozmawiać? Jak udałoby się nam przetrwać niezręczne chwile na zimnym siedzeniu wielkiego samochodu, w drodze do akademika, do którego zresztą wcale nie chciałam szybko wracać? Ale gdzie chciałam być? Nie tam, ale na pewno też nie tutaj, wiodąc bezsenne życie zmordowanej żony, która odprowadza męża zazdrosnym spojrzeniem za każdym razem, gdy ten postanowi wyjść z domu. Tak więc pożegnałam się i wyszłam, starając się zrobić wrażenie kogoś, kto jest niezależny, a nie samotny.

Następnego ranka wróciłam do swego kącika w bibliotece i zaczęłam pisać o małej, cichej żonie uniwersyteckiego wykładowcy, która wieczorem przygotowuje się do wspólnego wyjścia z mężem, pierwszego od bardzo dawna, która schodzi po schodach z niemowlakiem na rękach, trzyma dłoń pod *jego* kaptanikiem, jak wytrawny lalkarz kierujący pacynką, i wyobraża sobie, że jak lalkarz będzie umiała kierować dzieckiem przez długie lata. Cienie i zapachy swego inteligenckiego domu młoda matka zamienia na zimne, nocne powietrze i rzeński marsz przy mężu, gdzieś ku innemu domowi, gdzie palą się wszystkie światła, gra muzyka, a rozweselone uniwersyteckie pary stoją w głośnych, budzących nadzieję grupkach.

Kiedy skończyłam tę część, spróbowałam opisać punkt widzenia męża; jego myśli, gdy ujmuje ją pod łokieć i prowadzi przez próg, jakby przy każdym przekraczaniu granic kobiety potrzebowały opatrnościowego nawigatora. Coś mnie jednak wstrzymało. Nagle uświadomiłam sobie, że tak naprawdę nie wiem, co mężczyzna mógł sobie pomyśleć, ani w ogóle, jak mężczyźni myślą. Nie umiałam sobie wyobrazić, jakie siły nimi władają i co nimi kieruje. Postanowiłam więc nie pisać nic więcej.

Kilka dni później, kiedy oddałam Castłemanowi kolejną pracę, poprosił mnie do gabinetu na konsultacje. Szłam wolno szerokimi schodami w Seelye Hall, wiedząc, że albo usłyszę pochwałę, albo ostrą przyganę: że naruszam jego życie prywatne,

opisuję jego rodzinę i czyta to teraz cała grupa. Profesor pożegnał jakąś studentkę i zaprosił mnie do środka. Usiadł, trzymając w ręku moje opowiadanie.

Milczał. Po chwili pochylił się do mnie i powiedział:

- Panno Ames, proszę posłuchać uważnie. Mówiłem już, że potrafi pani pisać. Ale nie jestem przekonany, czy dobrze mnie pani zrozumiała. Jak mniemam, moje zajęcia traktuje pani jak każde inne; francuski, sztuka renesansowa, czy co tam pani jeszcze ma w tym pierwszym semestrze. Na pewno uszczęśliwi panią piątka w indeksie i tyle. Ale... jedno proszę zrozumieć. Pani może zrobić coś więcej. Jeśli tylko pani zechce.

- Nie rozumiem.

- Chodzi o to, że taki tekst można trochę przeredagować, poprawić i opublikować. Sprzedać jako opowiadanie, a jeśli będzie pani pisać dalej, to może pani sprzedawać kolejne opowiadania. Być może nie trafią na szczyty, Bóg tylko wie, kogo i dlaczego tam wpuszczą, z pewnością jednak trafią do ambirnych pism literackich, mniej wpływowych, ale dobrych i interesujących. Panią stać nawet na napisanie powieści.

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego miałabym to robić? Jaki to ma sens? — zapytałam, pomna przestróg Elaine Mozell.

Castleman podniósł na mnie oczy.

- Nie wiem — rzucił, wzruszając ramionami. - Ponieważ jest pani w tym dobra i ponieważ ma pani coś do powiedzenia. Wielu pisarzy ma albo jedno, albo drugie, ale rzadko który i jedno, i drugie. Poza tym ludzi intryguje świat postrzegany oczami kobiety. Za bardzo przywykliśmy do patrzenia z męskiej perspektywy; jeśli tylko jest okazja spojrzeć z punktu widzenia kobiety, jest to spojrzenie ożywcze i nowe.

Elaine Mozell nie pisała tak, jak piszą kobiety. Pisała z siłą i rozmachem, przybierając maskę niepodważalnego autorytetu, a przez to wydawała się zachłanna i nienasycona, zupełnie nie kobieca. Postacie literackie tworzone przeze mnie były, jak do-

tań, kobietami lub dziewczynami, a moje pisanie było wyciszone, powściągliwe i pełne obserwacji, niemal kocie.

Może Castleman miał rację. Być może rzeczywiście za kilka lat napiszę i wydam przyzwoitą powieść; o inicjacji, dorastaniu i dorosłości, zatytułowaną na przykład „Lato nad morzem”? Być może Smith College zaprosi swoją absolwentkę na odczyt? Zasiłuchane dziewczęta będą potakiwały ze zrozumieniem, a nieliczni chłopcy będą niecierpliwie stukać palcami o pulpity, myślami przenosząc się gdzie indziej. Bo chłopcom będzie się marzyć pisarstwo pancerne, w pełni zbrojne, wszechmocne i muskularne, które bez przerwy odślania napięte mięśnie. Pisarstwo, które postanowiło zawładnąć wszystkim na świecie i zagarnąć wszystko, zarówno stuletnie wojny, jak i dziesięciminutowe kłótnie małżeńskie w modnie zaprojektowanej kuchni podmiejskiego domku.

Jednak profesor Castleman był mężczyzną, a mimo to moje pisanie mu się podobało.

— Sam nie czuję się pewnie, pisząc o kobietach — wyznał. — Trudno mi o autentyczność, nie mogę się pozbyć wrażenia, że ustami moich kobiecych postaci przemawiają mężczyźni. Efekt brzuchomówstwa; widać, że usta się nie poruszają, ale jakieś słowa płyną. Trudno mi dotrzeć do duszy kobiety, do jej sekretów, które tak skrzętnie skrywa. Czasami mam ochotę wytrząsnąć je z kobiet jak grosiki ze skarbonki. — Zamilkł na chwilę. — To dla pisarza bardzo frustrujące - dodał. - Mur między płciami, oddzielający nas, nie pozwalający się wzajemnie poznać. Każdy pisarz na swój sposób staje przed tym problemem, niektórzy jednak znakomicie sobie z tym radzą. Co do mnie, obawiam się, że istnieją wyraźne granice moich możliwości...

— Och, na pewno nie... — zaoponowała z przekonaniem.

— Nie czytała pani jeszcze moich tekstów — zauważył. — Do-tychczas opublikowałem dwa opowiadania; nie zna ich pani.

— Chętnie je poznam.

— Naprawdę?

— Absolutnie.

Castleman przesunął na biurku jakieś papierzyska, książki, orzechy, sięgnął pod jakieś skoroszyty i po chwili wyłowił spod nich niegrube pismo literackie „Kariatyda. Magazyn Twórców i Krytyków”. Nigdy o nim nie słyszałam i pewnie mało kto słyszał. Kiedy Castleman wręczał mi pismo, robił wrażenie osoby tyleż dumnej, ile mocno zakłopotanej.

- Mogę pożyczyć — zakomunikował. — Jestem ciekaw pani opinii.

Podziękowałam, uśmiechnęłam się, powiedziałam, że mi schlebia i że na pewno mi się spodoba. Potem spojrzałam na spis treści i odszukałam tytuł opowiadania: *W niedziele mleka nie ma*, autor: J. Castleman. Kiedy śledziłam spis treści, Castleman nachylił się ku mnie, przysunął się z krzesłem do biurka i kolana- mi musnął moje kolana. Podniosłam oczy zaskoczona, że jest tak blisko.

—Może — mówił wolno — podpowie mi pani, co można po-
prawić...

To pierwszy kontakt dwóch par kolan szukających się po omacku, znaczący tylko tyle, że coś się zaczęło, ale nie do końca jest postanowione, że coś jeszcze jest do uchwycenia. Czy tak wygląda rozmowa o książkach? Castleman podniósł powoli palec wskazujący i delikatnie dotknął moich warg. Jego twarz zbliżyła się do mnie ponad biurkiem i nagle stało się: całował mnie we własnym małym gabinecie, wypełnionym niekochanymi, odrzuconymi opowiadaniem studentów. Całował długo, jakby jednym haustem chciał spić ze mnie cały mój młody talent, zmysł obserwacji, ostrość spojrzenia, coś, co wyobrażał sobie, że posiadam. Natomiast ja czułam, że z naszej dwójki to on jest tym ważniejszym, większym, a ja jestem niedoskonała. To on mógł mnie dopełnić; uzupełnić i wyposażyć w rzeczy, które sprawia, że stanę się osobą kompletną.

Całował mnie, ale nie robił nic więcej; jego dłonie spoczywały na moich ramionach nieruchome. Choć właściwie nietknięta, przeżyłam niemal rozkosz. Byłam zaskoczona i zawstydzona moją nieoczekiwaną reakcją. *Zawstydzona*, pomyślałam, widząc

w tym słowie początek nowego opowiadania, i było mi z tym dobrze, z literackim dystansem wobec siebie i tego mężczyzny, który wciąż trzymał mnie za ramiona i całował, długo i namiętnie, tak długo, że nawet jeśli nie byłam dotąd pisarką, to teraz na pewno nią zostałam.

W Northrop House nikomu nie wspomniałam o tym, co zaszło w gabinecie profesora Castlemana, nawet Laurze, mojej przyjaciółce, która jednak czegoś się chyba domyślała, ale taktownie nie dopytywała o szczegóły.

- Jak opowiadanie? Chyba doskonałe? - zapytała, nie oczekując odpowiedzi.

A ja się tylko uśmiechnęłam, ptagnąc zatrzymać tamten moment wyłącznie dla siebie, nie rozpakowywać go, nie oddawać nikomu, ale przywoływać go stale z pamięci; podczas zajęć z historii lub w łazience, w jednej z kabin za zieloną kotarką, wsłuchana w kaskady natrysków. W najbliższy wolny wieczór, wiedząc, że nikt nie zakłóci mi czytania, usiadłam na łóżku i otworzyłam „Kariatydę”. Ostrożnie, niemal nabożnie przewracałam strony. Odszukałam opowiadanie i zaczęłam czytać. Byłam niezwykle przejęta, oczekiwałam czegoś ważnego, co wzmocni uczucia, jakie żywiłam wobec Castlemana. Czytałam, moje oczy i usta błędziły wzdłuż stron, wiersz po wierszu. Jednak im bliżej końca, tym większe rosło we mnie przekonanie, że to po prostu nie jest dobry tekst. Osłupiałam. Nie wiedziałam, co myśleć. *Jakim cudem nie jest to dobry tekst!* Ale prawda nie mogła być inna. W ciasnym wszechświecie opowiadania *W niedzielę mleka nie ma* kobiety wypowiadały nienaturalne zdania, a mężczyźni grali stereotypowych, niewykształconych typów, patrzących groźnie spode łba i tłumiących swe zgrzyoty. Opowiadanie było nieudaną próbą naśladowania czegoś realistycznego, uczynioną przez kogoś, kto nie nauczył się jeszcze mówić własnym głosem.

Powieść Elaine Mozell wydawała się daleko bardziej auten-

tyczna. Występujące w niej męskie postacie były o wiele bardziej przekonujące. Przecież Joe Castleman był mężczyzną; dlaczego nie potrafił pisać o mężczyznach? Co było z nim nie tak, że nie potrafił? Zamknęłam pismo i odłożyłam je na bok, rozszalona i zła, że w ogóle je czytałam, nie mając pojęcia, co mu teraz powiedzieć. Może zapomniał, że mi je pożyczył, i nigdy do tego nie wróci, a ja nie będę musiała przechodzić przez katusze rozmowy na temat opowiadania? Miałam cichą nadzieję, że ten temat nigdy się między nami nie pojawi.

W środę w południe odebrałam list z wydziału, przesłany przez wewnętrzną pocztę uczelni. Rozdarłam szybko kopertę, przezornie odsuwając się od pozostałych dziewczyn, brzęczących jak pszczoły w ulu, otwierających listy od mamy i paczuski z domowym wypiekami.

Droga panno Ames,

Profesor Tanaka, mój dobry przyjaciel, wykładowca religii wschodnich w naszej uczelni, zapytał, czy mógłbym polecić mu kogoś do opieki nad psem w piątkowe popołudnia. Czy byłaby pani zainteresowana taką pracą?

Z ukłonami

J. Castleman

List wydał mi się tajnym szyfrem, toteż natychmiast odpisałam, że z chęcią nakarmię psa pana Tanaki i wyjdę z nim na spacer, choć szczerze wątpiłam, by zwierzak w ogóle istniał. Następnego dnia w mojej skrzynce pojawił się klucz i liścik z adresem, a już w najbliższy piątek szłam ochoczo stromą Crafts Avenue. Po krótkim czasie sama otworzyłam sobie drzwi do budynku, na którego parterze mieściła się piekarnia z urokliwym sklepikiem. W całym wnętrzu unosiła się miła woń drożdży. Weszłam na drugie piętro i odszukałam drzwi, na których widniała wizytówka: „H. Tanaka”. Z wewnątrz dobiegło mnie nagle głośne ujadanie psa. Więc jednak był pies – jak się okazało, stary jamnik o wyliniałej, szarej sierści, najwyraźniej stęsk-

niony za ludzkim towarzystwem. Łasił się i wyginał swój długi kręgosłup w dinozaurowy, jakby oderwany od reszty ciała, łuk.

- Witaj, pieseczku — cmoknęłam, klepiąc go po głowie i wchodząc do skromnie umeblowanego pokoju.

Jamnik pobiegł za mną, przebierając szybko łapkami, przywarł do mojej nogi i zaczął się o nią bezwstydnie ocierać zadem, jakby także on dobrze wiedział, po co tu przyszedłam.

W kuchni znalazłam karmę dla psa. Odwracając ze wstrętem twarz od puszki, napełniłam blaszaną miskę i patrzyłam beznamiętnie, jak psina wżera się z wilczym apetytem w smrodliwe jadło. Potem wyszłam z nim na krótki spacer, a kiedy wróciłam, usiadłam na dywanie. Pies, najedzony i szczęśliwy, rozciągnął się obok na plecach, odsłaniając biały brzuch i czerwonego peniska, który to chował się, to wynurzał z napletka. Na ścianach wisiało kilka orientalnych rycin: kobiety w kimonach podające herbatę w maleńkich filiżankach oraz seria z japońskimi sadzawkami i gniazdami żurawi. Siedziałam w obcym, ciachym pokoju, rozglądając się z zaciekawieniem, czekając.

Nagle rozległ się dzwonek.

- Kto tam? - zapytałam przez domofon.

- Joe.

Zatem Joe, nie profesor Castleman; to coś nowego. Szybko wpuściłam go do budynku.

- Witam! - rzucił w drzwiach, mijając mnie szybkim krokiem, kładąc gdzieś książki i wieszając na oparciu krzesła płaszczy. - Czy piesek jest grzeczny?

- Piesek jest jak najbardziej w porządku - powiedziałam. - Chwilami zastanawiam się nawet, czy jest prawdziwy.

- Och, jest prawdziwy, z całą pewnością - stwierdził Joe.

- Wiem, usiłował obcować z moją nogą.

Uśmiechnął się.

- Och, więc już niebawem po pokoju będą biegały półpieski nibynóżki, hm?

- Właśnie.

Zamilkł i patrzył na mnie długo.

— Panno Ames... To znaczy, Joan. Co ja mam z tobą zrobić?

— Może... zamarynować?

Zrobił krok w moją stronę, objął mnie ramionami i zaczął całować szyję i włosy.

— Może więc, proszę... Poszlibyśmy do łóżka?

Sypialnia profesora Tanaki wystrójem nie różniła się specjalnie od pokoju gościnnego; mało mebli, zwykłe łóżko, na ścianach kilka rycin. Przez papierową żaluzję wpadało do wnętrza szare, blade światło, ale wystarczające, by oświetlić postać Joe, który sprawnie zrzucał kolejne części ubrania. Prezentował się niezłe; niewysoki, ale dobrze zbudowany, jędrny, lekko umięśniony. Na stopie miał bliznę, błyszczącą różowo w miejscu, gdzie ściągały się tkanki. Domyśliłam się, że to rana postrzałowa i przyczyna kuśtykania. Wyobraziłam go sobie jako bohatera wojny koreańskiej, choć oczywiście dowiedziałam się później, że Joe przypadkowo postrzelił się na poligonie. Jego skóra, gdy mnie dotknął, była zimna jak u foki. Leżałam nago na łóżku, moje sutki stwardniały; usiłowałam przemóc kobiecy odruch, by je osłonić ramionami. Moje piersi wydały mi się nagle o wiele za duże; coś, co mężczyznom z reguły się podoba, mnie bardzo krępowało. Spozregłam, jak patrzy na nie, na brzuch i na ten, pozornie samowolny, trójkącik włosów łonowych. Próbowałam wyobrazić sobie, że znajdujemy się nad sadzawką w japońskim ogrodzie i że za chwilę weźmiemy udział w czymś równie dostojnym jak ceremonia parzenia herbaty. Wzięłam w palce jego członek. Przyglądałam mu się przez dłuższą, niezamocną niczym chwilę. Po raz pierwszy trzymałam w dłoni męski członek i w pewnym sensie wydał mi się on bardzo optymistyczny, o wiele bardziej, niż rzeczywiście był; chętny, radosny, w pełnej gotowości, nie dopuszczający myśli o porażce. Leżałam z głową na poduszce i patrzyłam, jak Joe rozrywa płaskie opakowanie prezerwatywy, które wydało dźwięczny, pojedynczy brzdęk, niczym szarpnięta struna bandžo, i patrzyłam, jak odziewa się w gumowy kaptur. A potem pozwoliłam mu wypychać się w siebie, z nadzieją, że moja aktywniejsza postawa

ułatwi mu zadanie. Jedno wiedziałam na pewno; że pomagam sobie, unosząc się nad stadka rozkrzyczanych dziewcząt z kampusu, szeleszczących kraciastymi spódniczkami. Twarz Joego szybko pokryła się kropelkami potu. Jego lodowato zimne stopy oplotły się wokół moich łydek, trzymając się ich kurczowo, tak jak stopy dzikusa trzymają się konaru drzewa w dżungli. Zabolało, kiedy wszedł we mnie silnym pchnięciem. Trochę mnie to zaskoczyło, jakby wrażliwość do książek miała mieć wpływ na poziom bólu podczas pozbawiania studentki dziewictwa. Pomyślałam o jego kolanach pod biurkiem, ukrytych w wełnianych, szarych spodniach, a teraz odsłoniętych, o twardych rzepkach, obciążonych tylko skórą, o mięśniach łydek, napinających się i ostro pracujących. Oplotłam go nogami; wydawało mi się, jakbym ścisnęła go jakąś mechaniczną obejmą; nie wiedziałam, że mam tak silne nogi. Potem chciałam zasnąć, ale Joe nie spał.

- O mnie się nie martw, ja nigdy nie śpię - wyjaśnił. - No, teraz już coś o mnie wiesz.

- Wiem tylko to.

- Co chciałybyś wiedzieć? Powiem wszystko — oświadczył i czekał na pytania.

Nie miałam pojęcia, co chcę o nim wiedzieć, postawiłam więc parę typowych pytań, o dzieciństwo, dorastanie (Brooklyn, żydowska rodzina, wczesna śmierć ojca), szkołę i studia (Columbia University, bakalaureat i magisterium), służbę wojskową (wojna koreańska, przypadkowy strzał we własną nogę, powrót do domu krótko przed planowanym wyjazdem na front), małżeństwo (nieudane, z nerwową, piskliwą kobietą, której największą zbrodnią było to, że po narodzinach dziecka straciła ochotę na seks, która odrzucała go pod byle pretekstem. „Masz pojęcie, co to znaczy dla mężczyzny?”, pytał, a ja mogłam tylko odpowiedzieć, że nie, nie wiem), o politykę i jego przekonania (nic oryginalnego: podniecony senacką konfrontacją Welcha i McCarthy'ego, poruszony werdyktem sądowym w sprawie czarnoskórej Lindy Brown, której rodzice wywalczyli zniesienie segregacji w szkołach publicznych, tym bardziej po-

ruszony, że sam miał paru czarnoskórych przyjaciół), o niezapomniane chwile (uniwersyteckie wykłady Marka van Dorena, poety, wydawcy i wspaniałego nauczyciela) i o jego spojrzenie na życie (melancholijne, jak u większości pisarzy).

Wyczerpani tym długim wywiadem leżeliśmy przez jakiś czas w milczeniu, aż w końcu on pierwszy się odezwał:

- Teraz ja chciałbym cię o coś zapytać.

— Pytaj - powiedziałam dzielnie.

Sądziłam, że zapyta o mnie, że będę musiała opowiedzieć mu o wszystkich swoich nieciekawych, przyziemnych sprawach, o dzieciństwie rozpieszczanej dziewczynki w Nowym Jorku, szkole Brearleya i lekcjach tańca, o tajemniczym chłódzie między rodzicami, pieniądzach, które pojawiały się wokół mnie niczym mało interesujący garnirunek na talerzu. I bałam się, że będę musiała opowiedzieć o swym zagubieniu, braku poczucia bezpieczeństwa, o nieukształtowanych sympatiach politycznych, o pragnieniu, by nie stać się kimś nieistotnym, pospolitym. Bałam się, ale wiedziałam, że taka rozmowa napawa otuchą; tak wygląda bycie z mężczyzną. Najpierw on mówi, co mu leży na sercu, a potem ty mówisz, co ci leży na sercu, a w odpowiednich momentach reagujecie nawzajem gniewem lub sympatią. To trochę tak, jak posiadanie dobrego przyjaciela, dziwnej lustrzanej wersji samego siebie — choć w tym wypadku o całkowicie odmiennym anatomii i odmiennym bagażu wspomnień. Po takiej rozmowie ma się poczucie, że przyzwoliło się drugiej osobie na niezwyklej dostęp do siebie, do swego wnętrza i doświadczeń.

On nie o to jednak chciał zapytać.

— No, to powiedz, co sądzisz o moim opowiadaniu?

Jego opowiadanie, o Bożel Zaniemówiłam. Zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć. Byłam zaskoczona, straciłam głowę. Więc milczałam.

— Nie przeczytałaś go jeszcze? — zapytał trochę zdziwiony.

Zaprzeczyłam szybko, rozpaczliwie usiłując znaleźć słowa, które mogłyby mnie ocalić.

— Ależ czytałam — rzuciłam szybko. — Oczywiście, że czyta-

łam. Wczoraj wieczorem. Właśnie chciałam ci powiedzieć... -
Na moment wstrzymałam oddech. — Jest znakomite.

Jak łatwo było wypowiedzieć to zdanie!

- Naprawdę ci się podobało? - Zainteresowany podniósł się na łokciu. — Nie sądzisz, że zakończenie jest trochę za krótkie? Wiesz, kiedy on daje jej szalik i odchodzi.

- Nie - odparłam. - Absolutnie nie. Właśnie ten gest najbardziej się liczył. Sam szalik był ważny. Moim zdaniem zakończenie jest idealne. - Wiedziałam, że nie jest idealne, że jest wręcz całkowicie nieudane, wymyślone i sztuczne.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Naprawdę. Sama chciałam ci to powiedzieć, ale mnie uprzedziłeś.

- To wspaniale - ucieszył się jak dziecko. - Joanie, dzięki tobie ten dzień jest dla mnie w dwójnasób wyjątkowy.

Odetchnęłam cicho. Pochwała uszczęśliwiła go bardziej, niż powinien to uczynić seks. Po chwili oznajmił, że niestety czas go goni; musi jeszcze zatrzymać się w markecie przy State Street, że żona prosiła, by kupić kilo mąki i odżywkę dla dziecka. Mąka i odżywka, oto okoliczności życia, które nie miało nic wspólnego z moim życiem.

Wstaliśmy i ubraliśmy się, wstydliwie odwróceny od siebie.

- Joe... — Starałam się, by ta jedna sylaba zabrzmiała jak najbardziej naturalnie. Spojrzał na mnie. - Co teraz dalej będzie? - zapytałam.

Nie odpowiadał przez parę sekund.

- Skąd mogę wiedzieć? Musimy poczekać. Zobaczyc. Odpowiedź przyjdzie sama.

Kiedy kilkanaście minut później, przy zapadającym już zmierzchu, wracałam do kampusu, mijając po drodze market z narzędziami, antykwariat ze starymi książkami i fasadę Akademii Muzycznej, zastanawiałam się, czy ten człowiek kiedyś mnie pokocha i czy będę umiała wyzwolić w nim miłość.

Nasze piątkowe spotkania stały się rutyną; szłam nakarmić jamnika profesora Tanaki, a po chwili zjawiał się Joe. Zwrot

„nakarmić pieska” stał się dla nas czytelnym eufemizmem. „Pieśk jest dzisiaj bardzo głodny”, mówił Joe, przechodząc obok mnie, muskając mimochodem rąbek mojej spódnicy, dotykając mnie koniuszkiem palca. Złożyłam też wizytę w dusznym gabinecie litewskiej ginekolog w Springfield, która, nie zadając pytań, dopasowała mi diafragmę.

Któregoś dnia, gdy leżeliśmy wyczerpani w łóżku profesora Tanaki, Joe wręczył mi coś malutkiego, zawiniętego w kolorową serwetkę i obwiązanego wstążeczką. Rozwiązałam kokardkę i zobaczyłam orzech, na którym czerwoną farbą wymalowała drobną dedykację: *Dla J. z podziwem J.*

Ważylałam przez chwilę orzech w rękę, próbując przemienić swoje rozczarowanie w coś piękniejszego. Oczywiście, nie mogłam wiedzieć, że zajrzałam do szuflady jego żony i znalazłam tam niemal identyczny orzech. Nie przepadam za orzechami; zdarza się, że łupiny trafiają do ust razem z miąższem i człowiek próbuje zdjąć je z języka, jak resztki papierosowego tytoniu. I nie smakują mi; są cierpkie, mdłe, po prostu niesmaczne. Tak mogą smakować drobiny rozkruszonego korka pływające po powierzchni wina w kieliszku. Joe mówił, że lubi orzechy włoskie, bo są orzechami skomplikowanymi, tyle tam łańd, bruzd i zakamarków, poza tym mają oleistą konsystencję i pozostawiają w ustach długotrwały posmak, za którym przepada. Powiedział też kiedyś, w łóżku profesora Tanaki, że równie mocno przepada za smakiem kobiety, że od razu pokochał chwilę, w której mógł pierwszy raz zanurzyć się w moje łono i posmakować mnie, mimo że ja sama czułam się tym zakłopotana i wcale nie umiałam się odprężyć, gdy wciskał głowę między moje uda. Mogłam się tylko zastanawiać, jakie smaki we mnie wyczuwał; sól zmieszana z jakimś słodkim talkiem i kto wie, co jeszcze? „Dzięki Bogu, nic nie zabije smaku kobiety”, zwykł mawiać. Podobnie orzecha; jego smak wszędzie da się wyczuć, w torcie, ciastku, lodach czy sałacie skropionej olejem orzechowym. To słodki, ciemny smak, z naturalną nutą, jakby czegoś, co można by znaleźć w ściółce leśnej.

Położyłam orzech na komódce w swoim pokoju, obok spinek do włosów, flakoników i dużej tuby z kremem nawilżającym. Mijały tygodnie, a orzech leżał tam nietknięty. Zapomniałam już o nim, gdy pewnego dnia, *wróciwszy z zajęć* poświęconych Holbeinowi i Durerowi, otworzyłam drzwi do pokoju i onie-miałam: na moim łóżku siedziała żona Joego.

Kiedy weszłam, Carol Castleman wstała.

- Dzień dobry, ee... Czym mogę służyć? - zapytałam z głupia frant, przez moment mając w głowie obłąkaną myśl, że Joe nie żyje i jego żona przyszła mnie o tym zawiadomić, jakbym to ja miała być pogrążona w żałobie i smutku, a nie ona.

- Czym służyć? Dobrze wiesz, co tu robię - powiedziała pani Castleman surowym, drżącym głosem; miała na sobie kurtkę z wielbłądziej wełny i plisowaną spódnicę; była czerwona z wściekłości, ale prawdziwa furia dopiero w niej wzbierała. — Wpuściłam cię do własnego domu — mówiła, trzęsąc się coraz bardziej. — Zaufałam ci, oddałam ci pod opiekę dziecko. A ty? Umiesz być słodka i przymilna, ale tupet masz niebываły.

— Kto pani powiedział? — zapytałam żałośnie.

Nie odpowiedziała. Podniosła tylko rękę i otworzyła dłoń. Leżał w niej orzech, ten który dał mi Joe. Dowód zbrodni. Dziewczęta w Northrop House wychodziły już na kolację; po piętach płynęła z kuchni woń puddingu na jajkach, pożywnego i sytego, mamiącego życiem w rodzinnym domu, życiem pod skrzydłami matki, w jej łonie, życiem, w którym troszczyli się 0 nas inni, a my nie musieliśmy nawet kiwnąć palcem w swojej sprawie. Ogarnęła mnie przemożna chęć, by natychmiast zjeść całą miskę takiego puddingu, by usiąść z dziewczętami przy stole, nad talerzem z rostbefem w sosie własnym, z jarzynami, i słuchać głupich opowieści o randkach z chłopakami z Yale. Jednak stałam tu, w swoim pokoju, twarzą w twarz z rozwścieczoną żoną Joego, która trzymała w ręku mój orzech.

— No więc? Powiedz coś. Jak to jest?

- Nie powiem. - Rozpłakałam się.

Pozwoliła mi trochę popłakać, nie spuszczać ze mnie oczu,

poirytowana moim zachowaniem. Ale nie mogąc tego dłużej znieść, powtórzyła w końcu wolno i dobitnie:

- Mów.

- Nie jestem złym człowiekiem, pani Castleman... - zaczęłam z trudem, choć tak naprawdę chciałam powiedzieć: „Widzi pani, właściwie, ja nie jestem jeszcze dorosłym człowiekiem”.

- Ty głupia fładro, ty suko — syknęła Castleman. - Ty mała, studencka kurewko, z tą swoją zasraną literaturką. Czytałam trochę tego i wiesz, co ci powiem? Są do niczego. Dno. Zupełnie nie rozumiem, co on w nich widzi; pomyślałby kto, że napisał je sam James Kurwa Joyce!

W tym momencie pani Castleman zrobiła zamach i z całych sił cisnęła we mnie orzechem. Leciał prosto na mnie, nie miałam czasu, by się uchylić lub choćby krzyknąć. Uderzył mnie w środek czoła, usłyszałam mocne, twarde *pad*, odgłos przypominający fachowe uderzenie młotkiem w kostkę bruku. Zupełnie zaskoczona zachwiałam się, straciłam równowagę i upadłam na podłogę.

Jak przez mgłę dotarły do mnie głosy dziewcząt biegnących korytarzem, a potem zobaczyłam zawieszony nad sobą krąg zdziwionych twarzy, otwarte buzie, śmieszne miny, jakieś krzyki, jakby otoczyli mnie przebrani kolędnicy. Jedna miała we włosach lokówki, inna ołówek za uchem. Wszystkie zaczęły coś mówić, przekrzykując się nawzajem, ale zdawało się, że żadna nie wie, co robić. Gdzieś z tyłu, w pokoju pełnym dziewcząt, łkała pani Castleman, tłumacząc urywanymi zdaniami, że zrzu nowałam jej życie. Ja myślałam zupełnie inaczej; leżałam na miękkim dywanie, na czole kwitł mi guz, a moje życie wreszcie się zaczynało.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lotnisko Vantaa w Helsinkach nie różni się niczym specjalnym od każdego innego lotniska na świecie; może poza tym, że jest bardziej blond. Nie aż tak blond jak Szwecja czy Norwegia, zimne gniazda albinoskie, ale wystarczająco blond, by zwrócić uwagę Amerykanina. Choć Finowie mają w sobie smugę słowiańskości, to w tym ślicznym, małym kraju dalekiej północy zewsząd otacza człowieka blond las. Nie mogłam oprzeć się takim myślom, gdy z Joem i resztą świty przeciskaliśmy się przez tłum Finów, pstrykających zdjęcia, wykrzykujących pytania, liczących z jego strony na słowo, gest, dotyk, łagodny uśmiech, jak gdyby jego talent mógł się raptem udzielić wszystkim obecnym, sypnąć dookoła świetlistym pyłem i wnikać w ludzi, kłóty w rewanżu obdarzyliby go tchnieniem skandynawskiej złoćistości.

Tak wielu Finów było atrakcyjnymi i przystojnymi blondynami, pozostali wyglądali podniośle i szlachetnie, jak dumne rzeźby głów na dziobach statków wikingów. A on był siedemdziesięcioletnim, niskim ciemnowłosym Żydem z Brooklynu, niegdyś krępkim i przystojnym, ale dziś już nie. Mimo to ów akt wzajemnej adoracji trwał nieskończenie długo, przez całą drogę przez hol terminalu przylotów, długiego jak szwedzki bufet. *Kochajcie mnie*, zdawał się mówić do nich zmrużonymi, zmęczonymi oczami.

„Tak, pokochamy pana, panie Yosepie Castlemanie”, zdawał się odpowiadać Finowie, „jeśli tylko pan także nas pokocha”.

Dlaczego nie miałyby ich pokochać? Przecież to oni go wybrali, prawda? Zarówno ci starsi, szacowni panowie z Fińskiej

Akademii Nauk i Literatury, jak ci młodszy, niezłomni inteligenci ledwie po sześćdziesiątce. Joe robił wrażenie, jakby nie docierało do niego nic prócz pompy jego przyjęcia na lotnisku. Na coś takiego czekał długie lata: zawsze marzył, by ukazać się w drzwiach samolotu i być fetowany jak Beatlesi podczas pierwszej wizyty w Ameryce. Byłoby o niebo lepiej, gdyby, podobnie jak Beatlesi, mógł zejść z samolotu na płytę lotniska, po podstawionych schodach, majestatycznie, powoli, z rozwianym włosiem, machając do wiwatującego na jego cześć tłumu. Z samolotu trafiliśmy wprost do rękawa, którego harmonijkowe ściany zaczęły dudnić głucho, gdy coraz większy tłumek pasażerów szedł po wyłożonej dywanem podłodze. Zaraz potem znaleźliśmy się w wielkiej hali przylotów, czystutkiej i jasnej, w której rozlegał się niesamowity dźwięk kuranta zainstalowanego przy wejściu do domu towarowego i płynący z głośników kobiecy głos, kojący i bardzo europejski, informujący o czymś w niezrozumiałym dla nas języku; po chwili jednak odezwał się także po angielsku, prosząc niejakiego pana Kyosti Hynninena o pilne przybycie do hały odbioru bagażu.

Idąc wzdłuż wolnocłowych sklepów, kiosków i podświetlonych tablic z szerokimi fotogramami wychwalającymi fińskie wspaniałości, Joe zachowywał się czarująco i bardzo przyjaźnie wobec otaczających go dziennikarzy, jak również wobec paru rządowych oficjeli, którzy pojawili się przy nim z wpiętymi w klapę marynarek identyfikatorami, świecącymi fotografiami ich skandynawskiego oblicza. Ja jednak wiedziałam, że Joe nawet nie słuchał ich łamanej angielszczyzny, że nikogo i nic nie słyszał. Był w chmurach. Unosiło go upojenie.

Pomyślałam wtedy o jego początkach, o latach spędzonych w kobiecym wszechświecie brooklyńskiego mieszkania, o jego pierwszym, nieudanym małżeństwie, które zakończyło się głośnym hukiem, i o drugim małżeństwie, bardzo długim, w czasie którego kariera Joego nabrała rumieńców i osiągnęła najwyższy pułap. I o dzieciach. Och, dzieciaki! Nie miałam wcześniej pojęcia, co znaczy żyć w domu pełnym dzieci. Czułam do

nich słabość, ale czułam też przed nimi strach. Memu pragnieniu, by mieć dziecko, zawsze niezmiennie towarzyszyła potrzeba, by uszczęśliwić Joego. Nie umiałam obu tych uczuć oddzielić; w wyobraźni zaglądałam do wózka i widziałam wychylającą się spod kołderki główkę Joego.

Kiedy jednak dzieci przyszły na świat, natychmiast przestały być Joem i stały się sobą. Każde miało własną osobowość. Naszej córce Susannah poświęcaliśmy najwięcej uwagi, jak to bywa z dziećmi pierworodnymi. Susannah potrafiła wejść do kuchni, gdzie smażyłam na patelni jagnięce kotleciki, i oznajmić: „Susi tes posmazy”, wiedząc, że to przecież obiad dla zapracowanego taty. „Oczywiście, koteczku, pomóż mamusi”, mówiłam, a Susannah chwytała widelec, wbijała go w kawałek mięsa, po paru próbach zdejmowała go z patelni i z plaśnięciem rzucała na talerz. Dekorowała go potem papierkami, mającymi imitować płatki kwiatów. Wreszcie brała talerz w ręczki, niosła go ostrożnie przez korytarz i na piętro, stawiała pod drzwiami gabinetu taty i zamiast pukać, kopała w nie kilka razy. Moich uszu dochodziły strzępy wymiany zdań: Joe, oderwany od pracy, najpierw zirytowany, coś szybko mówi. Porem słyszę piskliwy głosik córki: „Pats na tales, na tales!” i nagła zmiana nastroju, zachwyty taty, pochwały, ocalony dobry humor i cała reszta dnia.

Kochała mnie, ale jego wprost uwielbiała. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Kiedy przebywałyśmy same, czułam się znakomicie; byłam zrelaksowana, spokojna, usatysfakcjonowana samą jej obecnością, zapachem, delikatną skórą i dziecięcą ekscytacją każdą nową rzeczą. Gdyby miała ogonek, merdałaby nim nieustannie. Kiedy nie miałam dla niej czasu - z powodu innych obowiązków musiałam czasem zostawiać ją z opiekunką — na jej buźce pojawiała się maska zrozpaczonej, smutnej osóбки, co zawsze mnie rozbrajało.

Jej siostra, Alice, była inna. Wyrosła na silną, wysportowaną dziewczynę, o wiele bardziej niezależną. Nie była tak krzycząco śliczna jak jej siostra, po prostu ładna; niska jak Joe, korpulentna, miała jasnobrązowe oczy i króciutko przystryżone włosy,

co przydawało jej wyglądu spartańskiego chłopca. Kiedy Alice była nastolatką, ujawnił się jej homoseksualizm - najpierw musiały minąć lata zafascynowania ulubionymi nauczycielkami, dowcipnymi i otwartymi, lata oklejania ścian plakatami z piosenkarkami, idolkami rocka lub tenisistkami o opalonych udach i grubych biodrach, wciśniętych w obcisłe, białe spódniczki. Kiedy sprawa wyszła na jaw, poczułam ulgę. Cieszyło mnie, że Alice powiedziała to głośno. Joe jednak wydawał się załamany i osobiście dotknięty.

— Lubię dziewczęta - wypaliła któregoś wieczoru w kuchni, bez zbędnych wstępów.

— Co? - zapytał zdruzgotanym głosem Joe, siedząc przy stole, zatopiony w gazecie.

— Lubię dziewczęta - powtórzyła dzielnie Alice. - No, wiecie, o co mi chodzi. Nie tak, jak normalnie się lubi.

Zamrażarka nagle odezwała się jazgotliwym chrobotem i zaczęła wyrzucać do pojemnika kolejną porcję kostek lodu; jakby dyplomatycznie chciała wypełnić niezręczną ciszę.

— O... — Joe wydał z siebie westchnienie i siedział dalej, przygwożdżony do krzesła.

Serce zaczęło mi walić jak młotem, ale podeszłam do Alice i objęłam ją. Powiedziałam jej, że cieszy mnie, że mówi o tym otwarcie, i zapytałam, czy jest jakaś dziewczyna, którą lubi bardziej od innych. „Tak”, odparła, ale dodała, że ostatnio jest okropna. Rozmawialiśmy spokojnie przez parę minut, a potem Alice poszła do swojego pokoju.

— To nie ty jesteś w centrum uwagi — zwróciłam Joemu uwagę jeszcze tego samego wieczoru, w łóżku, kiedy nerwowym szeptem wymienialiśmy kłótniwe uwagi; to był stały wątek naszych rozmów o dzieciach.

— Wiem, przecież wiem — odparł. — W tym cała rzecz.

— Aha, więc chodzi o to, żebyś ty był ważniejszy w kwestii seksualności własnej córki?

— Nie, nie rozumiesz — rzucił. — Nic a nic. Jesteś matką. Skąd możesz wiedzieć, co ja teraz czuję?

- Jasne, zapomniałam, też mi argument - ironizowałam, jakby chcąc go przekonać, że to matki wiedzą wszystko: że jesteśmy wszechwiedzącymi narratorami życia rodziny.

Najmłodszy był David, najbardziej zagubione i najbardziej niespokojne z naszych dzieci. Zdawało się, że nigdy nie uda mu się znaleźć własnej drogi w życiu. Zawsze myśleliśmy o nim z niepokojem. Z płónną nadzieją liczyliśmy na to, że jakoś mu się ułoży, że się odnajdzie, ale były to tylko puste marzenia. Układało mu się bardzo niewiele, właściwie nic. Stawało się coraz bardziej oczywiste, że jego życie przestało zależeć od niego, że zostało wystawione na przypadek losu.

Ale kochaliśmy go. Wszystkie dzieci kochaliśmy. Otrzymały od nas miłość z dwóch źródeł; tą moją, stateczną, szeroką, zawsze obecną, i tą Joego, jeśli o niej pamiętał, jeśli udawało mu się zapominać na jakiś czas o sobie. Miał mało czasu, wciągnięty w wir życia zawodowego i towarzyskiego, pochłonięty jego szczegółami, rosnącym uznaniem, kolejnymi sukcesami, które nawarstwiały się i pęczniały jak pędząca śnieżna kula. My z dziećmi patrzyliśmy tylko, jak Joe pnie się po szczeblach kariery literackiej.

Aż wreszcie przez wielką wodę dotarł do Finlandii. Kraju zaskakująco ujmującego i urzekającego, raz do roku wyrwanego ze stanu uśpienia: *Wstańcie, wstańcie, przybywa ktoś wainy*. Szliśmy przez lotnisko z naszym literackim dworem i raptem dopadła mnie myśl, że gdybym tylko chciała, bez trudu mogłabym zniknąć w ostępach tego kraju. I nigdy nie wrócić. Ze swoją jasną karnacją i włosami blond zupełnie bym się w Finlandii nie wyróżniała. Mogłabym się tu zapaść jak pod ziemię. Pasowałabym idealnie, każdy by myślał, że jestem jedną ze swoich. Ach, jak cudownie byłoby przepaść w tym kraju, zacząć nowe, fascynujące życie, nie wracać po tygodniu do Weathermill z mężem, moim dzieckiem olbrzymem, moim geniuszem, moim i tylko moim laureatem Helsińskiej Nagrody Literackiej.

- Joe — zwróciłam mu uwagę. — Popatrz w lewo, robią ci zdjęcia.

Odwrócił się posłusznie i natychmiast rozległa się seria trząsków fleszy i migawek, a Joe wyprostował się, podniósł wyniosłą głowę. Jutrzejsze gazety w całej Finlandii na pierwszych stronach zamieszczają zdjęcie starego, amerykańskiego Żyda, mrużącego przed fleszami oczy, patrzącego ukradkiem w obiektyw, niechętnie odsłaniającego swą ludzką zwykłość, zmęczenie po podróży i próżność, która obwiozła go już po wszystkich lotniskach świata.

Przed halą przylotów czekała na nas zaciemniona limuzyna, tak czarna, jak jasny był jej szofer. Gdy wyszliśmy, mroźne powietrze wpadło mi wielkim haustem do płuc, niemal zbijając mnie z nóg. Zastaniając odruchowo usta, jak najprędzej przetruchtaliśmy z budynku do samochodu. Była jesień, tutaj piękna złotolistna pora roku, nazywana przez Finów „ruską”, w czasie której barwy natury mienia się od żółtych po miedziane i cynobrowe. Ledwie jesień, a my już trzęśliśmy się z zimna. „To przecież nie do zniesienia”, pomyślałam i wyobraziłam sobie krainę, w której ludzie przebiegają rano z domu do samochodu, potem z samochodu do biura i z powrotem z biura do samochodu i do domu. Niewiele słońca pozostałoby na resztę dnia, choć akurat teraz niebo wydawało się szczególnie jasne, niebieskie i bezbrzeżne. Słońce w Finlandii zwoździ człowieka. Łudzi, że będzie świecić długo, tymczasem aż trudno uwierzyć, jak prędko zachodzi; niemal nagle, jak kamień, zapada za horyzont z posępną nieodwołalnością surowego wyroku, tak szybko, że soki żołądkowe nie zdążą przetrwać lunchu.

Samochód najpierw powiózł nas bulwarem Mannerheima, wzdłuż sklepowych witryn, za którymi sprzedawano tysiące delikatnych drobiazków opakowanych w szykowną, srebrzystą folię, a potem przez most o długich przesłach. Byliśmy już raz w Finlandii, w latach osiemdziesiątych, kiedy Joego zaproszono na uroczystości pięćsetlecia piśmiennictwa fińskiego; wygłosił wówczas odczyt. Już wtedy nam się zdawało, że cały ten kraj jest skutym niewidzialnym lodem.

Lubię Finlandię za spokój, brak chamstwa i wyjątkowo niski

wskaźnik przestępczości. Nie są to Stany Zjednoczone, nie jest to Hiszpania. Tu wyczuwa się ład. To okazałe miejsce; nastrojowe, piękne i eleganckie, z poziomem serotoniny bliskim ideału. Ale też spętane okowami depresji: diagnoza nietrudna do postawienia, zważywszy statystyki samobójstw, którym Skandynawia przewodzi, a którym często usiłuje przeczyć — trochę tak, jakby Cornell University już przy pierwszym spotkaniu uspokajał rodziców nowo przyjętych studentów w kwestii niesławnego wąwozu Ithaca i wiszącej nad nim zabytkowej kładki dla pieszych; „Och, nie ma powodu do obaw”, powinna głosić na tytułowej stronie uniwersytecka broszura, „prawda, niektórzy studenci skaczą sobie w przepaść, ale generalnie przedkładają nad te fanaberie książki, tańce i piwo”.

Skandynawia nęci śnieżnymi czapami, sopłami lodu, łowieniem ryb w przerębłach, ale każdemu też znane jest niemal legendarne przygnębienie, jakie gryzie Finów, Szwedów i Norwegów, ich skłonność do alkoholu, ponure piosenki przypominające wycie do księżyca, przytłaczająca ciemność, która zapada ni stąd, ni zowąd w środku dnia.

- To Opera Helsińska, panie Castleman - objaśnił uczynnie szofer, gdy samochód mijał monumentalny budynek, który mógłby pomieścić w swych grubych murach całe królestwo. — Tutaj odbędzie się uroczystość wręczenia nagrody, proszę pana, tutaj będzie feta.

- Raczej fetor - burknęłam, ale Joe mnie nie dosłyszał.

Wyobraziłam sobie nas w Operze i to, jak Joe, kłaniając się na prawo i lewo, odbiera nagrodę za całokształt twórczości, która z całą pewnością Finom wydaje się obca i nie do końca zrozumiała. Ale mimo wszystko ją przeczytali. To odczytany naród. Długa zima nie daje im wyboru; cóż mogliby robić, jeśli nie czytać? „Także dla mnie te powieści są nie do końca zrozumiałe”, chciałby zapewne powiedzieć Joe w wyuczonym na tę okazję fińskim, pracowicie kładąc akcent na pierwsze sylaby, jak robią to sami Finowie. W jego powieściach występują głównie amerykańscy mężowie, nieszczęśliwi i niewierni, oraz ich nader

skomplikowane żony. Niewykluczone, że dobrze zrobiłoby im wszystkim skrócenie dnia, zmuszenie słońca, by szybciej zniknęło za horyzontem, by nad ich pożałowania godnymi, małżeńskimi i pozamałżeńskimi szachrajstwami jak najszybciej zapadał mrok.

Po ceremonii zostaniemy zapewne zaproszeni do stołu, długiego stołu nakrytego białym obrusem, ustawionego w olbrzymiej, zimnej, marmurowej sali. Deputowani fińskiego parlamentu będą mu coś szeptać do uszu, ale Joe nie będzie zwracał na nich zbyt wielkiej uwagi, bo przecież fińskie salony to nie dwór królewski. Nagroda Nobla to co innego, o... ta dostarcza silnej dawki dworskości, sadza przy stole z królem Gustawem, zapewnia wieczór krępujących konwersacji.

O czym w Sztokholmie rozmawiał Lev Bresner z królem Szwecji, siedzącym z nim ramię w ramię, okrytym królewskim płaszczem niczym śledź warstwą śmietany? Nie miałam zielonego pojęcia. Joe nigdy nie będzie miał okazji uczestniczyć w takiej rozmowie. Brakuje mu głębi czy mroczności. Ale cóż Sztokholm; już wizyty w Helsinkach nie mogłam znieść, nie mogłam patrzeć na tłoczących się wokół niego ludzi, słuchać ich śmiertelnie poważnych pytań i jego odpowiedzi, patrzeć, jak namaszcza go świętymi olejami, jak obwieszczają mu, że jest najlepszy.

Kiedy wsiadałam do samolotu w Nowym Jorku, nie byłam pewna, czy go opuścić. Przez całe lata tworzyłam sobie małe scenariusze typu: „Joe, to koniec” albo po prostu: „Wiesz co, Joe? Od dzisiaj sam musisz dawać sobie radę”. Nigdy jednak żaden scenariusz nie wszedł w życie. Zamiast tego, jak większość żon, wczepiałam się w codzienność płynących nocy i dni. Ale w ostatnich tygodniach zaczynałam odczuwać, że to już za wiele, że nie o to mi chodziło, że już dłużej nie mogę z nim być.

Patrzyłam na jego twarz, na znajome znamię na nosie, na purpurowe powieki, na przerzedzone, siwe włosy i myślałam o tym, że kiedyś był anielskim chłopcem z lokami, potem młodym, ambitnym wykładowcą literatury, a potem znerwicowa-

nym pisarzem, cierpiącym na bezsenność, mającym ochotę wchłonać cały świat i zatrzymać na chwilę w płucach, nim wyrzuci go z siebie długim tchem. Teraz jest stary, słaby, niedołączny i ma przeszczepioną od świni biologiczną protezę zastawki mięśnia sercowego (jakkolwiek by to nazwać, zawsze to wieprzowina), wciśniętą w serce jak ząbek czosnku, a w jego głowie, jak to przy przeszczepach podobano bywa, pojawiają się zapewne nieświadome obrazy pamięci dawcy: jak ryje wesoło w kopcu starych nektarynek i śmierdzących tenisówek. Jego siły rozpierchły się w tysiącu kierunkach i wyczerpywały się powoli, i gdziekolwiek szedł, pod jego stopami szeleściły wawrzyny triumfu, powoje i liście, na których mógł już spocząć uszczęśliwiony.

Limuzyna zatrzymała się przed helsińskim hotelem Strand InterContinental. W tej samej sekundzie spod wejścia wyskoczyli niczym baśniowe duszki młodzieńcy w lekkich uniformach, jakby ich nie dotyczyło panujące tu dojmujące zimno. Oszronione drzwi auta otworzyły się ze skrzypieniem. Znowu uderzył w nas mroźny podmuch, ale już po chwili staliśmy w hotelowym holu, gdzie witał nas w ukłonach właściciel hotelu z rozanieloną żoną. Przenikliwy chłód zastąpiło przyjemne, otulające ciepło; zdawało się, że wewnątrz holu wypełnia woń głębokich borów, znanych ze skandynawskich baśni, być może z *Małego Paavo i pięciu życzeń*.

Słońce wdzierало się do holu wątlými, strzelistými smugami, jakby przez jakieś wiszące nad nami gigantyczne, połamane konary. To nieprawdopodobne, ale czułam zapach sosny, szyszek i żywicy. Przede wszystkim jednak poczułam zmęczenie podróży i owładnęło mną jedno jedyne pragnienie; położyć się tu i teraz, na czerwonym, puszystym dywanie, na środku holu hotelu Strand InterContinental, i ostatecznie dać sobie dowód na to, że jestem rozgoryczoną i rozstrojoną, niechętną temu wszystkiemu żoną laureata Helsińskiej Nagrody Literackiej.

Trzeba było jednak iść dalej. Szliśmy po miękkim jak leśna ściółka dywanie, wzdłuż mahoniowych ścian i ciągnących się w nieskończoność złocistych korytarzy. Za nami, w wychucha-

nym garniturku i lśniących butach szedł boy hotelowy z dwójką asystentów. Wszyscy wyglądali jak bracia z rodziny, w której rodzi się i wychowuje dzieci wyłącznie na potrzeby fińskiego przemysłu hotelowego.

Joe nabrał pewności siebie. Szedł szybkim krokiem, czuł się swobodnie, płynął przed siebie. Fakt, że w tym dalekim, obcym kraju był outsiderem, chłopakiem z Brooklynu, dodawał mu tylko splendoru. Poza grupką dziennikarzy i fotoreporterów, Sylaia Blacker i resztą redaktorów, i poza Irwinem, ospałym agentem literackim, wokół nie było ani jednego Amerykanina. W Europie za każdym razem rozpoznawaliśmy ich bez trudu, po niedbałym chodzie, ruszy, wiecznym uśmiechu, jaskrawych koszulach i jasnych spodniach, po tym, z jaką miłością chwyтали w kioskach „Herald Tribune” i z jakim samouwielbieniem dawali się zagadywać innym Amerykanom, jakby bez tych krótkich, okrągłych sylab z ojczyzny mieli się czuć samotni, opuszczeni i wystraszeni jak dzieci.

Obie córki chciały leciać z nami do Finlandii, Joe jednak nie wydawał się zachwycony tym pomysłem, więc po pewnym czasie przestały poruszać ten temat. Zdażyły już przywyknąć do takiego ojca.

— Zrozum, kochanie — tłumaczył Susannah — będę miał poczucie winy, że nie mogę ci poświęcić czasu. To będzie mnie rozpraszać. Przyjedź z Markiem i chłopcami do Weathermill po naszym powrocie z Helsinek. Będziemy mieli dla siebie cały weekend. Będę tylko dla was. Bez reszty oddany. Ha! Będę waszym *miłosnym* niewolnikiem. Obiecuję.

W oczach miał nieszczerzy błysk; kolejny z szelmowskich kaprysów starszego pana, które umiejętnie opanował, gdy tylko poczuł ciężar upływu lat, gdy wiek spowolnił jego mchy i nadwerżył serce. To prawda, że obecność dzieci mogłaby go rozpraszać, ale tak naprawdę nie o dzieci mu chodziło, lecz o siebie. Zdobył Helsińską Nagrodę Literacką. Traktował to nadzwyczaj serio. Miał zamiar smakować ją, delektować się nią do woli, a nie dręczyć myślą, czy inni cieszą się równie mocno - co

w rodzinnym stadle często jest zadaniem trudnym do zrealizowania.

Przez wszystkie lata, w ciągu których otrzymywał nagrody mniejszego znaczenia, jego dzieci, czyściutki i wypiełgnowane, malutkie, a potem już dorastające, często bywały z nim na bankietach, przyjęciach i uroczystych obiadach. Właściwie nie wiem, czy dobrze znosił ich obecność, ja w każdym razie się cieszyłam, że mam je przy sobie. Kiedy atmosfera gęstniała, nie odstępowałam ich na krok. Szczerze mówiąc, służyły mi za tarczę. Dziewczynki w ślicznych małych sukienkach, a David w chłopięcym smokingu, ściśnięty pod brodą zielono-żółtym krawacikiem.

Podczas takich uroczystości podsuwano na srebrnych tackach kieliszki, a ja nie odmawiałam, przełykałam białe, schłodzone wina, perliste szampany, poncz i inne napoje. Dzieci umiały doskonale rozpoznać moment, w którym zaczynały mi błyszczeć oczy. Byliśmy kiedyś na przyjęciu w ogrodach Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury, do której Joe został właśnie przyjęty z wszelkimi honorami.

- Mamo. — Susannah pociągnęła mnie za rękaw.

Soczyste porcje gotowanego łososia, którym się objadałam, nie były w stanie złagodzić skutków działania konsumowanego jednocześnie alkoholu. Byłam wstawiona, bujałam się na palcach w tył i przód, a Susannah, wówczas trzynastoletnia, starała się mnie podtrzymywać.

- Mamo - powiedziała głośniej, wyraźnie zgorzozna. - Jesteś pijana.

- Ależ skąd, córeczko, może troszkę - odpowiedziałam szepem. - Wybacz, to znaczy, przepraszam, jeśli ci wstyd.

- Nie, nie. Ale chodźmy gdzieś — szepnęła i pozwoliłam się jej odprowadzić w ustronne miejsce, z dala od Wielkich i Ważnych.

Wyszliśmy na uliczkę górnego Manhattanu. Obok przejechało parę taksówek, przed winiarnią stał mężczyzna i palił papierosa. Usiadłyśmy w naszych eleganckich, wyjściowych ubra-

niach na schodach pod jakimś budynkiem. Wypiłam butelkę nektaru z guawy, który Susannah kupiła w winiarni. Czekałam i usiłowałam rozpędzić mgłę sprzed oczu, by spokojnie wrócić na uroczystość.

- Jeśli tak ci źle, dlaczego od niego nie odejdziesz, mammo? - spytała ostrożnie moja córka.

Och, kochane dziecko, dobre pytanie - mogłabym odpowiedzieć. W jej widzeniu świata nieudane małżeństwa przerywało się po prostu, jak niechcianą ciążę. Nie wiedziała nic o tej całej subkulturze kobiet, które decydują się nie odchodzić, które nie potrafią logicznie wytłumaczyć swej wierności i posłuszeństwa, które kurczowo trzymają się swego miejsca, bo czują, że daje ono komfort, że właściwie je lubią, że nie mają innego. Nie pojmowała, czym jest luksus swojskości, czegoś, co jest znane i niezmiennie; ten sam łuk pleców obok pod kołdrą, ta sama kępka włosków w uchu. Mąż. Postać, z którą się nie rywalizuje, dla której nie idzie się własną drogą, lecz obok której po prostu się żyje rok po roku, aż przemijające lata zaczynają się nakładać na siebie jak ciężkie cegły pociągnięte grubą zaprawą. Małżeński mur urośnie między wami jak małżeńskie łóżce, a ty ułożysz się w nim wdzięczna i zobowiązana.

Odpowiedziałam jej jednak w innym duchu.

— Kto powiedział, że jest mi źle?

Spojrzała na mnie wymownie.

- Kiedy ja będę wychodzić za mąż - odezwała się po chwili - mój wybór będzie tak oczywisty, że każdy, kto na nas spojrzy, w lot pojmie, dlaczego jesteśmy razem.

Rzeczywiście, Susannah wyszła za chłopaka, który był inny, ale jak się okazało, szczęścia wcale nie zapewniał. Mark był przystojny, smukły i silny jak chart wyścigowy, z kępkami złocistych włosków na długich, opalonych nadgarstkach. W życiu jednak nie wziął do ręki książki, najwyżej biografię Franklina lub Jeffersona albo reportaż z wyprawy na Arktykę. Beletrystyka pozostawała poza jego zasięgiem, podobnie każda inna dziedzina sztuk pięknych.

Susannah czuła się samotna. Trudno było mi tego nie dostrzec; widziałam to w każdym jej małym trofeum nieszczęścia, z którymi triumfalnie obnosiła się przede mną, jak to dzieci nieraz czynią: budują muzeum rozczarowań i skarg i zapraszają do niego rodziców, mówiąc: „Widzicie, jak schrzaniłście mi życie? Widzicie, do czego doszło? Proszę bardzo!”

Moja dorosła córka wciąż żyła w poczuciu wielkiego zawodu ze strony ojca. Kiedyś przez długie lata chodziła na zajęcia plastyczne. Gliniane naczynka rzeźbiła i wypalała dla niego, rzesze ceramicznych cudeniek powstawały w niesłabnącej nadziei, że ojciec ją doceni i poświęci uwagę. Wiedziała, że ją kocha; to było oczywiste. Ale poświęcenie uwagi, o, to już coś zupełnie innego. W jaki sposób miała ją sobie zaszkodzić u ojca? Nie była jego partnerką w łóżku. Nie była jego kolegą. Nie była książką. Była dziewczynką przy wirującym kole garncarskim, z zapiekłością żłobiącą rowki i wypukłości w mokrej glinie, w rodzących się filizankach, talerzykach, miseczkach — powstających dla ojca, który nigdy nie wypije z nich kawy i nie zje z nich płatków ani orzechów, który najwyżej postawi na biurku talerzyk lub wykorzysta jakiś kubeczek do przechowywania długopisów i ołówków.

W końcu Susannah rzuciła ceramikę, stwierdziła, że zabiera jej to za dużo czasu, choć wtedy miała już za sobą najbardziej zaawansowane kursy. Miała też dom i dzieci, którymi się zajmowała przez cały dzień - moje ukochane wnuki, Ethana i Daniela.

Alice, w przeciwieństwie do siostry, nawet nie próbowała zyskać uznania w oczach Joego. Zupełnie jakby już będąc dzieckiem, potrafiła dokonać oceny i dojść do przekonania, że nie sposób zdobyć serca tak wielkiego egoisty. Alice podobała się kobietom. Oczarowywała je. Wyglądała zawsze znakomicie; ujmująco, świeżo i krzepiąco. Jako dorosła bez problemu tolerowała Joego, jakby w ogóle nie liczyła na jego uczucia. Lubiła obdarzać go mocnymi uściskami, ale więcej ciepła zachowywa-

ła dla mnie. Zastanawiało mnie, że na towarzyszkę życia wybrała Pam, z którą zamieszkała w Kolorado. Pam była taka przyziemna. Nie brakowało jej urody, jednak bardzo typowej, nierefleksyjnej; oczy miała jasne i malutkie. Prowadziła zdrowy styl życia, regularnie ćwiczyła pilates i wybornie gotowała. Można było skosztować u niej niebываłych pyszności, jeśli tylko było się otwartym na dziwa rozmaitych gatunków warzyw korzennych.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę z tego, co Alice ma z tego małżeństwa: to Pam była żoną i tego moja córka chciała, być może nawet o tym nie wiedząc.

Teraz obie nasze córki zostały w domu, ze swoimi rodzinami - jedna tęskniąca, żałująca, że nie ma jej z nami, z nim, a druga niespecjalnie się tym przejmująca. David oczywiście nawet nie sugerował, że mógłby pojechać do Helsinek. Właściwie nigdzie nie jeździł, codziennie trzymał się jednej i tej samej drogi, jakby poruszał się tylko jednotorowym wagonikiem w kopalni: kawiarenka na rogu ulicy, antykwariat z komiksami, chiński bar, gdzie brał obiady na wynos, praca i dom. Nasza wyprawa do Finlandii nawet go nie zaciekała; nic nie powiedział, o nic nie pytał, nie złożył gratulacji. W chwili gdy szliśmy korytarzami helsińskiego hotelu, David z pewnością siedział w swojej suterenie, zanurzony w któreś ze swych ukochanych, obrazkowych powiastek z krótkimi zdankami w chmurkach i ponurą, ciemną futurologią. Na kolanach miał zapewne kartonik z chińskim jedzeniem, a wokół niego, w płamkach błyszczącego sosu, leżały tu i ówdzie kawałki makaronu. Widziałam, jak napycha się słodko-kwaśną, tłustą potrawą i jak czyta o fantastycznych ludziach w postapokaliptycznych subświatach, odpędzając od siebie wspomnienia świata, którego od dawna już nie miał - dzieciństwa.

Szłam obok Joego. Nasze ciała wędrowały blisko siebie w kosmicznej przestrzeni. Nie patrzyliśmy na siebie. Nie było tu miejsca na prawdziwą czułość; jeśli coś nas łączyło, to gruba fastryga swojskości. Kiedy boy podchodził z nami do przeszklonych

wind, wiodących na piętro przeznaczone dla VIP-ów, zauważyłam raptem młodą kobietę, zerkającą z fascynacją na Joego. Postąpiła krok w naszym kierunku, wyraźnie zmieszana i zdenerwowana, i wybąkała parę ledwie zrozumiałych słów.

- Och, Yosep Castleman... Pan tak cudownie pisze! - mówiła. — Gratulacje, moje gratulacje.

Nie była szczególnie piękna, choć miała w sobie coś z głębokiego skandynawskiego uroku. Jej włosy miały kolor szarej koperty.

- Dziękuję. - Joe się uśmiechnął. - Bardzo miło z pani strony.

Wyciągnął do niej rękę, a ona uściśnięła ją serdecznie i nie puszczała; trzymała ją mocno i trochę za długo. Nagle przemknęło mi przez głowę, że może to jedna z wielbicielek fanatyckich, niestrudzonych i nieobliczalnych prześladowców własnych idoli, ale zaraz pomyślałam, że w Finlandii to przecież niemożliwe. Najczęściej ów gatunek pojawia się w Stanach, zwłaszcza na Środkowym Zachodzie, choć bywa, że niczym zjawa napływa znad bagien Florydy. W ciągu minionych lat Joe nieraz otrzymywał listy od takich ludzi i choć groźby słali częściej mężczyźni, to Joe bardziej obawiał się kobiet. Mężczyźni grozili w sposób oczywisty i otwarty; łatwo było odgadnąć, który z nich rzeczywiście stanowi zagrożenie, a który bluguje. Joe nieraz był narażony na jawne akty wrogości; osobą najbardziej mu wrogą był jego własny syn.

David nie był chory psychicznie, nie miał żadnych odchyień, lekarze mówili co najwyżej o osobowości „marginalnej”, „z pogranicza” — takie słowa klucze określające różnego pokroju samotników o nieprzewidywalnych reakcjach. David był nadwrażliwy, łatwo dawał się wytrącić z równowagi, łatwo tracił nad sobą kontrolę.

Tamtego wieczoru, gdy zaatakował Joego, nie było mnie w domu. Wyszłam na spotkanie z przyjaciółkami u Lois Ackerman, na nasz comiesięczny „czwartek literacki”; rozmawiałyśmy na temat *Złotej wazy* Henry'ego Jamesa. Joe i David zostali w domu sami. Wieczór był nieprzyjemny, wietrzny i mroźny. David, wówczas już ponaddwudziestoletni, mieszkał z nami,

ponieważ jego suterenę zalała woda i do czasu zakończenia remontu nie miał gdzie się podziać.

Powiedzieć, że David był nieprzeciętnym dzieckiem, to mało, by docenić nadzwyczajne przymioty jego intelektu. Od początku do wszystkiego podchodził trzeźwo, z namysłem i pasją poznawczą, tak do rzeczy wielkich, jak i małych. Kiedy przyszedł na świat, Joe był wniebowzięty. Wreszcie syn! Chłopczyk miał go ocalić, miał przywrócić mu coś, co Joe stracił, gdy odszedł jego ojciec, diametralnie zmieniając mu przyszłość.

Joe zajmował się Davidem tak, jak nie zajmował się córkami. Jeździli razem na ryby i chodzili grać w bilard. Wyprawiali się na traperskie wędrowki w góry Cardigan w New Hampshire, w ciężkich butach, z plecakami wypełnionymi przygotowanym przeze mnie prowiantem. Jednak w większości tych wypraw uczestniczyli też znajomi Joego, zwykle pisarze. Joe rzadko wybierał się z Davidem sam; o czym miałyby z nim rozmawiać przez tyle godzin? W dzieciństwie David potrafił zasypywać człowieka pytaniami padającymi jak grad, jakby wyczytywał je wprost z kolorowej encyklopedii dla dzieci. Czy owady mają powieki? Dlaczego trudno łaskotać samego siebie? Dlaczego ludzi pociąga zapach własnego pierdnięcia, a cudzego odpycha? Joe szybko tracił cierpliwość. Kiedy wracali z wypraw, natychmiast oddawał Davida w moje ręce i na długie godziny znikał w swoim pokoju.

Wchodziłam tam z Davidem i siadałam na skraju łóżka, na którym Joe, zmęczony i milczący, mozolnie ścigał z nóg zabłocone buciska. „Udała się wyprawa?“, pytałam, głaszcząc syna po głowie. Wiedziałam, że nadejdzie dzień, kiedy już nie będę mogła go głaskać, kiedy gwałtownie odchyli głowę, jakby moje dłonie go parzyły. Czułam więc, że powinnam głaskać go jak najwięcej, póki mogę, póki jest chłopcem. David nic nie mówił, jakoś znosił moje pieszczoty, choć nie rozkoszował się nimi tak jak dziewczęta. Uznawałam, że to bardzo chłopięce, że to niezbędny element męskości. Siedział cierpliwie i czekał, aż sama cofnę rękę.

Podobnie jak ojciec David był zarozumiały, przystojny, miał ciemną skórę i czarne kręcone włosy. Kiedy Joe usłyszał w szkole, że David to mały geniusz, zaczął się przejmować poziomem intelektu swego dziecka. David był jeszcze mały, gdy Joe postanowił zabierać go do barów na spotkania z kolegami, o czym wtedy nie wiedziałam. Nasz Davidek bawił się pod nogami ojca samochodzikami na resorach, wytyczając im drogi w trocinach na barowej poseszce. Od czasu do czasu któryś ze sławnych literatów mimowolnie sięgał pod stół i tarmosił przyjaźnie dziecięcą czuprynkę. David zdawał się nawet nie zauważać, że czyjaś dłoń dotyka jego głowy, a jeśli zauważał, to nigdy nie odbierał tego jako czułości i nigdy też czułości nie odwzajemniał. Żył pośród nas i razem z nami, lekcje odrabiał z niepokojącą pewnością, ale niemal bezbłędnie, ruszał w góry z ojcem i jego przyjaciółmi, nie emanowało z niego jednak prawdziwe ciepło. Córki były inne, może bardziej dziecinne, uczuciowe, emocjonalne. Bardzo chciały nam się przypodobać i szybciej zyskać nasze względy. Wyjawiały mi tajemnice dotyczące koleżanek i kolegów oraz to, że godzinami siedziały nad walentynkowymi kartkami dla taty. W Davidzie natomiast wyczuwało się chłód, oddalenie, niemal obcość.

Psychiatra, u którego kiedyś zasięgnęliśmy porady, powiedział, że robimy z igły widły. „To wspaniały, mądry chłopak”, mówił, dodając, że nigdy nie zdarzyło mu się badać dziecka o tak wysokim ilorazie inteligencji. Wynik IQ naszego syna, nie odbiegający od poziomu rodziny Glassów z opowiadań Salinger’a, po prostu wykluczał możliwość jakichkolwiek ułomności. David nie był też dzieckiem autystycznym, jak syn jednego z naszych znajomych poetów, który potrafił chodzić po pokoju i powtarzać w kółko jedną i tę samą frazę z reklamy telewizyjnej. „Ryż firmy Roni, kalifornijski smakołyk...”, podśpiewywał wysokim, nieziemskim głosem.

Wszyscy nam mówili, że David jest nadzwyczajny i nie powinniśmy ingerować w jego rozwój. Joemu zależało na tym, by, jak mawiał, „zostawić Davidowi swobodę” - wyobrażał sobie

zapewne, że David wykorzysta oddaną mu przestrzeń do dokonywania wielkich odkryć i wynalazków, leczenia ludzi, komponowania utworów czy realizowania marzeń. Zamiast tego jednak David pobił kolegę z klasy, kopiąc go przy tym bez pardonu w krocze, a innym razem wywrócił do góry nogami stół w szkolnej stołówce. Któregoś dnia zrobił widowisko w klasie, śmiejąc się przy wszystkich, że nauczycielka ma wąsik jak Hitler i nie zechce jej żaden chłop. Kobieta wzięła to sobie do serca i przez cały tydzień wypominała Davidowi złe zachowanie, złorzecząc, że to chore, co o niej powiedziały.

W końcu przenieśliśmy Davida do szkoły z internatem dla nadpobudliwych, ale inteligentnych dzieci - takiej, gdzie nie zbywa na pufiastych siedziskach, dyskusjach, grupach terapeutycznych i samych psychoterapeutach. David jednak się nie zmieniał. Skończył szkołę z wyróżnieniem i jakimś cudem dostał się do Wesleyan College, nie bez wstawiennictwa i barterowych zabiegów wśród znajomych Joego. Studia Davida trwały jednak niespełna cztery semestry. W czasie wiosennej przerwy na drugim roku David wdał się w bójkę w jakimś barze w East Village w Nowym Jorku. Groził komuś nożem do cięcia kartonu i po dodatkowej utarczce z policjantami wylądował w areszcie. Na widzeniu, kiedy rozmawialiśmy z nim przez grubą, plastikową szybę, David był bardzo niespokojny, rozkojarzony, wyraźnie przygnębiony faktem, że spotyka się z rodzicami w więzieniu. Joe jak katarynka powtarzał jedno pytanie: „Jak mogłeś zrobić coś takiego?“, a David zapewne słyszał w podtekście: „Jak mogłeś mi zrobić coś takiego?“

— Jak mogłem zrobić coś takiego? — zachnął się. — Co to za pytanie?

— Pytanie jak każde inne, więc odpowiedz.

- Martwimy się o ciebie — dodałam cicho.

- Wiem, że się o mnie martwisz, mam - powiedział po chwili David, tylko do mnie, jakby Joe nie siedział obok. - No dobra, zawaliłem, wszystko spieprzyłem, tak? I co? Miewam takie erupcje i już.

— Erupcje? — rzucił Joe z przekąsem.

— Tak, erupcje.

— To raczej cały uaktywniony atół wulkaniczny, nie erupcje — podsumował kwaśno Joe.

David odwrócił się i odszedł w kąt sały widzeń. Odezwał się dopiero wtedy, gdy udało nam się go z powrotem przywołać do szyby. Jeszcze tego samego dnia wieczorem zabraliśmy go do domu. Przez kilka dni prawie w ogóle się nie odzywał. Próbowaliśmy rozmawiać o jego sytuacji prawnej, ale nie wydawał się nią w ogóle zainteresowany. Kiedy wreszcie odwiedziliśmy Davida do jego mieszkania w Middleton w Connecticut, chciał zostać sam.

— No dobra... — burknął, kiedy weszliśmy wszyscy do środka. — To... dzięki za podwiezienie. Potrzeba wam czegoś? Bo, wiecie, mam mało czasu, czeka mnie trochę roboty...

Nie wiedzieliśmy, że parę tygodni później zerwie ze szkołą na dobre, bez zapowiedzi i żadnych wyjaśnień.

Tamtego wieczoru chciał, byśmy zaraz odjechali. Po prostu nas odprawił. Czułam się trochę urażona, ale umiałam to zrozumieć. Joe nie. Stał bez słowa w płaszczu, z rękami głęboko w kieszeniach. Kilka minut później, kiedy wychodziliśmy, David nagie objął mnie wylewnie, czym czułam się bardzo zaskoczona. Joemu skinął tylko głową na pożegnanie. Nie lubił już ojca. Być może nigdy go nie lubił, teraz jednak ta niechęć przybrała inny wymiar. Wówczas nie zauważyłam jak bardzo inny. Joe również nie zauważył.

W następnych latach, gdy David przeniósł się do Nowego Jorku, nieraz wdawał się w scysje i bójki lub ostre sprzeczki z kobietami. Opowiadał mi te historie w najdrobniejszych szczegółach, jakby mówił nie o sobie, lecz o kimś dalekim i obcym. Nigdy jednak nie wspomniał o urazach, jakie żywił do ojca. Wiedziałam, że synowie często się na ojców wściekają. Czytałam Arthura Millera, czytałam greckich klasyków. Umiałam wyobrazić sobie dzielący ich dystans: wielki ojciec i syn o niezaspokojonych potrzebach. Umiałam wyobrazić sobie, jak mijają

lata, jak zastygają uczucia syna, a w uczuciach ojca przychodzi w końcu odwilż. Ale wtedy jest już za późno, akt zniszczenia się dokonał, straty są nieodwracalne, syn odsuwa się ze słowami „przykro mi, tatku” i odchodzi, zostawiając starego, zgarbionego, płaczącego człowieka, zapadniętego w głębokim fotelu. Umiałam to sobie wyobrazić, ale nigdy jeszcze nie widziałam czegoś takiego w naszej rodzinie.

Przez długi czas Davida i Joego dzielił nienaruszalny dystans wzajemnych uprzedzeń i niechęci, a może nawet pogardy. Niebawem jednak te stosunki miały się radykalnie zmienić. Tamtego dnia, gdy mieszkanie Davida pograżyło się nagle w burej, nowojorskiej wodzie. Książki i gazety kołysały się na jej powierzchni, po pokoju roznosił się smród. Ponieważ David nie miał gdzie zamieszkać, namówiłam go, by przyjechał do nas.

- To tylko na jakiś czas — przekonywałam.

I przyjechał.

Początkowo wszystko szło nadspodziewanie dobrze. Nasz dom w Wearhermill jest duży, a David prawie nie wychylał nosa ze swego pokoju. Wychodził tylko do kuchni, by przygotować sobie coś do jedzenia, najczęściej jaja sadzone na bekonie albo kanapki. Wieczorami wychodził i znikał na pół nocy, najpewniej w okolicznych barach, gdzie pił i grał w bilard. Czasem dzwonili do niego dawni koledzy z liceum, którzy nie wyrwali się w świat - pracowali w miejscowych marketach albo dorabiali w upadających firmach rodziców; ich głosy w słuchawce brzmiały niezmiennie tak samo: gburowato i ponuro. Kim byli naprawdę? Czym się zajmowali? Branża pornograficzna? Narkotyki? Nie miałam pojęcia. Świat mego syna pozostawał dla mnie szczelnie zamknięty.

Wieczór, podczas którego David wyprowadził Joego z równowagi, zaczął się w błogich nastrojach. Zjedliśmy obiad w trójkę. Rozmawialiśmy przy stole, głównie Joe i ja. David najwyżej mruczał pod nosem jakieś monosylaby, gdy nie napychał sobie ust wołowiną. Moim zdaniem nie działo się nic niezwykłego. Pamiętam, z jakim poczuciem ulgi wybierałam się na spotkanie

do Lois Ackerman, wiedząc, że mogę wreszcie wyjść z domu, że mam do tego dobry pretekst. Trudno mi to przyznać, ale David stanowił ciężar. To smutne, jeśli odczuwa się potrzebę przebywania z dala od własnego dziecka, ale to jeszcze nie tragedia. Kiedy po uciążliwej jeździe krętymi, wąskimi drogami weszłam wreszcie do domu Lois i usiadłam na kanapie w grupie uroczych, dowcipnych i inteligentnych kobiet, które łączyła wspólna lektura książek zapomnianych od czasu starych, dobrych dni w college'u, miałam ochotę już się stamtąd nie ruszyć. Nigdy. Chciałam przeprowadzić się do jednego z pustych pokoiów Lois. Była rozwódką, najwyraźniej absolutnie samotną; kiedy się witała, tuliła nas mocno do siebie, długo, wyraźnie za długo, przeciągając te chwile. Była wysoka, silna, z lekko zapadłymi policzkami, zwykle obwieszona turkusową biżuterią, którą kupowała podczas samotnych wycieczek na Południowy Zachód. Lois zawsze i wszędzie była sama. Bolała ją ta samotność, do mnie jednak bardzo przemawiała. Jej dom wydawał mi się oazą; wielkie łoże okryte nieskazitelną narzutą z dywetyny, a przy nim stolicek nocny z pudełkiem francuskich karmelków, flakonikiem toniku Nivea i niedługim rzędem kaset wideo z filmami „starego kina”. Nie było tu śladu mężczyzn. Spokój. Cisza. Wnętrze rozbrzmiewało najwyżej kobiecymi głosami. Jak teraz. W dyskusji wybijały się pojedyncze słowa i zwroty rodzaju: modernizm, narrator, struktura narracji, księżna Casamassima.

Jedzenie nie było złe. Lois zastawiła stolik przekąskami, marynatami, sosami do chrupek i chrupkami. Czułam się odprężona i rozluźniona, popijałam i podjadałam, chętnie włączałam się do dyskusji na temat wierności małżeńskiej. Nie wiem, czy to nie objawy babskiej paranoi, ale miałam nieodparte wrażenie, że moich uwag wysłuchiowano z większym zainteresowaniem niż innych. Być może powinnam była wiedzieć najwięcej na ten temat, choć wtedy jeszcze nie czułam się zdradzaną żoną.

Joe tymczasem siedział w salonie, kręcił w dłoni szklanka burbona z pobrzękującym lodem i w skupieniu wsłuchiwał się w Herbiego Hancocka na kupionym niedawno, najnowszym

sprzęcie grającym marki „Bose”. (Mężczyźni, do których świat należy, mają obsesję na punkcie dobrego sprzętu grającego; nie wiem dlaczego, ale tak jest.) Siedział w swoim kasztanowatym fotelu, czytał gazetę, popijał drinka i słuchał muzyki. David zaszył się na górze, w swoim dawnym pokoju dzieciennym, i z niego nie wychodził.

Myślałam sobie, że taki wieczót powinien trwać długo; każdy robi to, co zwykle robić powinien. Nawet nie zauważyłam, jak w domu Lois zadzwonił telefon. Odebrała go i po chwili wróciła do nas.

— To Joe — szepnęła do mnie, w czasie gdy Sylvia Brumman z przejściem wyłuszczała podobieństwa łączące wczesne i późne dzieła Henry'ego Jamesa.

Podniosłam słuchawkę w kuchni Lois, odezwałam się zaniepokojona i usłyszałam pełen napięcia głos Joego:

— Joan? Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam tu, że tak powiem, sytuację podbramkową.

— To znaczy?

— David.

— Co David?

— Jest tu przy mnie.

— Nie możesz teraz mówić?

— Nie bardzo — odparł. — Musimy jednak natychmiast porozmawiać. Możesz przyjechać?

Kiedy odwiesiłam słuchawkę, Lois zajrzała do kuchni. Zapytała, czy wszystko w porządku; oczywiście, nic nie było w porządku. Przeprosiłam wszystkie panie, wyszłam do samochodu i popędziłam do domu. Tej nocy, w konsekwencji wydarzeń, jakie zaszły, udało mi się nakłonić Davida, by pojechał ze mną na badania do kameralnego szpitala psychiatrycznego w Westchester. Skończyło się na dwutygodniowej obserwacji; dużo tam spał, przyzwyczajając organizm do nowego leku przeciwdepresyjnego. Kiedy następnego dnia parę zaniepokojonych koleżanek z grupy dyskusyjnej zatelefonowało do mnie, by zapytać, co się stało, odpowiadałam, że doszło do „małego spięcia” między

Joem i Davidem. Nic więcej nie dodawałam. Nikt też o nic więcej nie pytał. Wiedzieli, że mam kłopoty z synem. Wiedzieli, że to są dla mnie bolesne sprawy.

David do dzisiaj regularnie zażywa lek, w każdym razie powinien. Nigdy więcej nie trafił do szpitala. Przez ostatnie lata nie zmieniał pracy. Udało mu się utrzymać posadę w jednej z firm prawniczych: pracuje wieczorami, często pojawia się tam zmęczony, w rozchełstanych ubraniach, ale w pisaniu na komputerze jest niezastąpiony. Nadal od czasu do czasu zdarzają mu się jakieś sprzeczki i zaczepki, ale to nic poważnego.

Natomiast nigdy nie zanikło napięcie między Davidem a Joem, choć, jak sądzę, z upływem czasu przyzwyczailiśmy się do takiego stanu rzeczy. Bywało, że zagrożenie dla Joego pojawiało się z zupełnie innej strony, nie od naszego syna. Joe zaczął się zastanawiać, co w nim siedzi, że tak często nastroja ludzi przeciw sobie.

Pewnego razu Joe otrzymał anonim:

Panie Castleman,

*Myślisz pan sobie pewnie, że jesteś' DAREM BOŻYM, co?
A ja FAGASEM, któremu gównu się udaje!!! Otóż też piszę
książkę i miej się pan na baczności, panie Castleman, bo pan też
w tej książce będziesz (sic!) i pana postać nie dożyje epilogu...*

Joe zawiadomił policję. Ja go namówiłam. Kiedy wieczorem pojawili się w domu dwaj funkcjonariusze z posterunku w Weathermill, Jose poczuł się bardzo zażenowany. Im dłużej nad tym myślał, im dalej toczyły się sprawy, tym trudniej było mu uwierzyć, by ktoś mógł nastawać na życie powieściopisarza. No, może na autora literatury faktu, choć i to nie mieści się w głowie. Co za sens zabijać pisarza? Polityków, aktorów, byłego Beatlesa: owszem, to jeszcze rozumiał, skupiali przecież w rękę jakąś rzeczywistą władzę, mogli na coś wpływać, czegoś dokonywać, ale powieściopisarz?

Najbardziej obawiał się wariatów. Nie krył też wzgardy dla rzeszy czytelników, którzy niemal nie schodzili z czatów i fo-

rów internetowych poświęconych jego twórczości, którzy pracowicie wynajdywali każdy opublikowany przez niego i na jego temat tekst i wytrwale poszukiwali sposobów, by był blisko nich, by im się nie znudził. Kiedy zdarzyło mu się osobiście spotkać takie osoby, wycofywał się nieśmiało z rozmowy trochę poirytowany, a trochę przestraszony, patrząc gdzieś w próżnię, choć jak zawsze zadowolony z tanich pochlebstw.

Kiedy jednak chodziło nie o czytelnika, lecz czytelniczkę, do tego młodą i ładną, Joe podnosił mężnie głowę i patrzył jej długo w oczy, chylił się ku niej, robił półkrok, jak niewidzialny duch wnikając w sferę wyznaczaną wonią jej perfum. To była jedna z najbardziej oczywistych i najłatwiejszych rzeczy na świecie — sposób, w jaki zbliżał się do pięknych kobiet, pragnąc ich, przemawiając do nich zniewalającym szeptem, który wywoływał ciarki na ciepłej skórze ich szyi i pleców. Na samym początku, parędziesiąt lat temu, odwracałam głowę i udawałam, że niczego nie widzę. Podchodziłam do stołu po następny kieliszek wina, wdawałam się w rozmowę z prorektorem, jeśli była to uroczystość na jakiejś uczelni, lub z organizatorem spotkania czy wydawcą. Odwracałam się plecami do aktu uwodzenia, dokonującego się dosłownie parę metrów ode mnie. Potem nadszedł czas oporu z mojej strony. W ostrych słowach wyrzucałam mu takie zachowanie, a on mówił, że przesadzam, bo nic takiego nie zrobił. Albo w końcu poddawał się, przepraszał, tłumaczył, że nie może się oprzeć, że wie, że jest słaby i nienawidzi tego u siebie. Mijał czas, jego zachowanie się nie zmieniało, a ja znowu zaczęłam udawać, że nic nie widzę. Piłam wino, maczałam seler w pikantnym sosie i zagryzałam go spokojnie, wiedząc, że za moimi plecami mój uśmiechnięty od ucha do ucha mąż zawiera bliższą znajomość z piękną i młodą dziewczyną, swoją wierną czytelniczką.

Być może mówiła do niego: „Wie pan, ten fragment w *Nadgodzinach*, który zaczyna się od sceny, jak córka myje sobie włosy, to najpiękniejszy opis dziewczęcego dojrzewania, jaki czytałam. Skąd pan wie takie rzeczy, panie Castleman?”

On wzruszał nieznacznie ramionami i z czarującym uśmiechem dziękował za uznanie. A kilka dni później, w sposób, którego nigdy nie rozwikłałam, udawało im się ponownie ze sobą spotkać, ale już na osobności.

Uroczą młodą Finka, stojącą teraz przed nim w holu hotelu InterContinental, to prawdopodobnie zwykła, przypadkowa dziewczyna, może z prowincji, zapewne inteligentna i czytanna, która od dawna marzyła, by uścisnąć dłoń laureatowi Helsińskiej Nagrody Literackiej. Uśmiech nie znikał z jej twarzy, nawet kiedy wzrokiem odprowadzała go w kierunku windy.

— Ty to masz szczęście, wszędzie cię kochają - szepnęłam mu do ucha, gdy boy hotelowy uruchomił kluczykiem mechanizm i oszklona kabina ruszyła w górę z błogim, przeciągłym szumem, jaki znałam tylko z europejskich wind.

— Nie sądzę, by ta kobieta mnie kochała - odszepnął Joe. - Przesadzasz.

— Nie zawahałabym się postawić kilku groszy, że jednak tak — odparłam głośniej.

— Cóż, niech więc przynajmniej ktoś mnie kocha - odpowiedział z westchnieniem. — Jak mi się wydaje, na razie to stanowisko pozostaje nieobsadzone.

Boy, wyprężony jak struna przy drzwiach, wpatrzony w zmieniające się cyfry kolejnych pięter, nie dał po sobie poznać, że cokolwiek rozumie z tej zakamuflowanej małżeńskiej wymiany ciosów. Winda wznosiła się wolno z cichym szelestem zwijanych kabli, wywołując wspomnienie fiordów, aż wreszcie zatrzymała się łagodnie na piętrze przeznaczonym dla VIP-ów. Gdzieś na końcu korytarza czmychnęła do pokoju zaciekawiona pokojówka. Po chwili otworzyły się przed nami podwójne dębowe drzwi i weszliśmy do apartamentu prezydenckiego. Z olbrzymich okien widać było korony drzew, a pod nimi bruk dziedzińca.

— Gorąca! - Boy zademonstrował w łazience działanie błyszczącej, mosiężnej baterii w marmurowej umywalce; po chwili zamknął pierwszy kurek i odkręcił drugi: — Zimna!

Apartament składał się z jadalni, dwóch sypialni, małej biblioteki i sauny. W głównej sypialni stało ogromne łożo z czterema kolumnkami w narożnikach. Na łożku leżały dwa grube, ciepłe szlafroki. Wymęczony podróżą, nadmiarem wrażeń i okazywaną na każdym kroku gościnnością Joe powoli ściągnął z siebie ubranie i zarzucił na ramiona szlafrok.

- Właściwie nie wiem, co mamy teraz robić. — Spojrzał na mnie pytająco.

- Wiesz, co zrobimy? Pójdziemy spać.

Kiwnął głową i usiadł na łożku, sprawdzając twardość materaca. Potem ziewnął ostentacyjnie.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - zapytał. — Nie powinniśmy poczekać, żeby przemóc zmianę czasu? Pójdziemy spać wieczorem i jutro będziemy w pełni sił. Zresztą, ja i tak nie zasną, wiesz, że trudno mi zasnąć.

- Ale dzisiaj zaśnieś — odpowiedziałam. — Założę się, że jesteś zmęczony tak jak jeszcze nigdy w życiu.

- Co prawda, to prawda — przyznał.

Rozebraliśmy się i wsunęliśmy pod białe, niezmierzone fale pościeli. Nie dotykaliśmy się, nasze ciała były nam obojętne od paru dobrych lat, przy czym moja obojętność była podszyta wrogością, której Joe stawał się nie dostrzegać. Leżeliśmy obok siebie wyczuci z miłości. Za drzwiami sypialni, w pozostałych pomieszczeniach apartamentu, uwijały się jeszcze pokojówki niczym dobre duszki, otwierając i zamykając jakieś drzwi, polewując owoce i układając je w koszykach i składając w przemyślnie origami końcówki rolek papieru toaletowego. Wreszcie ta odległa symfonia głosów ucichła. Leżeliśmy w kompletnej ciszy, nasze chłodne ciała pieściło ciepło jedwabiu. W łożku Joe wydawał się mały, spod kołdry wychodziły mu kołtunki siwych włosów na klatce piersiowej. Widać też było sutki; dwa obumarłe, bezużyteczne krążki. Był słaby, wycieńczony, ale uszczęśliwiony i, co naprawdę nietypowe, po raz pierwszy od bardzo długiego czasu natychmiast zasnął. I spał głęboko. Oboje spaliśmy.

Obudziły nas jakieś monotonne głosy, chóry anielskie, wydo-

bywające strudzonych wędrowców z objęć Morfeusza. Otworzyliśmy oczy. Był już późny poranek. Ze zdumieniem zauważyliśmy, że nie jesteśmy sami. W sypialni znajdowało się mnóstwo obcych dziewcząt ubranych w białe szaty, trzymających świece i nucących z natchnieniem jakąś pieśń, oczywiście po fińsku. Jak wyjaśniono nam później przy obiedzie, były to tradycyjne otrzęsiny laureata nagrody helsińskiej; dość bezwstydne naśladownictwo szwedzkiego obyczaju, jakiemu poddawani są laureaci Nagrody Nobla. Leżeliśmy, w półdrzemiąc, walcząc z opadaniem ciężkich powiek, starając się ogarnąć wzrokiem całe to misterium, i raptem w drzwiach sypialni pojawili się fotoreporterzy. Błysnęły flesze.

Potem dziewczęta ze świecami cofnęły się o kilka kroków i wystąpiły inne, niosące ku nam w wyciągniętych rękach okrągłe talerze pełne owoców, serów i słodkich wypieków. Po chwili one również się cofnęły, ustępując miejsca dwóm dziewczętom, które wyszły z dużymi kubkami kawy w dłoniach, właściwie miseczkami, z jakich piją wodę kociaki. Wreszcie wszystkie te śniadaniowe i teatralne rekwizyty zaczęto uroczyście składać przed naszym łóżem na srebrnych tacach.

— Długo to jeszcze potrwa? — zapytał mnie szeptem Joe.

- Psst... - uciszyłam go i uprzejmie uśmiechałam się do dziewcząt, a Joe był już na tyle *trzeźwy*, by pójść moim śladem.

W jednej chwili, na dany sygnał, nasze śliczne rusałki utworzyły krąg, chwyciły się za ręce, uniosły je w górę i zaczęły śpiewać głosem, który poruszyłby najbardziej nieczule i kamienne serca. Nie miałam pojęcia, co znaczą słowa; zapewne należało sądzić, że opiewają chwałę dnia i niezwykłość tej wspaniałej ceremonii, ale w moim przekonaniu, choćby dla hecy i własnej zabawy, dziewczęta mogły równie dobrze śpiewać coś innego:

Pierdol pan się Castlemanie

Domorośły grafomanie

Parweniuszu mitomanie

Pierdol pan się Castlemanie...

Dawno temu istniał w naszym życiu inny hotelowy pokój, bardzo odmienny; stary, duszny i odrapany, i nie śpiewały w nim nad ranem anielskie chóry. Minęło czterdzieści pięć lat, ale jak żywo pamiętam tamte kąty, tamten zapach, tamten stęchły brud. Pamiętam też, jak jechaliśmy tam z Joem pierwszy raz, kiedy spakowaliśmy nasze rzeczy i wyjechaliśmy z Northampton. Najpierw jechaliśmy autobusem, potem nowojorskim metrem. Pamiętam żółte siedziska i rozklejone w wagonach reklamy proszku „Dreft” i gum do żucia „Chiclet”. Miałam dziewiętnaście lat. Trzymałam się mocno skórzanej pętli uchwytu. Na środku mojego czoła widniał absurdalny purpurowy siniak, dwudniowy ślad celnego rzutu żony Joego, Carol. Stałam, trzymałam się uchwytu, jak inni pasażerowie dojeżdżający w tym mieście do pracy lub szkoły, i widziałam, jak Joe patrzy na mnie, na siną zgrubiałość nad oczami, a jednocześnie na wgłębienie pod pachą, we wcięciu wygniecionej, żółtej sukienki. Zabrałam ze sobą rzeczy tylko na weekend; reszta, w dużym kufrze, miała być dopiero nadesłana z college’u. Pierwszy raz w życiu jechałam nowojorskim metrem, choć dokładnie znałam trasę autobusu, którym po lekcjach często przyjeżdżałam do centrum z przyjaciółmi.

Bałam się zadzwonić do rodziców i powiedzieć im, co zrobiłam. Wiedziałam zresztą, że władze college’u będą miały ptawo uczynienia tego w moim imieniu. Rodzice mieszkali w Nowym Jorku. Właściwie istniała teoretyczna możliwość, że gdzieś mogę się na nich natknąć, ale było to mało prawdopodobne. Nigdy nie jeździli metrem i w ogóle rzadko zapuszczali się w rejony dzielnicy, do której zabierał mnie teraz Joe. Trasy ich marszrut były zawsze te same, łatwe do przewidzenia i niedługie: aleje Park, Madison i Lexington — najwyżej tyle. Oczywiście mogłabym skorzystać z ich pomocy, mieliśmy z Joem mało pieniędzy, ale jakoś czułam, wiedziałam, że tym razem nie powinnam ich prosić o pieniądze. Ta część mojego życia nie miała z nimi nic wspólnego. Nie chciałam ich w nią wciągać, przynajmniej na razie. Nie byłam już sama, lecz z Joem, czułam się, jakbym

brała udział w wielkiej zabawie; jak gotowa na wszystko studentka pierwszego roku, która ochoczo ucieka ze swoim wykładowcą z college'u i zaszywa się w Nowym Jorku. Nie byłam jednak naiwna. Nie sądziłam, by taki nastrój miał długo trwać.

I długo nie trwał. Przerazenie ogarnęło mnie już na początku, kiedy stanęliśmy w mdłym, zielonkawym hotelu „Waverly Arms”, gdzie stróż nocny drzemał za zakratowanym okienkiem w zamkniętej na klucz portierni. Przybita przykrym wrażeniem stałam nieruchomo bez słowa, jak słaba uczennica wywołana nagle na środek klasy. Joe wypełniał książkę meldunkową. Pokój 402 robił jeszcze bardziej upiorne wrażenie niż hol; zapuszczone wnętrze, ten sam zielonkawy, niemal szary kolor ścian, duchota i jedno nieduże okno, między którego szybami, w długim rzędzie, leżały wysuszone, zdechłe muchy, jakby w artystycznym akcie twórczym poupychał je tam jakiś naturalista. Pokój nosił łatwo czytelne ślady swej niechlubnej przeszłości; zdradzał nawet, jaka zupa była ostatnio gotowana na kuchence elektrycznej (rosół z baraniny), a wgłębienie na środku materaca kazało myśleć, że poprzedni lokator przeleżał w jakimś rozpaczliwym stuporze cały okres swego pobytu w hotelu.

— Rzygać się chce... — Zrezygnowana usiadłam na skraju zapadniętego łóżka i się rozpłakałam.

Joe sądził, że skoro hotel jest położony w Greenwich Village, to przymknę oko na jego opłakany stan. Wyobrażał sobie, że radosna i szczęśliwa będę wstawać ze skowronkami, budzona syrenim śpiewem Village, melodiami srebrnych trąbek wygrywanymi sennie przez ćwiczących artystów, że będę zauroczona samym widokiem ludzi, sposobem ich zachowania i ubierania się, ich przepełnioną buntem wolnością, oderwaniem się od pracy i życia. Miał nadzieję, że się rozejrzę dookoła i krzyknę: „Tak, o to mi chodziło!”. Ale to nie takie proste; porwać z college'u młodzietką dziewczynę, zupełnie niedoświadczoną, jeśli nie liczyć godzin spędzonych wspólnie w łóżku, i przemienić ją w kogoś, kim nigdy nie była i kim wcale nie chciała zostać.

— Tak ma teraz wyglądać moje życie? - pytałam we łzach

melodramatycznym głosem. — Mam mieszkać w tym małym, ohydnym pokoiku ze zdechłymi muchami?

- Nie, nie, Joanie, to przecież tylko na jakiś czas — przekonywał Joe, ale jego również dręczyła niepewność, czy nie zrobiliśmy potwornego błędu, którego już nie da się naprawić.

W rzeczywistości jednak nie mieliśmy wyboru. Carol Castleman najpierw cisnęła we mnie orzechem, a potem wyrzuciła z domu męża. Joe zrozumiał, że nawet jeśli sam nie zrezygnuje z posady w Smith College, to szkoła zrezygnuje z niego. Czuł się zrujnowany finansowo i zawodowo. Ja natomiast, opuszczając wczesnym rankiem Northrop House, czułam coś innego: dziwne pomieszanie upokorzenia i triumfu. Opowiadałam Joemu, jak żegnały mnie koleżanki; moja przyjaciółka, Laura Sonnengard, i inne dziewczyny z piętra, stały wokół w koszulach nocnych i przytulały mnie ze łzami w oczach, niczym dziatki z sierocińca w filmie z Shirley Tempie. Były poruszone i przejęte, bo wiedziały, że odchodzę już na dobre, ale w świat z pewnością batdziej fascynujący niż ich świat, przynajmniej w najbliższej perspektywie.

-Mówisz, że to tylko na jakiś czas, ale całe życie jest tylko na jakiś czas — mówiłam, pociągając nosem. — To naprawdę marne pocieszenie.

Przedstawiałam żałosny widok i miałam tego świadomość: siedzę oto na zapadniętym, hotelowym łóżku, w kretyńskiej sukience i z siniakiem na środku czoła.

- Nie będę cię pocieszał — odparł Joe. — Daruj sobie to studenckie filozofowanie. Jak ci się nie podoba, to możesz iść. Proszę bardzo, autobus czeka, wracaj do Smith College, przyjmą cię z otwartymi ramionami, na pewno boją się sądu: niewyżyty seksualnie profesor, Żyd, gwałci naiwną studentkę pierwszego roku.

- Nie jestem naiwną studentką - odparłam. — Idź w cholerę, Joe! Jesteś w błędzie, jeśli sądzisz, że czułam się zgwałcona. Wiedziałam, co robię, i wiedziałam, czego chcę.

Wydało mi się, że to go zaskoczyło.

— Wiedziałaś? — Usiadł obok mnie. — Sądziłem, że to ja wołałem lawinę... Pocałunek w moim gabinecie, spotkanie...

- Nie. Ja już pierwszego dnia coś poczułam - powiedziałam. - Już na pierwszych zajęciach, kiedy po narodzinach dziecka przyszedłeś do Seelye Hall spóźniony i rozkojarzony i czytałeś nam *Zmartwych* Joyce'a. Prawie każda dziewczyna w sali myślała wtedy tylko o tym, że chce być bliżej ciebie.

- Och! - westchnął nie bez satysfakcji. - Nie wiedziałem.

— A jednak.

- Kocham cię, Joanie, wiesz o tym - zapewnił i objął mnie ramieniem, a ja pomyślałam wtedy, że może rzeczywiście mnie kocha.

Ta krótka rozmowa mnie uspokoiła. Zaraz potem dałam się namówić na wieczorny, wiosenny spacer wśród gwaru i muzyki Greenwich Village. Joe zaprosił mnie na kolację do „Grand Ticino”, gdzie zjadłam talerz *spaghetti al burro*, jedyną potrawę, jaką zamawiałam wówczas we włoskich restauracjach, co Joego bardzo irytowało. On zamówił mózdzek. Mimo późnej pory niemal wszystkie stoły wciąż były zajęte, czym Village bardzo różniło się od Northampton, gdzie restauracje zamykano wczesnym wieczorem. Joe opowiadał o nocach na Bancroft Road, jak nie spał, przemierzał nerwowo pokoje, jeździł na prośbę Carol po maść witaminową i patrzył, jak żona naciera dziecięcą pupę galaretowatym, pomarańczowym kremikiem.

- Co za ulga, że mnie tam już nie ma - mówił, zajądając mózdzek. — Myślałam, że tam umrę. Właściwie to ci dziękuję za wyrwanie z takiego życia, za ocalenie, nawet jeśli niespodziewane.

— Nie ma za co... — odpowiedziałam, wyciągając do niego rękę nad stołem.

— Masz masło na wargach — zauważył. — Twoje usta świecą. Jesteś chyba świętą. Święta Joanna!

Potem zmieniliśmy temat i rozmawialiśmy o różnych sprawach. Tuż przed końcem obiadu Joe wyznał, że po rozstaniu z Carol i Fanny czuje nie tylko ulgę, ale także smutek. Łamią-

cym głosem wspominał, jak tulił do siebie córeczkę i dotykał jej małej główki, i całował miękkie ciemiączko, dziwne miejsce, gdzie kości czaszki nie zdążyły się jeszcze zrosnąć.

— Jakoś ci pomogę — powiedziałam machinalnie.

— Nie będziesz umiała mi pomóc — odparł.

Upierał się, że nigdy nie zrozumie, co czuje młody ojciec po takiej stracie. To może dziwne, ale wydawało mi się, że jednak umiałabym go zrozumieć. Też umiałam wyobrazić sobie małe, opuszczone, smutne dziecko, dziewczuszkę, która dostała literackie imię po Fanny Price. Kilka tygodni później Joe postanowił napisać do żony list, pełen żalu i skruchy, ale spokojny i wyważony. Właściwie on wyłożył, co chciałby jej powiedzieć, a ja ubrałam to wszystko w słowa. List był poruszający i bardzo szczery, ale jednocześnie mało sentymentalny i trzeźwo traktujący sprawy. Joe zawarł w nim zarys planu alimentacyjnego i pomocy finansowej dla dziecka, który omówił wcześniej z zaprzyjaźnionym adwokatem, Nedem. Zażądał też, by raz w miesiącu mógł się widywać z dzieckiem, otwarcie pisząc o uczuciach, jakie chowa w sobie nie mieszkający już z rodziną, zgnębiony ojciec.

Pomogłam mu najlepiej jak umiałam. Zostałam z nim w „Waverly Arms”, na długie tygodnie. Bezlitosną niepewność upływających dni staraliśmy się topić w seksie. Bieliznę i pończochy prałam w małej, brudnej misce w pokoju. Kiedy wyschły, były aż sztywne od szarego mydła, którego używałam do prania. Spłuczka w toalecie na korytarzu nie działała. Jakoś nie przeszkadzało to innym lokatorom; w muszli pływała zwykle kleista zawiesina uryny i rozmoczonego papieru toaletowego, za każdym razem przypominająca mi zupełną jajecznicą, którą jadaliśmy w taniej restauracji w Chinatown. Niekiedy godzinami spacerowaliśmy po Village, całując się na schodkach kamienic - widzieliśmy, że robi tak wiele młodych par.

Większość czasu spędzaliśmy jednak w naszym ciasnym pokoju. Wiedziałam, że jeśli dalej tak będzie, obróci się to przeciwko nam, a my przeciw sobie. Ale Joe nie chciał się wypro-

wadzać; był pisarzem, czy też chciał nim zostać, i musiał tu mieszkać, by móc pisać. Miał trochę oszczędności, które szły na pomoc finansową dla Carol i Fanny; starczały - na razie. Nie miałam wówczas takiego zapału do pisania jak on. W Smith College namawiał mnie, przekonywał, ale teraz, w Nowym Jorku, mowa była wyłącznie o jego pisaniu, a mi to nie przeszkadzało. Nie uważałam, że mam coś więcej do powiedzenia, a nawet gdybym tak uważała, to wciąż kołatała mi w głowie przestroga Elaine Mozell o daremności moich wypowiedzi. Joe pisał swoje opowiadania, a ja postanowiłam znaleźć pracę, dzięki której mogłabym uzupełnić swój marny budżet i dorzucić coś do paru groszy, jakie co pewien czas dosyłała mi babcia. Bez wielkiej wiary wykonałam kilka telefonów, wykorzystując wątplą i zawiłą sieć znajomości, jakie posiadałam w Nowym Jorku jeszcze z czasów szkolnych. Przypomniałam sobie, że Candy Mullington, dobra znajoma matki mojej koleżanki, Brearley, była szefową kadr w wydawnictwie Bower & Leeds. Pani Mullington zgodziła się na spotkanie i po paru rozmowach zostałam asystentką wydawcy, pana Hala Wellmana. Joe nie mógł wyjść z podziwu; był zachwycony, że będę robić coś pożytecznego i że będę pracować w branży wydawniczej, że będę miała do czynienia z książkami, będę obracać się wśród redaktorów i wydawców, że kiedy napisze pierwszą powieść, szybko zapewnię mu odpowiednie kontakty.

Siedziba wydawnictwa Bower & Leeds mieściła się na ósmym piętrze niedużego, białego budynku na rogu Madison Avenue i Czterdziestej Szóstej. Wstawałam wczesnym rankiem, gdy Joe jeszcze spał, i jechałam metrem na dworzec Grand Central. Joe powiedział kiedyś, że wstaje dopiero po mnie, bo lubi patrzeć, jak ściągam z siebie koszulę nocną i jak każdego ranka moje ciało wygląda dokładnie tak samo. „Czas się ciebie nie ima”, mówił, „przyciąganie ziemskie też nie”.

Świat, w którym spędzałam teraz swoje dni, dla Joego pozostawał odległy i tajemniczy. Był wdzięczny, że sam nie musi w nim codziennie przebywać, ale z drugiej strony pragnął któ-

regoś dnia tam wtargnąć i przyjrzeć się, jak siedzę na swoich czterech metrach kwadratowych i odbieram telefony dla serdecznego i zapracowanego pana Wellmana.

- Jak i on jest? — zapytał raz Joe.

- Pan Wellman? No, to prawdziwy książę. Mówi mi o wszystkim i właściwie prawie na wszystko pozwala. Uważa mnie za kogoś więcej niż asystentkę, zostawia mi do przejrzania odrzuty, wiesz, nadsyłane kopami grafomańskie wypociny.

— Szczęściara — rzucił ironicznie.

- Nie widzę w tym nic złego - orzekłam. — Co prawda, to tylko odrzuty, ale przecież ktoś w wydawnictwie musi je przeczytać.

Często przynosiłam z pracy torbę pełną takich maszynopisów. Wieczorem siadaliśmy na łóżku i zaśmiewaliśmy się z nich do rozpuku.

— Posłuchaj tylko tego — mówiłam, chichocząc. — Powieść pod tytułem *Odwago, prowadź!* Zaczyna się tak: „Chester Mackey przy bilardzie i szklance dżinu szukał szczęścia, aż któregoś dnia zauważył, że w barze tego cholerstwa nie da się kupić”.

Takie literackie niedorzeczności bardzo nas podbudowywały. Stanowiły miarkę, którą mierzyliśmy własne możliwości i umiejętności. Czytaliśmy te beznadziejne teksty i zachowywaliśmy się tak, jakby od ich autorów dzieliły nas lata świetlne, choć wciąż unosił się nad nami zły duch opowiadania *W niedzielę mleka nie ma*. Opowiadanie Joego musiało jednak być przypadkowym odchyleniem od normy. Skąd miałyby to przekonanie, że w odrzutach z B&L rzeczywiście znajdują się steki grafomańskich bzdur? Umiał odróżnić ziarno od plew; pojmował, w czym tkwią różnice. Jego twórczość nabierze jeszcze kształtu i siły wyrazu. Z biegiem czasu Joe będzie coraz lepszy. Kiedy pisał dla „Kariatydy”, był nieopierzony. Nie wiedział jeszcze, o co mu chodzi. Teraz zaczynał wiedzieć.

Któregoś dnia stary przyjaciel Joego Harry Jacklin i jego żona Maria zaprosili nas na przyjęcie. Mieszkali na ostatnim piętrze starego budynku bez windy przy Grove Street. Już na

schodach natknęliśmy się na rozgadane grupki i płynącą z góry chmurę dymu ze skrętów marihuany. Joe przeprowadził mnie troskliwie przez tłumek, pozdrawiając dawnych przyjaciół z czasów uniwersytetu i krótkiego pobytu z Carol w Nowym Jorku. Niektórzy byli zaskoczeni jego obecnością, ale jeszcze bardziej moim widokiem, widziałam to wyraźnie. Joe w trzech słowach zręcznie wyjaśniał swoją nową sytuację, próbując czynić to w sposób jak najbardziej elokwentny i dowcipny („Nastąpiła mała wymiana handlowa”, mówił komuś z uśmiechem albo: „Mam nowszy model. Dużo lepszy. Nie rzuca sprzętem domowymi”). Zorientowałam się, że mało kto darzył Carol sympatią, choć, jak mogłam się domyślać, nikt wcześniej nie miał odwagi otwarcie tego Joemu powiedzieć. Teraz jakby wszyscy poczuli ulgę, że prawda może wyjść na jaw.

Joe marzył o dobrym drinku: coś mało zmieszanego i mocnego, co szybko postawi go w takim towarzystwie na nogi. Nie minęło kilka minut, a pił czystą wódkę i namiętnie pociągał skręta, którego podsunął mu niejaki Digby — chudy jak szczapa, czarnoskóry gej, a przy tym zawodowy tancerz, którego ponoć zaprosiła do współpracy sama Martha Graham. Digby królował w jednym z kątów, gdzie przy eterycznych dźwiękach elektronicznej muzyki „theremin”^{*} siedział na kaloryferze otoczony młodymi, białymi kobietami i żywo rozprawiał o segregacji rasowej i prawach obywatelskich. Kobiety rzucały na niego wielbiące spojrzenia spod w półprzymkniętych powiek, jakby był co najmniej Paulem Robesonem na wiecu komunistycznym. Co te dziewczyny mogły wiedzieć o prawach obywatelskich Murzynów? Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że niewiele więcej niż ja. Były takimi typowymi panienkami z dobrych szkół, pewnie Sarah Lawrence College albo Bennington. Wyobraziłam je sobie, jak tańczą w koronkowych sukniach po kostki na łące, i nagle bardzo zapragnęłam zatańczyć z nimi — nie mieć u boku

*** Nazwa modnego wówczas gatunku muzyki elektronicznej - pochodzi od nazwiska konstruktora elektrofonicznego instrumentu, Leona Theremina.**

mężczyzny, nie sypiać z nim w starym, zapadniętym łóżku, lecz poczuć mech pod stopami i być w kręgu roześmianych, szczęśliwych dziewcząt. Stwierdziłam, że chyba zaczyna działać „marycha”, skoro takie myśli przychodzą mi do głowy, a upewniłam się co do tego kwadrans później, kiedy w takt muzyki z płyty Ymy Sumac zaczęłam improwizować egzotyczny taniec. Widziałam, jak z sąsiedniego pokoju Joe spogląda na mnie z dumą i podziwem, a także wyraźnym poczuciem prawa własności do mnie. Cóż, sama się o to prosiłam, sama tego chciałam, sama weszłam w zasięg jego wzroku, jeszcze w Smith College.

Kiedy przygasała atmosfera, muzyka nieco ucichła i skończyły się tańce, kilku mężczyzn wyszło na schody ewakuacyjne i rozpoczęło głośną dyskusję. Joe wziął mnie za rękę i pociągnął za nimi. Lyle Samuelson, który wykładał lingwistykę w City College, ustawił na parapecie rząd pustych butelek po piwie, pchnął pierwszą, ta przewróciła się na drugą, ta z kolei przewróciła trzecią; butelki potoczyły się z brzękiem, ale żadna się nie stłukła.

— Pamiętacie teorię domina Ike'a? - zapytał Samuelson. — Najpierw Kambodża, potem Syjam, a potem, o kurczę, co za pech, Japonia też nasza! — Zaśmiał się, po czym wrzasnął w kierunku pokoju. - Piwa! Hej, brakuje nam tu kilku buteleczek!

— Już się robi! — dobiegł nas z daleka kobiecy głos.

Nie znałam tych mężczyzn, ale było mi wśród nich dobrze. Wspierałam się na ramieniu Joego i słuchałam, co mówili — ich głosy były pociągające, głębokie i mądre, nawet jeśli to, co mówili, nie było jakoś ani głębokie, ani mądre. Po chwili dołączył do nas kolejny mężczyzna i uświadomiłam sobie, że to ktoś z mojego wydawnictwa - Bob Lovejoy, redaktor o dziecięcej twarzy, który nie rozmawiał z asystentami, nigdy nie mówił „dzień dobry”, ciągle wyglądał na zajętego niezwykle ważnymi sprawami i miał wielkopańskie gesty, choć ledwie parę lat temu skończył studia.

Nie przyszłoby mi nawet do głowy, że wie, kim jestem, i że w ogóle zauważył mnie w wydawnictwie. Kiedy jednak spojrzął na mnie, od razu rzucił apatycznym tonem:

— Joan, Joan, wędrownego muzykanta szkrab, do chlewu włącz, dwie świnki skradł i nogi wziął za pas. — Po czym dodał zadowolony z siebie: — Dlaczego ukradłaś świnki, Joan?

Wszyscy się roześmiali, Joe również, choć nie było się z czego śmiać. W słowach Lovejoya czułam niewytłumaczalną wrogość wobec mojej osoby. „Co ona tu robi”, myślał na pewno, „biurkowa pomagierka!” Co ona robi na tym przyjęciu, na rych schodach, wśród mężczyzn, dziewczyna od ostrzenia ołówków, sortowania kopert i czytania odrzutów?

— Nie skradła żadnego prosiaczka — odezwał się niespodziewanie Joe. — To sumienna i grzeczna dziewczynka. Ufam jej nad życie. Zresztą, nie uwierzysz, Lovejoy, pisze całkiem udane opowiadania, jest naprawdę niezła.

— Brawo, brawo — zawołał Lovejoy. — Brakuje nam pisarek. Ciężko to wyznać, ale niestety spośród tych, które mamy, ledwie kilka da się czytać.

Ciężko mu to wyznać, ale oczywiście z radością wyznaje, że bardzo mu z tym ciężko. Z obowiązku Lovejoy wymienił nazwiska paru pisarek, których twórczość można by potraktować poważnie: jest dramatopisarka o zacięciu politycznym, znakomita, choć ma buzię zółwia morskiego, jest poetka, też niezła, ale ze skłonnościami do narcystycznych napadów i autoreklamy, bo podczas spotkań autorskich innych pisarzy zaczyna nagle cytować własne długiśne impromptu, aha, jest jeszcze ta powieściopisarka, co to ze skrupulatnością księgową i polotem plotkarki potrafi opisać małomiasteczkowe życie. Zresztą przypomina ona jedno z tych paskudnych brzdąców z Henry'ego Jamesa *W kleszczach lęku* i wydaje się, że też skończy samobójstwem, jeśli w ogóle tam było samobójstwo.

Gdybym chciała, mogłabym jednym tchem wymienić mu naprawdę istotne nazwiska: od razu przychodzi do głowy Mary McCarthy; jej nadzwyczajna proza, jej majestatyczne kości policzkowe, długie włosy spięte na czubku głowy, manierystyczna szyja i niezachwiana pozycja w świecie najwyżej postawionych mężczyzn. Zwłaszcza to ostatnie wydaje się ważne: bez konek-

sji byłaby zbyt swobodna i egzotyczna, i mało przekonująca. Wiedziałam, że robi niesłychane wrażenie, jest piękna i budzi lęk. Mężczyźni trudno byłoby ją wyśmiać, nie wyśmiewając samego siebie, więc pewnie niewielu próbowało.

Więcej nawet: mężczyźni ją doceniali. Uważali, że jest wyjątkiem potwierdzającym regułę. W jej obecności albo milczeli, albo mówili coś krótko i nerwowo, byle stanąć na wysokości zadania. Zdawać by się mogło, że Mary McCarthy istnieje wbrew powszechnym oczekiwaniom, że jest tylko po to, by zmieniać tory lotu strzał, wypuszczanych ku niej przez mężczyzn zdumionych faktem, że w ogóle ktoś taki żyje. O, ta kobieta miała w sobie moc, bez dwóch zdań. Musiała być silna, skoro brała się do polityki i sztuki, przezuwając je jak poskręcane rzemyki bykowca. Ona i parę innych pisarek, nieco bliżej świecących pochodni kobiecej literatury, miały w sobie coś, co rozniecało ich jasność prawdziwym ogniem, nadawało im sryl, pozwalało przejść z hukiem przez drzwi, na których widniał napis: PANOWIE.

Co jednak działo się z wszystkimi utalentowanymi kobietami, którym nie starczyło urody, wyrazistych kości policzkowych i łatwości poruszania się we wszechświecie? Z tymi, które nie miały żadnych powiązań z wszechmocnymi mężczyznami?

— Pisarki - prawil Samuełson - nawet jeśli nie zdobywają świata szturmem, to z pewnością nieco go rozjaśniają. No, w każdym razie te, które da się czytać.

— Czy zauważyliście... - zaczął wolno Lovejoy, jakby zdradzał nam odkrycie, które chodziło mu po głowie od dłuższego czasu - jak zdumiewająco wiele z nich to po prostu skończone wariatki?

— To my doprowadzamy je do obłądu — stwierdził Joe. - Innej przyczyny nie widzę.

— Taak... to my spychamy je na skraj przepaści — uśmiechnął się Lovejoy. — Zgodzisz się z tym, Joan?

Spojrzeli na mnie wyczekująco, jakbym miała teraz przemówić w imieniu kobiet świata i wytłumaczyć naszą powszechną skłonność do chorób psychicznych.

— Nie wiem — odpowiedziałam tylko.

— Swego czasu natknąłem się na parę takich pań — odezwał się znowu Samuelson. — Rany, ale człowiek musi się przy nich obrócić za forsa!

Mężczyźni przytaknęli skwapliwie, kiwając głowami i śmiejąc się ze zrozumieniem, Joe go nie wyłączając, choć spoważniał szybko, kiedy poczuł na sobie mój wściekły wzrok.

- No, ale ty taka nie jesteś, prawda, Joan? - zapytał mnie przymilnie Lovejoy.

Pochylił się w moją stronę, wyciągnął dłoń i delikatnie, bardzo delikatnie, musnął palcami moje gołe ramię. Cofnęłam się błyskawicznie.

— Precz! — powiedziała stanowczo.

Zaskoczony podniósł pokojowo rękę.

- Przepraszam, przepraszam - oświadczył i patrząc na Joe go, wzruszył ramionami. - Trudno się było oprzeć.

— W ogóle kobietom trudno się oprzeć — podsumował Samuelson.

- Tak. Kobietom trudno się oprzeć - powtórzył za nim Lovejoy.

Wtedy odezwał się Joe.

- Hej, Bob - mówił niewyraźnym, trochę stłumionym głosem. — Nie widziałeś tabliczki z ostrzeżeniem „Nie dotykać”?

Wiedziałałam, że właśnie wtedy, po raz pierwszy, Joe zdał sobie sprawę, jak może się czuć samotna kobieta wobec grzmiących, rozgadanych, przeważających liczebnie mężczyzn — to było tak, jakby nagle uzyskał wgląd w duszę kobiety, zobaczył, co ona czuje i co myśli. Joe miał własne zdanie, choć wówczas dość typowe, w kwestii komunizmu, segregacji rasowej czy klęski pod Dien Bien Phu, ale gdy przychodziło do kobiet, był bezradny jak dziecko i nie umiał nic powiedzieć.

Mężczyźni podśmiewali się, chichotali i potakiwali sobie wzajemnie, a ja siedziałam wśród nich jak napiętnowana. Kiedy Bob Lovejoy dotknął mojego ramienia, poczułam, jakby ktoś złupił mój dom, zakłócił moje życie, ale nie umiałam odpowie -

dzieć agresywnie. Mężczyźni dotykają kobiet nieproszeni. Kobiety bąkną lub wykrzyczą swoje „nie” albo wycofają się bez słowa, a mężczyźni albo ich usłuchają, albo nie - tak jest urządzony świat. Przyszłam tu z Joem i nie mogłam po prostu wstać i wyjść. Oparłam się o poręcz schodów i bezsilnie spojrzałam na opustoszałą ulicę. Joe otulił ręką moje gołe, zziębnięte ramiona.

— Wiesz co? — szepnął mi w koniuszek ucha wyłaniający się zza włosów. - Chodźmy już stąd.

Byłam mu bardzo wdzięczna, aż za bardzo, jakby ocalił mnie od zagłady. Wykręciliśmy się od rozmów i szybko opuściliśmy przyjęcie. Szliśmy przez Village, już po północy, objęci, chyląc raz po raz głowy do pocałunku, jakby w milczących, wzajemnych przeprosinach. Zatrzymaliśmy się pod latarnią przy Sheridan Square, obok otwartego jeszcze stoiska z gazetami. Ostatni egzemplarz „Herald Tribune” wisiał na stojaku jak wygnieciona ścierka. Przejeżdżające pod nami metro buchnęło w nas przez szerokie kraty wentylacyjne ciepłą chmurą powietrza. Poczuliśmy charakterystyczną woń podziemnych nieczystości, wilgoci, stęchlizny i fistaszków; jakby przemknął pod nami tabor cyrkowy, do którego mieliśmy ochotę wskoczyć i uciec w świat.

Któregoś niedzielnego ranka Joe wstał i oświadczył, że zaczyna pisać powieść.

— Nie bierz tego do siebie, kochanie, ale muszę już wstawać — powiedział, zrywając się z łóżka wcześniej niż zwykle. - Mam zamiar napisać książkę. Dość już opowiadań. Do niczego nie prowadzą.

Usiadł w szortach przy biurku, przed swoją niewielką maszyną do pisania „Royal”, zapalił papierosa i nalał sobie coli do szklanki, w której jeszcze kilka minut wcześniej trzymaliśmy szczoteczki do zębów. Skończył z nawykiem pogryzania orzechów. Od czasu incydentu z Carol stracił do nich sentyment i nigdy mu już nie smakowały. Przez jakiś czas leżałam w łóżku

i rozbawiona nowiną patrzyłam, jak stuka na maszynie. Szybko się jednak znudziłam i postanowiłam wyjść.

Zdecydowałam się odwiedzić rodziców. Po raz pierwszy, odkad opuściłam college. Bałam się, ale stwierdziłam, że jestem teraz od nich silniejsza. Miałam Joego. Domyślałam się, że pismo z uczelni mocno ich zatrzwożyło i zirykowało. Mógł o tym świadczyć list, nadesłany w firmowej kopercie ojca na adres hotelu, w którym mnie odnaleźli; list surowy i gniewny w tonie. Przeczytałam w nim, że „rozczarowałam swoich rodziców i zadałam im ból”, a na końcu chłodne: „matka i ojciec”, bez żadnych pozdrowień, całusów ani uścisków. Mogłoby się wydawać dziwne, że nabrałam ochoty na tę wizytę. Jednak tkwienie w „Waverly Arms” było coraz bardziej frustrujące. Joe błyskawicznie dojrzywał do wyznaczonej sobie roli powieściopisarza, niczym płód w łonie matki. Laura Sonnengard i pozostałe moje przyjaciółki z college’u czytały, pisały, dyskutowały, migdaliły się z chłopakami ubrane w kuse sweterki i zmysłowe buciki. Chciałam na parę chwil uciec od ponurego hotelowego pokoju, od ciężkiej i milczącej jak głaz obecności Joego. Podskórnie czułam, że potrzebuję rodziców bez względu na wszystko; więc do nich poszłam.

Ray, dozorca w budynku, gdzie mieszkali, chyba nic nie wiedział o moim upadku, bo grzecznie przytknął palce do kapelusza i zapytał, jak leci uniwersytecka „koedukacja”. Także Gus, windziarz, nie pytał mnie o nic i przesuwając mosiężną dźwignię w kabinie sunącej w górę, opowiadał o synu, który dostał się do New Jersey Technical College, gdzie uczy się technologii systemów chłodzenia. Tak oto znalazłam się w przytulnym przedścionku mieszkania mego dzieciństwa, z wieszakiem i stojakiem na parasole z jednej strony, i wiklinowym krzesłem z drugiej, chyba nigdy nie namaszczonym niczymi pośladkami. Weszłam do środka i stanęłam w korytarzu.

- Halo! Jest tu kto? - zawołałam.

Pojawiła się mama w satynowym szlafroku. Kiedy mnie zobaczyła, wybuchnęła płaczem. Niepowstrzymanym, głośnym

buczeniem, które podrywało moje nogi do natychmiastowej ucieczki. Ale zostałam. Długo nie umiałam jej uspokoić. Co miałam mamie powiedzieć? Usiadłyśmy w salonie, każda na jednej z dwu niskich, jasnych kanap, pod zawieszonymi na ścianach pastelami nowojorskich ulic w deszczu. Nic nie mówiłyśmy. Mama płakała z chusteczką w dłoni. W końcu wydmuchała nos, westchnęła i spojrzała na mnie trzeźwiejszym, skupionym wzrokiem.

- Ojciec pojechał grać w golfa z Dorlingami. Wiemy, że to jeszcze nie koniec świata.

- To dobrze.

- Jednak kiedy uczelnia doniosła nam, że ten Żyd...

- Napisali wam to?

- Oczywiście - przytaknęła mama. - Sami ich zapytaliśmy. Żyd, do tego żonaty, i udało mu się ciebie przekonać, że cię kocha. — Wstała z kanapy i podeszła teraz do mojej; obie kanapy obok siebie, zgrabne, niskie i długie, wyglądały jak dwa płynące po oceanie liniowce. — Uwierz mi, Joan, wiem, jak to jest, znam ich, każdego potrafią otumanić, są bardzo przekonujący. Kiedyś odwiedził nas niejaki Milton Fish, chciał namówić ojca na zainwestowanie w jego przedsiębiorstwo, tekstylia czy coś takiego, nigdy nie zapomnę, jak on był ubrany, elegancki garnitur w prążki. Pod koniec wieczoru twój ojciec po prostu jadł z ręki temu panu Miltonowi Fishowi i był bliski wypisania czeku na gigantyczną sumę, której strata doszczętnie by nas zrujnowała, całą rodzinę, na amen. W ostatniej chwili wywołałam go pod jakimś pretekstem do sypialni i wszystko wybiłam mu z głowy. Był przerażony, kiedy zobaczył, jak ten człowiek go omotał. Tak samo ten profesor omotał ciebie. To siła perswazji. Oni się tego uczą od małego, pięknie czytają i płynnie mówią, chwala się wykształceniem, są dumni ze swej, jak to lubią mówić, „historii szkolnictwa”, doskonale wiedzą, kiedy używać wielosylabowych wyrazów, ale nie wszystko mówią, są tajemniczy i nieprzeniknieni, w ich obecności człowiek odnosi wrażenie, że siedzi w cygańskim wozie, a o ile atrakcyjniej muszą wyglądać

z nimi... no wiesz, te sprawy, o wiele bardziej niż z chłopcami, z którymi się bawiłaś w dzieciństwie, jak Alec Meers albo chłopcy Bexleyów, nie mam racji, kochanie?

Słowa płynęły z jej ust tak szybko, że zaczęłam nerwowo mrugać, jakby ktoś oślepił mnie lampą stroboskopową.

— No, nie mam? — mówiła dalej. — Miałas już przecież chłopców, Joan, prawda? To znaczy w sensie cielesnym, rozumiesz, tak jak są ze sobą mężczyzna i kobieta. No, jeśli miałaś, to sama chyba rozumiesz, że wybrałaś tego profesora ze względu na jego niezwykle umiejętności w tej, e... dziedzinie. Oni w seksie nie mają żadnych zahamowań. Nie oni! To jest dopiero coś dla nich. Najchętniej robiliby to nieustannie, nie bacząc na nic, nawet kiedy kobieta ma okres i jeszcze...

— Mamo, ty chyba nie wiesz, co mówisz?! - przerwałam jej, zrywając się na równe nogi. — Poczułam się samotna, chciałam was zobaczyć, Joe jest zapracowany, więc przyszłam was odwiedzić! — oznajmiłam. — Owszem, jest Żydem, i co z tego? Owszem, chce się ze mną ciągle kochać, i co z tego? Ja też chcę się ciągle kochać! - Teraz mama zaskoczona mrugała. - To bardzo utalentowany człowiek, wiesz? Pisarz. Dobry pisarz. Jeszcze o nim usłyszysz. Zmienisz o nim zdanie, kiedy będzie sławny?

— Ani na jotę — wycodziła przez wargi ściśnięte równie mocno jak jej loki, które musiała sobie zakręcić na głowie całkiem niedawno; jeszcze teraz wyczuwałam goździkową woń salonu fryzjerskiego, tak intensywną, że oczami wyobraźni widziałam metalowe grzebyki zanurzone w niebieskiej płukance, niczym jakieś preparaty w formalinie.

Mając w pamięci słabe opowiadanie z „Kariatydy”, poczułam, że muszę bronić jego honoru mocniej niż kiedykolwiek; bo jeśli nie ja, to kto miałyby to robić? Jego żona, Carol, nienawidziła go, i to samo uczucie być może pozna już niebawem mała Fanny. Tak naprawdę trudno było się chwycić jego pierwszymi, nieporadnymi próbami literackimi, ale cóż... Stoję więc w salonie mego dzieciństwa, wyłożonym tapetami w kolorze majonezu, wychwalam Joego pod niebiosa i mam nadzieję przeko-

nać tym matkę, a nawet sama uwierzyć w to, co mówię. Miał przecież talent, tak? W każdym razie robił wrażenie człowieka utalentowanego; zawsze skupiony, pogrążony w myślach, nieprzewidywalny, kryjący emocje, których nie rozumiałam, które uważałam za męskie. Męskie, pewne i silne, wywierające wpływ na innych; emocje mężczyzny wysłanego na front albo spowitego dymem papierosowym podczas nocnej sesji pokerowej. Wszystkim mówiłabym, że ma talent, licząc, że w naturalny sposób prędzej czy później Joe zasłuży na taką opinię.

— Więc nie będziesz chciała go poznać? — zapytałam mamę.

— Och, Joan, cóż ty sobie wyobrażasz? — zachnęła się.

I miała rację. Perspektywa, by usiąść przy jednym stole z Joem i moimi rodzicami, była perspektywą potworną. On widziałby przed sobą dwa kościotrupy ściskające w drżącej dłoni whisky z wodą sodową; oni widzieliby trajkoczącego sprzedawcę garniturów, z penisem wielkim jak róg barani w święto Rosz Haszana. Nie, ich spotkanie nie miałoby sensu.

Ale oczywiście spotkali się; dużo, dużo później, kiedy pozycja Joego była już niezachwiana, a emocje opadły lub może raczej odrodziły się w innej szacie, zależy, jak na to spojrzeć. Właściwie rodzice sami chcieli go poznać, ponieważ jedynym dotąd sławnym pisarzem, z jakim udało im się zetknąć, był Thornton Wilder. W 1940 roku pojawił się ze swoim znajomym w klubie towarzyskim ojca, plótł trzy po trzy przez osiem minut o kondycji amerykańskiego teatru, po czym się ulotnił.

Na razie jednak, daleki od światowych sukcesów, Joe był dla nich gwałcicielem, Żydem, a ja zakochaną gąską, która straciła dla niego głowę. Pożegnałam się z mamą i wyszłam na szeroką Park Avenue, która wydała mi się teraz równie beznadziejnie smutna i pusta jak dom moich rodziców. Wiedziałam jedno; byłam dorosła. Ale jeśli rzeczywiście resztę życia miałam spędzić z Joem, to musiało się ziścić wszystko, o czym tak gorąco mamę zapewniałam. Joe musiał być wybitnie utalentowany, musiał być wspaniały. W zapomnienie musiały pójść jego „żydowskość”, niesmaczne wspomnienie cudzołóstwa, szkaradny

pokój, który wynajął mi w hotelu, i cała reszta pomyłek, wad i rozczarowań, jakie się z nim wiązały.

Być może był utalentowanym pisarzem, tylko nie umiałam tego dostrzec, bo mi samej brakowało talentu? On sam przecież mówił, że talentu mi nie brakuje, dlatego między innymi zdecydował się wyjechać ze mną do Nowego Jorku. Nie chodziło mu wyłącznie o łóżko - mógłby mieć mnóstwo innych dziewczyn, które dałyby wiele, by się przed nim mizdrzyć i rozkładać nogi. On po prostu ma talent; to wyniesie nas ponad innych, to zadowoli Joego i raz na zawsze da mu poczucie pewności i spokoju, przy mnie i wśród innych mężczyzn. To także da nam do ręki argument w sporze z rodzicami, ucieszy mamę i ojca, nawet jeśli mama zarzekała się, że nie zmieni swych poglądów „ani na jotę”. „Jota, co za bzdurne słówko”, myślałam, przechodząc na Lexington Avenue, wsiadając do metra i jadąc z powrotem do centrum. Nigdy nie mówi się „dwie joty”, zawsze idzie o tę jedną. Język tylko pozornie wydaje się bezbrzeżny jak morze; tymczasem każdy, kto pisze lub mówi, odkrywa, że płynnie niespodziewanie wąskim kanałem.

Joty tańczyły bezładnie w mojej głowie, a z nimi inne słowa: te wypowiedziane przez matkę, wulgarne i opryskliwe, i te piękne, z ambitnych marzeń o wielkości Joego. Zostanie pisarzem. Nadzieje, jakie wobec niego żywiłam, nie różniły się niczym od nadziei, jakie mężczyźni żywią wobec samych siebie: pokonać innych, rzucić na kolana, zdobyć, zadziwić. Nie odnosiłam tego jednak do siebie. Nawet nie pomyślałam, że mogłabym taka być. Wciąż miałam w pamięci Elaine Mozell i jej ciernistą drogę wytyczoną na wskroś męskiego świata. Elaine — ze szklanką whisky w dłoni i lekko rozmazaną szminką na ustach. Nie miałam ochoty grać na tym samym boisku co mężczyźni; nie byłoby w tym nic przyjemnego i nie miałabym szans. Mój świat nie był dość wielki, nie był dość szeroki, nie był dość dramatyczny, a ja nie miałam wiele do powiedzenia. Znałam swoje miejsce.

W drodze powrotnej do „Waverly Arms” stał się chyba cud. Zupełnie jakby Joe czytał w moich myślach, jakby intuicyjnie

wyczuł nadzieje, jakie chowałam w sercu z myślą o nim i o naszej przyszłości. Kiedy weszłam do pokoju, stanął przede mną, radośnie wymachując zapisanymi kartkami papieru.

- Co to jest? - zapytałam, dobrze znając odpowiedź.

- Pierwszych dwadzieścia jeden stron *Orzecha*.

- Uhm... *Orzecha* - powiedziałam. - Rozumiem, że bohater powieści pracuje w przetwórni orzechów? Wnikliwe i gorzkie spojrzenie na robotniczy trud?

Joe roześmiał się.

- Jasne, jasne, postawi na głowie cały krajowy przemysł orzechowy!

Pociągnął mnie na łóżko, podniósł powoli moją rękę i poprowadził ją ku kartkom papieru.

- Czytaj tylko - powiedział. - Czytaj!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Został królem. Jak to zwykle bywa, stało się to niepostrzeżenie szybko; w jednej minucie człowiek zagryza ze wściekłości wargi, wrywa kolejną kartkę z maszyny, mnie ją wściekle i rzuca w kąt, przeklinając samego siebie: „Ty idioto, ty idioto!”, a w następnej minucie staje pod jego domem herold królewski, rozwija długą proklamację i uroczysto obwieszcza jego panowanie.

A on zasiada na tronie od razu! Bez oglądania się za siebie, bez wyrzutów sumienia, bez chwili zwątpienia, bez lęków nocnych, tak częstych u młodych pisarzy: „Co teraz?”, „Co, jeśli wszystko się zmieni?”, „Co, jeśli my się teraz zmienimy?”

Joe pragnął, by zmieniło się wszystko. Ja też. Brud i smród to na dłuższą metę nic ciekawego; podobnie chińska zupa jajeczna „foo yung”. Człowiek potrzebuje czegoś więcej, czegoś, czego może się uchwycić i co sprawi, że poczuje się lekki i silny. W przeciwnym razie znowu opadną go zmory przeszłości, upadki i niepowodzenia, słabo napisane testy z matematyki, przegrane bójki w szkole, ejakulacje, które nie chciały czekać na sygnał, i ciche reprimendy łagodnego jak sarna sprzedawcy obuwia — ojca, którego twarz trudno już wydobyć z pamięci. Nie-sprzedająca się powieść to tylko kolejny upadek.

Ale jej nieoczekiwany sukces co samo piękno.

Skakaliśmy na siebie z Joem z radości, ściskaliśmy się, całowali, klepali po plecach, wskoczyli do łóżka, a zaraz potem wyszliśmy do miasta i na ulicach rozmawialiśmy już tylko o książce, o nim, o recenzjach i o „przyszłości”, mglistej drodze, która powoli się przed nami otwierała. Zimą 1958 roku

przeprowadziliśmy się z „Waverly Arms” do dużego mieszkania w zadbanym apartamentowcu przy Charles Street, ulicy odchodzącej od Greenwich Avenue. Mieszkanie było przestronne, wysokie i jasne, z własną łazienką, kuchnią, podłogą z szerokich, pięknych desek — miejsce jak znalazł dla młodego, obiecującego pisarza, który odniósł pierwszy sukces.

Pisarzom potrzebne jest światło. Zawsze to powtarzają, jakby byli uwiędłym laurem, rośliną, jakby strony, które zapisują słowami, wyglądały lepiej w słońcu południa. Pisarzom potrzebne jest światło, a mieszkanie przy Charles Street było zalane światłem i ciepłem, i ciągłym strumieniem dochodów - wszystko to mieliśmy po raz pierwszy w naszym wspólnym życiu. Kochaliśmy się i bawiliśmy. Na spotkaniach literackich, odczytach i bankietach, na które nas teraz często zapraszano, zawieraliśmy nowe znajomości. Moje wątpliwości związane z porzuceniem Smith College wreszcie się rozwiały. Naprawdę było nam dobrze. Dzięki temu, czym zostaliśmy obdarzeni, nasze życie zmieniło się zasadniczo; raz widziałam w tym koronę, która wieńczy dzieło, ale innym razem klucz, który dopiero otworzy dalsze bramy: do rozległego świata prawdziwie mocarnych pisarzy. W świecie tym mężczyźni pili i ucztowali długie godziny, a niekiedy przemawiali wezwani na mównicę.

Tę stronę nowego życia Joe pokochał najbardziej. Ja stałam z boku, promieniejąca i podniecona, ale i niespokojna, a on wskakiwał na scenę lekkim krokiem, ściskając w ręku lśniący egzemplarz powieści, która go do tego miejsca doprowadziła. Podczas pierwszych wystąpień najczęściej powtarzał to, co dzień wcześniej mówił gdzie indziej. Wszystko miał starannie zaplanowane i wyreżyserowane, każdą uwagę, każdy uśmiech, każdy żart, nawet rytualny łyk wody ze szklanki; ot, swojski chłopak, swojska mowa.

Któregoś wieczoru tamtego wspaniałego roku w Nowym Jorku Joe został zaproszony na odczyt, jeśli dobrze pamiętam, do klubu kultury żydowskiej „92 Street Y”, choć nie jestem pewna; wszystkie audytoria z tamtego okresu zlały się w moje;

pamięci w jedno gigantyczne zbiorowisko tysięcy krzesel. Pamiętam natomiast, że miałam wtedy na sobie niebieską, aksamitną sukienkę, tego jestem pewna. Włosy miałam związane z tyłu wstążką, a na twarzy ani śladu makijażu. Było to jedno z pierwszych publicznych spotkań Joego i cała byłam sztywna z przejęcia i tremy. Serce podchodziło mi do gardła. W pewnym momencie zrobiło mi się niedobrze i wyszłam szybko do łazienki. Było mi tak głupio i wstyd, że długo nie wychodziłam z kabiny. Pochylałam się nad muszlą i słuchałam dwóch kobiet, które stały przy umywalkach i rozmawiały o Joem.

- *Orzech* to najlepsza książka, jaka się ukazała w tym roku. Słyszałam też, że znakomicie czyta swoją prozę - mówiła jedna. - Elise, moja koleżanka, w ubiegłym tygodniu była na spotkaniu z Castlemanem i wróciła zachwycona.

- Tak, też to słyszałam - potwierdziła druga. - Poza tym niezły z niego przystojniaczek. Miałabym ochotę spałaszować go na deser.

- Ha, niestety, nic z tego. Chłopak jest już zajęty - odparła pierwsza.

- I co z tego? - rzuciła krótko druga i obie wybuchnęły śmiechem.

Wzięłam głęboki oddech i dodając sobie odwagi, zmusiłam się do wyjścia z kabiny. Odepchnęłam wahadłowe drzwi, niczym rewolwerowiec wpadający do saloonu na Dzikim Zachodzie. One jednak nie zwróciły na mnie uwagi. W skromnej i schludnej sukni, z anemicznym wyglądem przyzwoitki nie przedstawiałam najmniejszego zagrożenia. Robiłam wrażenie kobiety, która dawno usidliła mężczyznę swego życia. One tymczasem, wolne jak ptaki, wciąż wyczekiwały okazji, bez pośpiechu, znakomicie się bawiąc.

Jedna z nich, o delikatnej, oliwkowej cerze, miała długie, kruczoczarne włosy. Druga była blondynką, nieco piegowatą, z niespotykaniem dużym biustem. Natychmiast stanął mi przed oczami obraz, jak jej krągłe sutki, dwa bliźniacze pyszczki, wpijają się w rozpromienioną z zachwytu twarz *Joego*.

Którą by wybrał? Wydawało mi się ważne, bym umiała rozpoznać, czego Joe pragnie i kto go może uwieść. Dzięki temu będę mogła w porę go powstrzymać, odwrócić jego uwagę i trzymać go z dala od ideału. Bez jakiegoś szczególnego zamiaru odezwałam się do tych kobiet.

- Miło mi, że książka Joego przypadła paniom do gustu - wypaliłam bez większego namysłu.

- Słucham? - Jedna z nich obróciła się nagle zaskoczona.

- O Boże... - druga burknęła pod nosem.

- Zaraz, zaraz. Joseph Castleman jest pani mężem? - domyśliła się kruczowłosa.

- Tak.

- Och... on jest wspaniały - orzekła blondynka. - Na pewno jest pani z niego dumna.

- Oczywiście - odpowiedziałam znad umywalki, odkręcając kurek.

Z kranu trysnęła nagle gorąca woda, ale nie cofnęłam rąk, jakbym chciała je ugotować we wrzątku na oczach obu wesółych panienek.

- Czy pisze coś nowego? - zapytała kruczowłosa.

- Tak, pisze drugą powieść.

- Cudownie! - zachwyciła się blondynka. - Nie możemy się doczekać dzisiejszego spotkania, podobno pięknie czyta swoje teksty.

Wyszły. Drzwi nie domknęły się jeszcze za nimi, a już usłyszałam ich rozchichotane szepty. Wiedziałam, co mnie czeka. Wiedziałam już, że kobiety będą lgnąć do niego bez opamiętania, jak chmary lemingów pędzących nie ku śmierci, lecz ku miłości. Zniewalające i urocze panie lemingi będą zalotnie trzepotać powiekami i próbować rozpiąć mu pazurkami spodnie. Wiedziałam o tym, ponieważ, w pewnym sensie, sama byłam jedną z nich, a przede mną były z pewnością jeszcze inne. Zakładałam jednak, że Joe już nauczył się odrzucać zaloty lemingów, nauczył się odsuwać ich pazurki od guzików koszuli, i zakładałam, że ta nauka nie pójdzie w las i zawsze będzie odrzucał zaloty, ponieważ teraz miał mnie, a ja byłam inna niż wszystkie.

Joe czytał z mównicy pierwszy rozdział *Orzecha*, w którym Michael Denbold, wykładowca literatury w małym, zagubionym, żeńskim college'u gdzieś w Connecticut, poznaje Susan Lowe, najbardziej obiecującą studentkę na roku; zawiązuje się romans, potem wykładowca porzuca żonę o imieniu Deirdre, gwałtowną w usposobieniu, nieco zwariowaną rzeźbiarkę, a także ich małego synka. Słowa powieści wypływały z niego ożywczymi strumieniami, a on wypijał co chwilę łyk wody, bo niezwykła zmiana w jego życiu - to, że czyta własną prozę przed gronem swoich czytelników — tak go podniecała, że zasychało mu w gardle, a jego głos skażony był cmoknięciami; więc przez cały wieczór pił i pił, jak małe kozłátko.

Cała publiczność pożerała go wzrokiem nie mniej niż patrząc na niego pożądliwie dziewczęta. Młodzi mężczyźni pragnęli być tacy jak on, wracali do domów z nowymi pomysłami do swoich chowanych w szufladzie powieści. Kobiety pragnęły osiąść jakąś jego cząstkę, choćby drobną; kawałek rękawa, koniuszek palca, puch jego krzaczasrych brwi, coś, co mogłoby należeć tylko do nich, na wyłączność. Kochały go, marzyły, aby to w ich mieszkaniu pochylał się nad maszyną do pisania, aby to w ich łóżku zapalał papierosa, aby to na nich kładł się łątwo i zwyczajnie, jak kładł się na mnie.

Siedziałam w pierwszym rzędzie, trzymając na kolanach teczkę z jego książką i notatkami, z dumą wsłuchując się w każde słowo, krzywiąc się nieznacznie, gdy czytał zdanie, za którym nie przepadałam, i wierząc się z uciechy, gdy czytał fragment, który uwielbiałam. „To jego teczka”, miałam ochotę chwalić się siedzącym wokół ludziom, zwłaszcza obu panienkom z toalety, którym dodałabym jeszcze: „Mam was w dupie, lemingowe samiczki z trzepoczącymi powieczkami, po prostu w dupie!” Gdy wcześniej prezydent wywołał jego nazwisko, Joe ruszył do przodu i dziarsko wskoczył dwoma susami na podium. Zrobił to z tą samą enetgią i lekkością, co wówczas, na pierwszym wykładzie w Smith College, z tym że teraz jeszcze z pewnym szampańskim humorem, który nie przystawałby mu, gdyby nie był sławny.

Podczas późniejszego bankietu patrzyłam, jak obie kobiety, kruczowłosa i blondynka, stoją z obu jego boków. Patrzyłam, jak jego oczy strzelają od jednej do drugiej, jak jego palce zamykają się na szklance z drinkiem, jak jego plecy nachylają się to do jednej, to do drugiej. Obok mnie stał Hal Wellman, mój szef, a teraz także wydawca Joego. Zerkał na mnie i widział, że patrzę na ich troje.

- Nie przejmuj się - powiedział nagle ciepłym głosem.

Odróciłam się do niego natychmiast.

- Nie?

- Nie. — Hal pokręcił głową; duży, przygarbiony, zmęczony mężczyzna, który musiał przed północą złapać ostatni pociąg z Grand Station. - Patrz, jaki jest zadowolony z siebie. Każdy by był.

Wpatrywaliśmy się w Joego i stojące przy nim dwie kobiety. Blondynka podała mu egzemplarz *Orzecha* i poprosiła o dedykację. Kruczowłosa natychmiast podsunęła długopis. Joe musiał powiedzieć coś zabawnego, bo kruczowłosa aż krzyknęła śmiechem, a blondynka, śmiejąc się, zakryła dłońmi twarz.

- Mimo wszystko - odezwałam się do Hala — nie ma w tym nic zabawnego.

- Nie - przyznał. - Nie ma. Wiesz co, Joan? Chodźmy się napić po dużej lampce wina.

Hal towarzyszył mi do końca bankietu. Piliśmy wino, obserwowaliśmy gości, rzucaliśmy ironiczne komentarze, aż w końcu Hal spojrzął na zegarek, przeprosił i oświadczył, że musi pędzić na pociąg.

Joe został przy Hala przez parędziesiąt następnych lat i razem z nim zmieniał trzy kolejne wydawnictwa. Był z nim aż do jego śmierci. Hala powalił nagły wylew krwi do mózgu, gdy siedział przy biurku w swoim gabinecie, pochylając głowę nad stertą kartek maszynopisu. Przez wszystkie te lata Hal nigdy nie zostawiał mnie samej na bankietach, był przy mnie i strzegł mnie przed jakimś złym duchem, który zawsze unosił się złośliwie w takich miejscach.

Po wieczorze w „92 Street Y”, po odczycie, bankiecie i mniej oficjalnym obiedzie we francuskiej restauracji, wróciliśmy do domu wstawieni i w nie najlepszej formie. W oddechach wyczuwaliśmy jeszcze czosnek i kwaśne wino, w gardłach czuliśmy zagę, a w żołądkach dokuczliwe bulgotanie, dobrze słyszalne przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Rzuciliśmy się na łóżko obok siebie, nawet się nie dotykając.

- Wiesz co? — odezwał się po chwili. — Jestem sławny.

- Jesteś.

- Wcale nie czuję się sławny - ciągnął. - Czuję się sobą. Właściwie to niczym nie różni się od uczenia angielskiego stada głupich gęsi. Wchodzisz na salę, a wszystkie patrzą na ciebie jak cieleń na malowane wrota. Wielka mi rzecz.

- Nie byłam głupią gęsią.

- No, nie. Ty nie - orzekł wspaniałomyślnie pobłażliwym głosem.

Leżał na plecach, nażarty i opity, łapiąc puls własnej sławy, wyczuwając go, wsłuchując się w jego wesoły galop. Pomyślałam o obu kobietach, blondynce i kruczowłosej, o ich zainteresowaniu jego osobą i żywej wzajemności z jego strony.

- Coś nie w porządku? - zapytał.

- Nie, nie - odpowiedziałam.

Była to odpowiedź, której udzielałam przez następne długie lata, poza godnymi pożałowania wyjątkami, kiedy płakałam i otwarcie oskarżałam go o zdradę. Owo „nie, nie” stało się moją mantrą. „Nie, nie, wszystko w porządku”. A jeśli było coś nie w porządku, to sama się o to prosiłam. To ja sama się prosiłam o niego i wszystkie jego problemy. Chciałam, to mam. Jest mój, proszę bardzo. Sąd orzekł jego rozwód z Carol, gdy *Orzech* był jeszcze w korekcie, a my pobraliśmy się tuż przed wydaniem książki.

Kiedy *jesienią* „*Life*” wydał specjalny dodatek podsumowujący debiuty literackie roku, Joe, jako jedyny, został uraczony artykułem na całą stronę. Wśród zdjęć Chruszczowa, Ike'a z Mamie, dzieci z Południa zbierających brzoskwinie i nastolatków

zwartych w efemerycznych splotach tanecznych, można też było zobaczyć zdjęcie Joego: kroczy wolno chodnikiem, z papierosem w rękę, ze zmarszczonym czołem i wyrazem twarzy mającym świadczyć o głębokim zamyśleniu. Tuż obok inne zdjęcie Joego: w oberży „Biały Rumak” rozmawia z jakimś pisarzem odwróconym plecami.

Orzech powstawał w charakterystycznej dla pierwszych powieści, gorączkowej burzy, która już nigdy się potem nie powtarza, choćby pisarz za wszelką cenę usiłował odtworzyć jej dobrą recepturę, bezsenne noce, magiczny strumień słów. Kiedy padło ostatnie słowo, uczciliśmy to zdarzenie w „Grand Ticino”. Następnego dnia spięłam maszynopis gumką i zaniósłam do wydawnictwa Bower & Leeds, gdzie stojąc przed biurkiem Hala Wellmana, rumieniąc się i bąkając pod nosem, powtarzałam tylko, że powinien rzucić na to okiem. Nie powiedziałam nic więcej.

Wieczorem wyobrażałam sobie, jak Hal zabiera maszynopis do domu. Jak ściska go mocno pod pachą, wchodzi do pociągu jadącego do Rye, jak siada wygodnie, ostrożnie zdejmuje gumkę i wsłuchany w stukot kół zaczyna czytać. Potem oczami wyobraźni widziałam, jak wchodzi do domu, siada w fotelu z drinkiem w dłoni i czyta dalej. Przybiegają do niego dzieci, ciągną za ręce, zachęcają do zabawy w konika, ale on im się opiera z łagodnym uśmiechem i czyta. Trudno mu się oderwać od lektury, czar jest zbyt silny, zbyt mocno wabi syreni śpiew tego nieznanego pisarza. Dziewiczego artysty.

Dziewicznych pisarzy obleka delikatny blask, cieniutka powłoczka czegoś niemal niewidzialnego, co przy nieopatrznym dotknięciu zostaje na palcach, jak pył ze skrzydeł motyla. Dziewiczny pisarz, jak żaden inny, ma szansę zaskoczyć czytelnika, uderzyć w niego dzikim geniuszem jak obuchem w głowę. Dla czytelnika może jeszcze stać się wszystkim. Joe był znakomitą okazem tego gatunku — z klarowną, dobrze napisaną książką, niosącą wiele refleksji i przemyśleń, nawet pewnej zaręczoności. Do tego Joe był niezmanierowany, przystojny, o wiecznie zmęczonych oczach (dziennikarze czasem o to pyta-

li, a on chętnie opowiadał o śmierci ojca i bezsenności). Wyczerpany, posmutniały, zamyślony i mądry. Mądry: nienawidziłam tego słowa, tyle razy nadużywanego, sugerującego, że smętni i stęsknieni za czymś ludzie, którym coś się udało w życiu, posiadają tajemny dostęp do wyższej prawdy.

Tak widział Joego Hal Wellman. Maszynopis *Orzecha* przeczytał zataj po powrocie do domu, jeszcze tego samego wieczoru. Mówił potem, że nie mógł się oderwać od książki, że po prostu musiał ją czytać, strona po stronie, do samego końca; tak była wciągająca. Nieraz wybuchał pojedynczymi salwami śmiechu, a pani Wellman wychodziła zaniepokojona z kuchni i zaglądała do jego gabinetu w obawie, że mąż czymś się dławi.

Nie wiedząc, że autorem książki jest mężczyzna, z którym dzielę aktualnie życie, Hal zaproponował dwa i pół tysiąca dolarów za prawa do publikacji. Wyjawiłam wówczas, skąd mam maszynopis. Dla Hala nie miało to jednak znaczenia; jesienią powieść ukazała się na rynku. Mogłabym teraz powiedzieć, jak bardzo byłam zaskoczona, że wszystko potoczyło się tak gładko, ale wcale nie byłam. Wiedziałam, że to dobra książka, napisana naturalnym stylem i pełnym głosem, z polotem i dowcipem. Znałam się na tym. W końcu przeczytałam w wydawnictwie stopy tekstów, co prawda tych pteznaczonych do odrzutu: *Odwago, prowadź!* czy *Sekret pani Dingle*, ale czytałam także książki, które wydawaliśmy w Bower & Leeds, niejedną znakomitą - „porywającą i urzekającą”, jak rutynowo pisał na obwolucie ktoś z naszego grona asystentów - choć też wiele śmiertelnie nudnych, ładujących prędzej czy później w księgarnianym koszyku z przeceną. Były wśród nich powieści wojenne, dotyczące drugiej wojny światowej i wojny koreańskiej, i były sentymentalne medytacje pisane żeńską ręką, próbujące rozsupłać tajemnice miłości. Były też książki dla dzieci, w łagodnej, bajkowej tonacji, i były błyszczące albumy fotograficzne z serią kolorowych zdjęć z Maroka czy innych egzotycznych krajów, które spoczną zapewne na wieki obok miętówek na stoliczku do kawy. *Orzech* to jednak coś zupełnie innego.

Po drobnej redakcji Hala książka została błyskawicznie wydana i natychmiast zebrała entuzjastyczne recenzje. Joe stał się sławny. Niebawem poznał słodki smak wody, popijanej na mównicy przed zasłuchanym audytorium. Ja natomiast dostałam podwyżkę i obietnicę awansu na stanowisko redaktora. Mimo to Joe nalegał, abym zrezygnowała z pracy w Bower & Leeds. „Rzuć to — przekonywał, kiedy w księgarniach ukazało się czwarte wznowienie *Orzecha*. — Po co masz tam pracować? Marna pensyjka, a prestiż żaden”.

Rzeczywiście czułam, że mam ochotę zrezygnować z pracy, w której mężczyźni są królami, a kobiety najwyżej gejszami (z wyjątkiem może wszechwładnej Edith Tansley, która przypominała jastrzębia i której bali się wszyscy, mężczyźni i kobiety). Męska część naszego wydawnictwa często zamykała się w pokoju któregoś z redaktorów. Słyszałam dobiegające zza drzwi rozmowy i śmiechy. Wyczuwałam magnetyzujące pole przyjemności, jaką panowie czerpali z faktu, że są zamknięci i oddzieleni od reszty. Jednak do mnie odnosili się dużo grzeczniej. Musieli, w końcu to ja odkryłam i przyniosłam do wydawnictwa słynny *Orzech*. Zachowywali się teraz wobec mnie z szacunkiem, jakiego nie okazywali żadnej innej asystentce. Ale szacunkowi towarzyszyła, wciąż niezrozumiała dla mnie, wesołość.

- Siemasz, Joan — witał mnie Bob Lovejoy, mrugając. — Jak się miewa nasze genialne dziecko?

- W porządku — odpowiadałam.

- Pozdrów go ode mnie. Powiedz, że czekamy na nowe dziecko. I wiesz, oszczędzaj go... - Znowu mrugnął.

W końcu odeszłam z Bower & Leeds i poczułam ulgę, choć zdążyłam się już zaprzyjaźnić z niektórymi asystentkami, a one powtarzały, że będzie im mnie brakowało. Będę teraz częściej w domu, częściej z nim, będziemy mogli więcej dzielić się wspólnymi radościami, niezmiernymi uczuciami i wzajemnym uwielbieniem. Carol nigdy nie była częścią tego, co dla Joeego miało znaczenie. Żalił się, że nie chciała czytać jego opowiadań. Mówiła, że „nie po drodze jej z książkami”. „Właściwie z ni-

czym nie było jej po drodze - zżymał się Joe. - Toczyła się po tej drodze jak kręglarska kula. Na szczęście ty jesteś inna. Dzięki Bogu".

Byłam więc żoną. Początkowo lubiłam tę rolę. Doceniłam władzę, jaką ze sobą niesie, a której wielu nie dostrzega. Ale ona jest, na pewno. Oto dobra rada: jednym z najlepszych sposobów, by poznać kogoś ważnego, jest wkraść się w łaski jego żony. Wieczorem w łóżku, tuż przed zaśnięciem, żona może szepnąć mężowi dobre słówko, a po jakimś czasie okaże się, że ów ważny człowiek zaprasza cię do siebie na przyjęcie. Być może cię nie zauważy, stojąc z boku, otoczony gromadką wielbicieli, rozprawiając o czymś żywo głosem zdradzającym pewność siebie, ale przecież jesteś tam, w tym samym pomieszczeniu co on, dopiąłeś swego, ptzeniknąłeś przez niewidzialną aksamitną zasłonę. Zrobiłeś pierwszy krok.

Joe lubił mówić innym, że jestem centralnym układem nerwowym jego małżeństwa.

— Bez Joan byłbym niczym — mówił wzniosie, gdy wybraliśmy się z grupą przyjaciół do kawiarni. - Zeschłą krewetką w zeschłym koktajlu krewetkowym.

— Och, daj spokój, proszę. - Machałam ręką. - Gada głupstwa, nie zwracajcie na niego uwagi.

— Ależ, ależ — zaperzał się. - Ta dziewczyna utrzymuje mnie na powierzchni, chroni przed całym światem. Trzyma mnie w ryzach, jest moją busołą, moim ostrym batożkiem. I moją lepszą, drugą połówą. Naprawdę. Uważam, że mężczyźni nawet w części nie doceniają swoich żon tak, jak powinni.

Miało to oznaczać, że on szczerze mnie docenia, i chyba tak rzeczywiście było — wtedy. Był jedynym znanym mi pisarzem, który pragnął mieć przy sobie żonę. Inni twórcy, których Joe sukcesywnie poznawał — krag zaufanych mężczyzn, którzy wyłuskowali go i wabili ku sobie, jak czynili to z każdym nowym literackim samcem — nie ustawali w zachodach, by pozbyć się ciąglego towarzystwa żony.

Lev Bresner, młody, zagubiony imigrant, nie potrafiący Otrząs-

nać się z koszmaru przeszłości, którego opowiadania obozowe zaczęły się regularnie pojawiać w pismach literackich, choć jego angielski pozostawiał dużo do życzenia, przybył z Europy z młodziutką żoną, Toshą, drobniutką kobietą o upiętych w kok, pięknych czarnych włosach. Kobieta roztaczała wokół siebie niezwykły czar. Była seksowna, przyciągała wzrok mężczyzn, ale powab, jaki w sobie miała, był jakiś niedożywiony; zdawało się, że każdy, kto zapragnąłby pójść z nią do łóżka, najpierw podsunąłby jej gorący posiłek.

Tosha rzadko pojawiała się publicznie z Levem, tylko jeśli wymagała tego etykieta. Bresnerowie pokazywali się razem na uroczystych obiadach albo bankietach, ale nie na spotkaniach autorskich, co dawało Levowi swobodę, by wyrwać się potem do baru i podyskutować przy drinku z mężczyznami. Jeśli byłaby z nim Tosha, ciągnęłaby go za rękaw jak dziecko i męczyła nieustannymi prośbami: „Lev, chodźmy już... Możemy już iść do domu?”

Dlaczego kobiety wolą iść, a mężczyźni wolą zostać? Jeśli idziesz, możesz lepiej wypocząć, a jeśli zostajesz, mówisz: „Jestem nieśmiertelny. Nie muszę spać, odpoczywać, jeść ani oddychać. Mogę zostać w tej knajpce na całą noc, mogę gadać, gadać, gadać i żłopać litry piwa, aż brzuch nadmie się jak balon, a każdy oddech stanie się ognistym buchnięciem, i mogę sobie nie myśleć, że te cudowne, niezwykle chwile będą kiedyś miały swój koniec”.

Joe wolał, bym była przy nim. Potrzebował mnie przed spotkaniami, na których czytał swoje książki, potrzebował mnie w trakcie spotkań i po ich zakończeniu. Dużo później jeden z krytyków literackich, Nathaniel Bone, pisał w artykule o Joem:

We wczesnym, bardzo płodnym okresie kariery pisarskiej Castlemana często pokazywała się przy nim jego druga żona, Joan.

„To urocza, niezwykle cicha osoba — wspomina Lev Bresner. — Jej małomówność miała w sobie coś tajemniczego. Już

sama obecność Joan działała tonujące On był nerwowy, ona bardzo, bardzo kojąca".

Inny pisarz, pomińmy tu jego nazwisko, powiedział z kolei, że Castleman bardzo niechętnie rozstawał się z żoną, „no, chyba że wyruszał na łów".

Czytając to nawet dzisiaj, wyobrażam sobie, jak młody Joe „wyrusza na łów", jak czai się w kącie, obserwuje i wyławia z tłumu kobiety. Nawet nie wyławia, przecież wcale nie musiał polować, wystarczyło dopuszczać je do siebie, samemu dać się złowić. To oczywiście wszystko prawda i dziś wydaje mi się, że od początku o tym wiedziałam. „Łowy" były integralną częścią naszego kontraktu, od samego początku znajdowały się wśród przyjętych warunków, od chwili, kiedy w swoim gabinecie w Smith College Joe musnął kolanami moje kolana.

Jego rozwód przebiegł zaskakująco sprawnie. Zapewne dlatego, że Joe nie miał czym się z Carol dzielić — żadnych oszczędności ani nieruchomości, nawet dom przy Bancroft Road był wynajmowany od uczelni. Nie było nic, z czego Carol mogłaby mu cokolwiek uszczknąć. Owszem, z czystej złośliwości mogłaby wystąpić o wysokie alimenty, by zmusić go do zapewnienia jej i Fanny życia na wysokim poziomie. To jednak nie było w jej stylu. Zamiast tego odcięła go całkowicie. Jej rodzina w kalifornijskim Sausalito nie należała do biednych; weźmie na utrzymanie wnuczkę i opuszczoną córkę. Carol nie wzięła do Joego pieniędzy, ale zabrała mu dziecko, a Joe pozwolił jej sobie odebrać, mimo miłości do niego, mimo ciężkich westchnień i cichych monologów o złamanym ojcostwie i wzruszającym ciemiączku.

Początkowo oponował. Zażądał planu spotkań z córeczką, chciał mieć ten plan na piśmie, chciał być ojcem. Ale jego zgryzoty były dla Carol tylko źródłem przyjemności. Przez pewien czas telefonowała do nas do Nowego Jorku i kpiła sobie w żywe oczy. Szczebiotała, że Fanny zmienia się każdego dnia, że obserwowanie rozwoju dziecka jest czymś pięknym i niezwykłym, że

przypomina to film przyrodniczy, na którym w przyśpieszonym tempie widać rozkwitanie kwiatu, i że mała zaczyna bardzo go przypominać, że się wspaniale rozwija, szybciej od innych dzieci, że jest niesamowita i że ona, Carol, niedługo będzie jej tłumaczyć, dlatego musi zapomnieć o tacie, który także się przychylił do jej narodzin. „Nie bądź taką jędzą, Carol - usłyszałam, jak krzyczy w słuchawkę któregoś dnia. — Zmarnujesz jej życie!”

Jestem pewna, że Carol odpowiedziała mu coś w rodzaju: „Nie, Joe. Ty już zmarnowałeś jej życie”.

Przestał więc walczyć. Wycofał się, porzucając nadzieje, wypuszczając z rąk ostatnie nici nieudanego małżeństwa. Zresztą odkąd Fanny znalazła się w odległym Sausalito, kontakt z nią był bardzo utrudniony, praktycznie niemożliwy. Tylko raz, kilka lat później, Joemu udało się ją odwiedzić podczas jakiejś trasy promocyjnej. Innym razem przygotowaliśmy paczkę pełną zabawek i wysłaliśmy ją do Kalifornii; przesyłka pozostała bez odpowiedzi. Przez jakiś czas Joe słał listy. Na niektóre Carol odpowiadała, krótko i dosadnie, ale większość zbywała milczeniem. W końcu Joe zmęczył się i stracił wiarę i zainteresowanie. Coraz rzadziej słyszałam jego pełne westchnień wspomnienia córeczki. Fanny stała się dla niego bezcielesnym duchem, dołączając do galerii tych, co odeszli na zawsze: otyłej, zaborczej matki i melancholijnego ojca.

Patrząc na wszystko z własnego punktu widzenia, Joe nadal uważał, że wina za rozpad małżeństwa leżała po stronie Carol. Własny udział postrzegał w dużo łagodniejszych barwach. Jak powiedział, po narodzinach Fanny Carol nie chciała z nim sypiać, nawet po wielu miesiącach, kiedy nie było już śladu po szwach i nie istniał ku temu żaden inny, racjonalny, medycznie uzasadniony powód.

- Boję się, że mnie rozerwiesz - wyznała mu kiedyś w łóżku.
- To tylko lęki — tłumaczył.

Spróbowali raz, ale zanim w ogóle do czegoś doszło — kiedy układał się na niej wygodnie, kiedy oboje, w pełnej napięcia

ciszy, szukali swych ciał, kiedy jego jądra ocierały się o jej uda — ona odepchnęła go nagle i zaniósła się płaczem.

- Przecież nic nie zrobiłem — wykrztusił zaskoczony. - Nawet nie miałem jeszcze okazji. O co ci chodzi?

Carol nie potrafiła odpowiedzieć, tylko płakała. Rozbudzone dziecko przyłączyło się do jej płaczu niemiłosiernym wrzaskiem, ostatecznie rozwiewając złudzenia i czyniąc seks niemożliwym na resztę nocy. „Uff...”, pomyślała z ulgą Carol. „Cholera jasna...”, pomyślał wściekły Joe i leżał do świtu, nie mogąc zasnąć, rozdrażniony i ogłupiały, usiłując zrozumieć, co w nim jest nowego, że przestał ją pociągać, i dlaczego kobiety takie są, zmieniają się, hoduują w sobie niewytłumaczalne urazy i awersje. Właśnie taka była jej reakcja: awersja. Nie chciała dotknąć jego ciała, nie chciała, by zamykał się wokół niej i dusił w swoim zapachu, by rysował na niej zarostem całą topografię podrażnień, by zmuszał ją do powstania z bezpiecznego przycupnięcia, w jakim tkwiła od dnia narodzin Fanny.

On z kolei nie chciał takiego stanu rzeczy. Nie chciał pozwolić, by odsunęli się od siebie, by zaangażowali się w farsę typowego uniwersyteckiego małżeństwa.

- Na miłość boską, Carol - mówił. - Przecież nic ci się nie może stać!

Ale nie chciała. Mówiła, że nie jest gotowa na dotyk, że ma dość dotyku i spełniania potrzeb innych, że co kilka godzin karmi niemowlę i to jej wystarczy. A kiedy któreś nocy uległa jego namowom, krzyknęła tak boleśnie, jakby ją kto ze skóry obdzierał albo przeszył na wskroś widłami. Joe poczuł się jak gwałcieciel i morderca. I dał spokój. Po tej nocy już nigdy nie podjął kolejnych prób. Mijał czas, w końcu się od niej odwrócił i zwrócił ku mnie; a ja nie odmawiałam mu niczego, nie miałam żadnych szwów, nie bałam się ani nie wahałam.

Ślub wzięliśmy w ratuszu. Zaprosiliśmy niewiele osób; moją przyjaciółkę z college'u Laurę, koleżankę z Bower & Leeds Mary Croy (także asystentkę redaktora), Leva Bresnera, którego Joe niedawno poznał, i poetę Harry'ego Jacklina. Carol zniknęła

z jego świata, zniknęło też, jak przypuszczam, jego dziecko. Teraz chciał mieć nowe dziecko, które mógłby podziwiać i pokochać.

„Pierwsza ciąża to udręka”, ostrzegał, ale był w błędzie. Nie było udręki, najwyżej trochę opuchlizny, nudności i utraty równowagi, co rekompensowały ciągłe myśli o dziecku: Jakie ono będzie? Chłopiec czy dziewczynka? Może zostanie naukowcem i będzie budował rakiety? Jęczałam i wzdychałam na oddziale położniczym nie istniejącego już dzisiaj szpitala Flower Fifth Avenue Hospital, decydując się na poród naturalny, pozbawiając się daleko bardziej nęcącej perspektywy bezbolesnego snu. „Niech cię szlag, doktorze Lamaze*!”, myślałam poirytowana, wyobrażając sobie łagodnego jak baranek, grubiotkiego Francuza z wąsikami, w idealnie skrojonym garniturku, nieustannie palącego gauloisey. Joe czekał w kafeterii, czytał gazety i zjadał hamburgera. Pamiętam, że kiedy przyprowadzono go do mnie i Susannah, na podbródku miał rozsmazaną kroplę keczupu, a pod pachą ścisnął „Timesa”.

Ale pokochał maleństwo z całego serca. Wiedziałam, że wszystkie nasze nowo narodzone dzieci kochał równie mocno jak swego czasu Fanny. Jakoś się nie przejęłam, gdy miłość do pierwородnej córki szybko się w nim wypaliła. Uważałam, że to chwilowe błędzenie. Gdy Susannah była malutka, wieczorami braliśmy ją do naszego łóżka, kładliśmy między siebie i improwizowaliśmy kołysanki, każde dodając po jednej linijce, wymyślając na przemian wesołe słowa i rymy, jakbyśmy wspólnie chcieli układać ją do snu i zdobyć przy tym niezachwianą pewność, że dziecko nigdy nie stanie między nami, nie zniszczy naszego małżeństwa, seksu, czułości.

Joe lubił chwytać dzieci za nóżki i trzymać je głową w dół. Albo podnosić je wysoko, sadzać sobie na ramiona i spacerować ulicą, z dzieckiem wczepionym rączkami w jego czuprynę. Czu-

* **Fernand Lamaze (1891-1957)**- francuski położnik, promotor metod naturalnego porodu.

łam wtedy strach. Wydawało mi się, że Joe mało ostrożnie podchodzi do dzieci. Bałam się, że spadną i się zabiją, wyobrażałam sobie ich główki strzaskane o chodnik. On chciał je mieć na ramionach; ja przy piersi.

Karmiąc piersią, myślałam sobie, że mogłabym nie robić w życiu nic innego. Nie miało dla mnie znaczenia, że zaniedbuję karierę zawodową, że nie myślę o sobie i nie mam swego miejsca w świecie. Byłam karmiącą matką i nie chciałam być nikim innym. Początkowo Joe był tym poruszony. Lubił urzeczony patrzeć, jak karmię niemowlę. Ale w miarę jak mijały kolejne miesiące, coraz częściej słyszałam z jego strony uwagi w rodzaju: „Mam nadzieję, że nie będziesz tego robiła do końca świata” albo: „Może nie mam racji, ale o ile dobrze pamiętam, doktor Spock zalecał, żeby odstawić dziecko od piersi, nim pójdzie do szkoły. Podobno trudno dopasować godziny karmienia do planu lekcji...” Przystałam więc karmić piersią. Wcześniej, niż zamierzałam.

Przy każdym z trojga dzieci Joe uspokajał się, kiedy zaczynało rączkować. Noce nie były już zakłócone wybuchami płaczu, życie wracało do normy. Ponadto wyczuł, jak łatwo może na nie wpływać i odciskać swój ślad. Czasami, kiedy wieczorem przychodzili goście, Joe przewrotnie bawił się z Susannah.

— Och, idzie Susie, moje słoneczko - mówił, gdy nasza dwuletnia córeczka wchodziła do zadymionego pokoju, pełnego pisarzy i ich żon. - Przynieś tatusiowi najbardziej przereklamowaną książkę, jaką mamy w domu.

Dziewczynka, wyuczona scenariusza, posłusznie podchodziła do regału, zdejmowała z półki *Nagich i martwych* Mailera i wręczała mu książkę przy ogólnej wesołości i głośnych pochwałach.

To jednak był dopiero początek.

— Susie, a powiedz tatusiowi, dlaczego ta książka jest najbardziej przereklamowaną książką w naszym domu?

— Bo to rzęda i gaduła — odpowiadała dziewczynka, nie bardzo rozumiejąc, o co chodzi, ale ciesząc się, że wywołuje to ponowny wybuch wesołości

Gwóźdź programu miał jednak dopiero nastąpić.

- Ho, ho, co za mądra Susie, pan Norman Mailer to ztęda i gaduła, tak? - Joe śmiał się razem z innymi. - A możesz teraz tatusiowi pokazać absolutnie najwspanialszą książkę w naszym domu?

Mała Susannah dreptała z powrotem do regału i stawała przed nim na paluszkach, wypatrując znajomego, jasnoczerwonego grzbietu. Stała i patrzyła, aż w końcu dostrzegała charakterystyczny kolor. Sięgała po niego pulchną rączką i zaczynała się mocować z ciasno ułożonymi na półce książkami. Wreszcie chwytając zdobycz, wydobywała ją spomiędzy innych z cichym sapnięciem, odwracała się i triumfalnie pokazywała okładkę *Orzecha*, po raz kolejny wzbudzając ogólną radość. Wiedziała, że robi coś ujmującego i ważnego, że to pomaga jej zyskać przychylność taty, ale tak naprawdę nie miała pojęcia, w czym bierze udział.

Miałam ochotę stanąć w jej obronie, ustrzec ją przed Joem, pobiec przez cały pokój, przytulić ją do siebie i powiedzieć Joeemu, żeby nie wykorzystywał jej w taki sposób, bo to wcale nie czyni jej szczęśliwszą. Bałam się jednak, że wyjdę na idiotkę, że popatrzą na mnie jak na przewrażliwioną matkę, której zaczęło trochę odbijać, która rzuca kłody pod nogi kochającemu ojcu i odbiera dziecku chwile radosnej zabawy. Uśmiechałam się tylko i potakiwałam z daleka głową. Joe całował Susannah w jedwabistą, pachnącą główkę i wspaniałomyślnie uwalniał ją z zajęć.

- Gdzie są wszyscy dobrzy ojcowie? - skarżyła mi się kiedyś Susannah, gdy była już nastolatką. - Ci, których codziennie pokazują w telewizji, co to rano idą do pracy, po południu wracają do domu i przez cały wieczór są z rodziną. Któżty są w domu dla innych. Wiesz, o co mi chodzi?

Siedziałyśmy wtedy w kuchni i zaplatałyśmy rzemyki; często to wówczas wspólnie robiłyśmy. Zajęcie było tyleż usypiające, ile uspokajające. Plecione skórzane pasemka formowały się wolno w kolorową bransoletkę lub naszyjnik, którymi Susannah mogła obdarować koleżanki, siostrę, brata albo mnie i Joego.

Joe zakładał je zawsze na rękę i nosił przez parę godzin z udawaną dumą. Jasne kolory połyskiwały na jego owłosionym nadgarstku, ale nawet wówczas Susannah rozumiała, że błakający się na jego twarzy uśmiech to nie prawdziwa radość, że dumą podsztyta jest ironią, że czuje się lepiej tylko dlatego, że pokazał się w jej bransoletce. Czasem wydawało mi się, że Joe lubił być ojcem, ale ojcem w ogóle, a nie ojcem konkretnie tej dziewczyny i jej rodzeństwa.

- Nie wiem, kochanie - odpowiedziałam, jakby zawstydzona, że nie potrafię dać jej ojca, jakiego sobie wymarzyła.

Sama zresztą rzadko takich widywałam: dobry ojciec, wielki i silny, ale nie potwór, łagodny, ale nie mizerak osłabiony złowieszczą astmą, w zapiętym pod szyję wełnianym swetrze. Gdzie w tamtych latach podziewali się dobrzy ojcowie? Na pewno tacy byli, ale jakby nieobecni, funkcjonujący gdzieś daleko, w innym wymiarze; popijający drinka, zaciągający się papierosem, grający w bilard lub słuchający jazzu. Byli niespokojni, niecierpliwi, żądni odkryć; świat należał do nich i prawdopodobnie w nim żyli, rozglądając się ciekawie dookoła.

Dzieci były małe, a praca zabierała nam coraz więcej czasu. Zatrudniliśmy więc na stałe opiekunkę, odstępując jej jeden z pokojów. Melinda studiowała na Amerykańskiej Akademii Sztuk Dramatycznych. Była młoda, atrakcyjna i trochę zmanierowana. Nigdy nie traciła wyniosłej, aktorskiej pozy, jakby cały świat był bulwarem w Hollywood i w każdej chwili można było wpaść w oko sławnemu reżyserowi.

Joe nie potrafił się jej oprzeć, choć przez pewien czas tego nie wiedziałam. Długo udawało mi się nie zauważać, jak daleko zaszła ich znajomość. Dziś jestem właściwie pewna, że Joe kochał się z nią już parę tygodni po tym, jak zamieszkała w naszym domu. Zabrał ją na poddasze, wiedząc, że nie postawię tam nogi, bo boję się myszy. Nigdy tam nie chodziłam. Podłoga była usiana zaschniętymi kuleczkami kupek, ale stojące tam „od zawsze” stare łóżko, przykryte stosem nie używanych koców, prześcieradeł i narzut, najwyraźniej oparło się mysiej za-

gładzie, skoro bez oporów je wykorzystali. A może tak bardzo byli sobą zajęci, że ani jemu, ani Melindzie nie przeszkadzały harujące dookoła gryzonie i ich odchody.

Minęło sporo czasu, zanim zorientowałam się w sytuacji. Podczas pobytu Melindy powstawały kolejne książki. Choć w domu panował ogólny chaos, to życie zdawało się zachowywać równowagę. Dzieciaki dokazywały, robiły bałagan i ciągle miały jakieś nowe pomysły. Jedna córka czepiała się mojej nogi, a druga wyciągała torebkę mąki i prosiła, żebyśmy zrobiły papier-mache. Była więc Susannah ze swoimi plecionymi rzemykami, była Alice z piłką do siatkówki i był David, ale sam w pokoju, z jakąś baterią i miedzianymi drucikami. Pragnęłam poświęcać im jak najwięcej czasu, ale czasu zawsze brakowało.

Bywało też, że późnym popołudniem, jak spod ziemi, zjawiał się przy mnie Joe, brał mnie za rękę i mówił:

— Chodź.

- Ale dokąd?

— Na łowy i zbieractwo.

Oznaczało to tyle, że Joe miał ochotę wyruszyć w miasto na poszukiwanie pomysłów do kolejnej powieści. Do tego potrzebował mnie. Całowałam dzieci w główki i żegnałam się z ociąganiem.

- Czemu idziesz, mamusiu? Musisz iść? - wołały. - Musicie iść?

- Tak, tak, musimy! — krzyczał przez ramię zniecierpliwiony Joe, łąpał mnie za łokieć i wychodziliśmy w mrok Greenwich Village, jakby pomysły można było znaleźć na chodniku niczym kryształki miki. — Nic im się nie stanie — mówił jeszcze do mnie przekonującym głosem, niedbale machając za siebie ręką.

— Wiem — mówiłam. — Jednak...

- Jednak... - kręcił głową z dezaprobatą. - Ty chyba chcesz mieć taki napis na nagrobku. No, chodź już.

Miał rację; dzieci dobrze się bawiły bez nas, zupełnie jak w ciągu dnia, gdy również nie mieliśmy dla nich czasu. Celem naszych wypraw był najczęściej „Biały Rumak”. Tam Joe czuł, jak tętni jego życie. Tam nie zdarzyło się, by ktoś go nie rozpoznał,

nie pozdrowił i nie przysiadł się do nas. Joe wdawał się w nieskończone dysputy na temat pisarzy, książek lub sytuacji w Wietnamie. Bywaliśmy też w klubie „Folk City”, chodziliśmy do klubów jazzowych i kawiarenek literackich, gdzie w dramatycznych pozach stały przed mikrofonami poetki i jak natchnione deklamowały ogniste wiersze, przy każdym ruchu wstrząsając ciężką biżuterią.

Któregoś wieczoru Joe powiedział, że w swej drugiej powieści chciałby zamieścić scenę z udziałem prostytutki.

— W literaturze prostytutki są nudnymi postaciami — zaopiniowałam. — Każda jest taka sama i każda tak samo przedstawiona; ojciec pijak i rozpustnik, nieczuła matka, brudne zaułki, życie prowadzące donikąd.

— Wcale nie muszą być nudne, jeśli odpowiednio ująć temat — uparł się gwałtownie.

Raptem zdałam sobie sprawę, że Joe ma zamiar spotkać się z prostytutką, żeby zebrać materiał do pracy, i czeka na pozwolenie z mojej strony. Oczywiście nie będzie z nią spać. Nic z tych rzeczy. Chodzi wyłącznie o rozmowę. Postawi kilka pytań, bo chce zrozumieć, co znaczy być kobietą, która sprzedaje swe ciało. Postać prostytutki, uważał, powinna być zarysowana jak najbardziej przekonująco i realistycznie. W przeciwnym razie cały fragment powstającej powieści będzie miałki, blade i nieczytelny.

— Możesz pójść ze mną, Joan — rzucił w pewnym momencie. — Właściwie nalegałbym, żebyś poszła razem ze mną.

I poszłam. Ubrana w płócienny, błękitny płaszcz, w kapelusiku i z damską torebką pod pachą. Weszliśmy po stromych schodach niewielkiego budynku gdzieś nad brzegiem Hudsonu; bryza wiejąca od rzeki niosła ze sobą mdławy zapach gnijących śmieci. Wizytę umówił jeden z kolegów, którego Joe poznał w „Białym Rumaku” — pisarz, znany skądinąd z hulaszczego trybu życia. prostytutka miała na imię Brenda. Jej jasne włosy były skręcone w luźny czub. Miała na sobie spodnie rybaczkki i męską, nie dopiętą koszulę. Twarz bez uśmiechu, surowa, pociągnięta wyzywającym makijażem. Dziewczyna rozsiadła się w fotelu.

- To co tam chcecie wiedzieć?

Paznokcie u nóg miała pomalowane mlecznobiałym lakierem. Joe chrząknął.

- Brendo, może opowiesz nam, jak to się wszystko zaczęło? — poprosił, starając się mówić jak najbardziej swojskim głosem.

Brenda zapaliła papierosa.

- Anita była w branży, znaczy moja siostra. - Wypuściła z ust kłąb papierosowego dymu. — Zawsze miała kasę na ciuchy i w ogóle. W domu się nie przelewało, znaczy mama bez grosza, sama szyła dla nas sukienki, takie z bufiastymi rękawkami, nie cierpiałam ich. Chciałam czegoś więcej. Anita przychodziła do domu nadziana i nieźle ubrana, znaczy w dobrych sukienkach, w bucikach z paskami i w ogóle. O to mi chodziło. No to powiedziała, żebym robiła to samo. I już. Początkowo nie bardzo mi się to podobało, znaczy faceci tłuści, owłosieni na plecach, podpici, cuchnący czosnkiem... i w ogóle. Ale potem leżałam pod takim facetem i układałam sobie w głowie listy z zakupami, znaczy, no, sukienki, buty, pończochy. No, i kiedy słyszałam, jak facet wydaje te swoje *uhmmm*, wiedziałam, że to koniec i że mogę już popędzić do sklepów i zająć się swoimi sprawami.

- A ciąża? - zapytałam nagle, wyobrażając sobie, jak plemniki jakiegoś czosnkowego włochacza mkną w głąb niej bezmyślnym pędem.

Joe skinął ku mnie z uznaniem, wiedząc, że sam nigdy nie zadałby takiego pytania.

- A, ciąża - westchnęła Brenda. - Miałam trzy wpadki. Zawsze musiałam sobie radzić sama. Znaczy jedna z dziewcząt znała takiego doktora w Jersey City. Wszystkie tam chodziłyśmy. Za pierwszym razem mocno krwawiłam i w ogóle. Tom spanikował, krzyczał, żebym pojechała na pogotowie i powiedziała, że próbowałam zrobić sobie skrobankę wieszakiem na ubrania. Ale za nic w świecie nie chciałam stamtąd wychodzić. Na szczęście krwotok ustał.

Mówiła, a Joe naprędce spisywał jej słowa w kieszonkowym

notesiku. Zachowywał się jak reporter, nie wierząc, że pisarz jest w stanie przypomnieć sobie wszystko, gdy siądzie nad kartką papieru i zacznie pisać. Nie wierząc, że twórczy talent, niczym gęstniejąca żelatyna, potrafi wszystko wchłonąć i zachować w nienaruszonej, zastygłej postaci. Notował więc, co słyszał i uznawał za interesujące; uwagi dotyczące najmłodniejszych ciuchów, piegów na nosie, a nawet fragmenty sprzeczki między jakąś przypadkową parą w chińskiej restauracji.

W *Nadgodzinach*, drugiej powieści Joego, Brenda pojawia się jako Wanda, drobna i czuła prostytutka. Po tamtym pierwszym spotkaniu odwiedził ją jeszcze raz. Już beze mnie. Nie chciałam iść, a on nie nalegał. Być może instynktownie wyczuwałam, że miał ochotę się z nią przespać, czemu zawsze potem zaprzeczał z furją. Wyobraziłam sobie Joego w łóżku z tą seksowną, choć niechlujną panienką; jak leży pod nim z rozłożonymi nogami, odchyła głowę, by nie potargać czuba, i układa w myślach listę zakupów. Jej palce u stóp, których paznokcie lśnią tym szczególnym, szelakowym odcieniem bieli, nie zwinia się nagle w spazmie uniesienia, jak dzieje się to u kochanków przeżywających rozkosz, bo żadnej rozkoszy nie będzie i nigdy przy klientach nie było. „Zbieram tylko materiały”, będzie mówił do siebie, zapinając koszulę, wskakując w spodnie i pędząc w dół po schodach. Minie inne pokoje, kuchenki zachlapane resztkami tanich hamburgerów, minie ledwo słyszalne głosy zza drzwi, dyszenia i jęki. I choć Brenda nie będzie warta zapamiętania, to nowe doświadczenie doda mu dziwnego rodzaju energii życiowej.

Mężczyznom, którzy posiadają wiele, trzeba równie wiele, by mogli trwać. Czasem zdaje się, że są jednym wielkim, nienasyconym apetytem, że są otwartą, pochłaniającą wszystko paszczą i burczącym nieustannie z głodu brzuchem. Joe często ruszał na łów. Nie mylił się co do tego krytyk literacki Nathaniel Bone. Wiedziałam o tym i wiedziałam, że inni o tym wiedzą i myślą, że ja nie wiem. Przyjaciele patrzyli na mnie z żalem i litością, uważając mnie zapewne za niewinną, kochającą i bez-

granicznie ufną osobkę. Ja tymczasem czułam, że wiedząc, ale nie robiąc, jestem daleko silniejsza. Zresztą, co miałam robić? Nieraz wybuchały między nami kłótnie: ja oskarżałam, on zaprzeczał i życie toczyło się dalej.

Towarzyszyłam mu wszędzie, gdzie prosił. Zadawałam pytania, on skrętnie notował odpowiedzi. W ciągu wielu lat spotykaliśmy się z różnymi ludźmi; nie tylko z Brenda, prostytutką znad Hudsonu, także z rybakiem z jakiegoś nadmorskiego portu i domokrażnym sprzedawcą odkurzaczy, który w połowie lat siedemdziesiątych pojawił się jako Mike Bick w niedługiej powieści *Nawet cię nie znałem*, nie cieszącej się zresztą uznaniem krytyki ani powodzeniem wśród czytelników. Zawsze przy takich okazjach angażowaliśmy opiekunkę do dzieci, choć kiedy Susannah skończyła trzynaście lat, sama zaczęła przejmować rolę niani.

Zona Leva Bresnera, Tosha, cicha kobieta z obozowym numerem wytatuowanym na przedramieniu, maleńka, o czarnych jak oliwki oczach pieska chihuahua, nie mogła pojąć, że dałam się „w to wciągnąć”. Jak mówiła, zależy jej tylko na tym, żeby mieć święty spokój, żeby pójść z przyjaciółkami do sklepów, na lunch, by usiąść z nimi przy stole wśród toreb z zakupami i trochę się pośmiać. „Mężczyźni! - mówiła. - Bez urazy, Joan, ale jak można z nimi wytrzymać? Oni tylko gadają. Buzia im się nie zamyka”.

Trudno zaprzeczyć. Mężczyźni mówią jak najęci, dzień i noc, jakby tkwił w nich nieskończony rulon słów, który rozwijał się i wlatywał zdaniem przez ich usta. Aroganccy! Pewni swego, nawet jeśli nie mieli racji. Dlaczego kobiety nie mogły takie być? (Oczywiście kilka lat później, kiedy feminizm urósł w siłę, kobiety też potrafiły mówić bez końca, głosem nie mniej donośnym niż mężczyźni, też wypalały mnóstwo papierosów i spotykały się, by dyskutować nie o książkach, lecz orgastycznym dobrodziejstwie ręcznego wibratora oraz horrorze gotowania i sprzątania.)

Gdybym chciała, mogłam być taka jak Joe. Też mogłam zadzierać nosa, mogłam być agresywna lub liryczna, pełna pomy-

słów i słów, mogłam błyszczeć, szukać aplauzu i robić wszystko na pokaz, mogłam być krzyczącym, rozświetlonym neonem. Byłabym żeńską odmianą Joego, ani kochaną,; ani sympatyczną, wręcz odstręczającą. Mogłabym urzekać eucjają, charyzmą i związkami z dobrze ustawionymi facetarni. Ale nie byłam Mary McCarthy ani Lillian Hellman. Nie chciałam skupiać na sobie uwagi innych: to onieśmiało mnie i płoszyło, odejmowało pewność siebie. Z jaką ulgą patrzyłam, jak smugi reflektorów ogniskują się na postaci Joego.

— Co z twoim pisaniem, Joan? — pytali mnie czasem ci, którzy wiedzieli, że podczas studiów napisałam parę przyzwoitych opowiadań i że poznaliśmy się z Joem na jego wykładach.

— Och, od dawna już nie piszę - odpowiadałam.

— Joan jest bardzo zajęta — wtrącał Joe. — Niańczy moje ego.

Uwaga wywoływała śmiech, a gdy ten ucichł, Joe dodawał jakby mimochodem, że ostatnio z poświęceniem oddaję się działalności charytatywnej. Rzeczywiście, w końcu lat siedemdziesiątych zaangażowałam się w ruch na rzecz uchodźców politycznych. Ktoś ciągnął jednak temat (najczęściej któraś z obecnych żon) i sugerował, że chętnie przeczytałby któreś z moich studenckich opowiadań. Wymawiałam się, tłumaczyłam, że nic z napisanych kiedyś rzeczy nie miało okazji dojrzeć i ukształtować się, i chyba bym umarła, gdybym miała teraz rozgrzebywać te starocie.

To, co wtedy pisałam, nie miało nic wspólnego z tym, jak pisali mężczyźni. Ich słowa kładły się wygodnie na stronach, leniwie, bez pośpiechu, przeciągały się jak ktoś, kto właśnie wziął gorącą kąpiel, ogolił się i ziewa, szeroko rozkładając ramiona. Mężczyźni lubili tworzyć w swych dziełach nowe wyrazy: „fallomaterializm” albo „errotektoniczny”. Pisali głównie o sobie samych, nie przejmując się niczym, nie czyniąc ze swej biografii tajemnicy i nie dokonując w niej nawet drobnych zmian. Bo po co? Nie bali się posiadać swych alter ego. W ogóle nie bali się posiadać ego. Nie zapominajmy, że świat do nich należał. Świat i wszystko to, co w sobie mieścił.

Do mnie świat nie należał; nikt mi go nie podarował. Nie miałam ochoty zostać „dama pióra”, liryczną akwarelistką, muzą ani też, z drugiej strony, nie chciałam zostać bojowniczką z klapkami na oczach, szaloną babą, która potrafi wymierzyć cios w jądra. Nie chciałam stać się kolejną Elaine Mozell, która sama wysłała mi sygnał ostrzeżenia. Było o niej głośno. Była samotna. I słuch po niej zaginął.

Nie miałam pojęcia, kto mógłby pokochać pisarkę szukającą aplauzu. Jaki mężczyzna zdecydowałby się z nią związać bez strachu przed jej ekspansywnością, gniewem, ognistą duszą, talentem? Kim mógłby być ów nieustraszony mąż? Ów mężczyzna widmo, umiejący pozostać ptzy niej silny i atrakcyjny? Może ktoś taki był, może drzemał gdzieś pod jakąś wiszącą skałą i tylko czasem wychylał głowę, by ucieszyć się ze wspaniałych pomysłów żony, ale zaraz z powrotem skryć się w cień.

Jego bujne pomysły wiodły nas nieraz bardzo daleko. W połowie lat sześćdziesiątych pojechałam z nim do Wietnamu. Grupa amerykańskich reporterów i pisarzy została zaproszona do Sajgonu na oficjalnie organizowany objazd. Joe znalazł się wśród zaproszonych osób. Wyjazd pisarzy sponsorowały gazety i czasopisma. Były to dawne, dobre czasy, kiedy naczelny wzruszał ramionami i mówił: „Jasne, dlaczego nie, jedź i pisz, ile chcesz”. Wojna nie była dla Joego tematem ani łatwym, ani lubianym. W jego prozie funkcjonowała dotąd gdzieś w tle, na peryferiach, zarówno ra koreańska, jak i nieco później wietnamska. Swych bohaterów przedstawiał najwyżej w koszarach lub w czasie ćwiczeń. Jeden z nich, Michael Denbold z *Orzecha*, przypadkowo postrzelił się w nogę, jak Joe. Postacie, które tworzył, lękały się broni, ale jednocześnie broń je fascynowała. Upiorny chłód metalowej lufy budził w nich jednocześnie wstręt i podniecenie, przerażał i kusił, przyśpieszał bicie serc i wywoływał poczucie bezradności; w taki sam sposób będą się dużo później odnosić do własnych dzieci, lękliwie trzymanyh w ramionach.

Joe nie czuł się pewnie ani podczas swego krótkiego romansu z armią w czasie wojny koreańskiej, ani na fikcyjnych polach bitew w swoich książkach. Czytał na temat wojny wszystko, co wpadło mu w ręce; opinie politycznych jastrzębi i pacyfistycznych ruchów lewicowych. Uczestniczyliśmy w protestach antywojennych, wiecach i demonstracjach. Podczas jednej z nich Joe został powalony na ziemię i niemal stratowany. Choć bohaterowie jego książek nieraz wyrażali zwątpienie, czy Ameryce uda się wywikłać z indochińskiej gmatwaniny, to podobne kwestie nigdy nie stały się ich obsesją.

Jak wszyscy znajomi, robiliśmy, co w naszej mocy, by zaprotestować przeciwko wojnie. Podpisywaliśmy petycje, angażowaliśmy się w różne akcje, przychodziliśmy z dziećmi do biur, by wydzwaniać w różne miejsca i pisać listy protestacyjne. Drukowaliśmy na powielaczu ulotki, mażąc się po łokcie purpurowym tuszem, ślęcząc pół dnia w pokoiku, którego zapach przywoływał w pamięci zajęcia plastyczno-techniczne. Wyprawialiśmy się również do Waszyngtonu. Staliśmy godzinami w długich korkach ulicznych, uciszając dzieciaki, które zmęczone płakały na tylnym siedzeniu. Sadzaliśmy je potem do wózków i pchaliśmy w tłum przed budynek Kongresu, gdzie płakały jeszcze głośniejsze, domagając się picia i powietrza, gdzie wycieńczone chroniły przed słońcem twarzyczki, a Joe tymczasem stawał w gronie innych pisarzy i wykrzykiwał coś w charczące, nie nadające się do niczego mikrofony.

Wtedy Wietnam był tematem nowym, budzącym grozę, który pragnęło się dogłębnie poznać i oswoić, najlepiej poprzez pogładową lekcję geografii. A ponieważ Joe znowu mnie potrzebował, pojechałam. Dzieci zostawiliśmy u rodziców jednej z najlepszych przyjaciółek Alice, ludzi otwartych i sympatycznych, artystów plastyków. W ich domu, przypominającym wesołą menażerię, panował nieustanny bałagan i harmider, a nasze dzieci wsiąkły weń niemal niezauważone. My tymczasem wsiedliśmy do samolotu Air France i odlecieliśmy na drugą stronę globu. „Nic im się nie stanie”, pocieszał mnie Joe, powtarzając

ojcowski refren, oparty tylko i wyłącznie na niedopuszczaniu do siebie myśli, by dzieciom mogło się coś stać.

W ten sposób znaleźliśmy się na niewielkim lotnisku w Bangkoku, gdzie czekała nas przesiadka. Na głowie miałam zawiązaną chustkę, a na nosie przeciwsłoneczne okulary a la Jacqueline Kennedy, bardzo w tamtych czasach modne wśród żon.

W podróż wybrało się też parę innych kobiet. Siedziały z tym, wszystkie razem poza jedną dziennikarką, która znalazła sobie miejsce wśród mężczyzn. Teraz stała przy nich i coś mówiła, żywiłowo gestykułując rękami. Jednak w huku lotniska, wśród startujących i lądujących helikopterów, kołujących samolotów towarowych i jeżdżących ciągle ciężarówek, nie docierało do mnie ani jedno jej słowo. Miała na imię Lee. Była znaną i cenioną reporterką, która zdawała się nie zważać na swój zdecydowanie mniejszościowy status w świecie mężczyzn.

Patrzyłam na nią i ogarnęło mnie dziwne wrażenie; jakbym trzymała pod łóżkiem pudełko, po które sięgam od czasu do czasu, a w którego ciasnocie tłoczą się Mary McCarthy, Lillian Hełman, Carson McCullers, a teraz jeszcze znana dziennikarka, Lee. Wystarczyło mi delikatnie uchylić wieko, by ich głowy wyskoczyły niczym diabeł z pudełka, jak pajacyki na sprężynie, by drwiły sobie ze mnie, przypominały, że istnieją, że kobieta też może zostać pisarką, też może zrobić karierę i że mnie także byłoby na to stać, gdybym tylko chciała, ale cóż, nie chcę, to nie. Nie chciałam, stałam wśród żon zakutanych w chustki, noszących się tak, jak je od dziecka uczono, w przeciwsłonecznych okularach, z torebką przewieszoną przez ramię, z założonymi beczynnymi rękami, rzucając wzrokiem na prawo i lewo, by nie stracić męża z oczu.

„Nie powinno mnie tu być! Jestem inna! Nie taka jak one!” - miałam ochotę krzyknąć. Chciałam stać koło Lee. Chciałam poczuć pewność siebie w środku tego gorącego, obcego miejsca. Ale prawda była taka, że mężczyźni i sławna dziennikarka stali po jednej stronie chodnika, a ja z pozostałymi kobietami po drugiej. Stałyśmy i gawędziłyśmy o byle czym, przytrzymując

chustki dłońmi, by nie zerwał ich wiatr. Lee miała odsłoniętą głowę; jej czarne, rozpuszczone włosy powiewały jak sztandar.

Po krótkim czasie wylecieliśmy do Sajgonu. Znaleźliśmy się w centrum hałaśliwej, pogrążonej w smogu stolicy, gdzie wyły klaksony, ludzie pokrzykiwali, a na ulicznych straganikach sprzedawano tandetne zegarki, papierosy i małe petardy, które przypominały mi cukierki toffi sprzedawane na bulwarze w Atlantic City. Wynędzniałymi, szpetnymi ulicami wolno posuwały się riksze, w których siedzieli w zasepieniu zamożniejsi pasażerowie, zwykle pojedynczo. Riksze mijały biedne restauracyjki wszelkiej proveniencji, a ja wyobrażałam sobie, jak musi wyglądać kuchnia takiej restauracyjki; brudna i ciasna, zadymiona i cuchnąca, z czarnymi, osmolonymi kociołkami, w których stara Wietnamka miesza chochlą wodnistą, bezwonny rosół. Był luty, a panował niemiłosierny upał. W powietrzu wirowały chmary komarów, nylonowe pończochy wpijały się w skórę. Z ulicy miał nas odebrać zamówiony autobus, ale się spóźnił. Grupę osamotnionych Amerykanów natychmiast spostrzegły okoliczne dzieciaki. Obiegły nas, wyciągając ręce po pieniądze, a panom, z jednoznacznym uśmiechem, proponując „ekstratani seks”. Joe przeganiał je niezręcznie, lekko skonsternowany, ale one wracały i ciągnęły go za rękawy i nogawki.

Następnego dnia nasza dziennikarska gromadka zajęła miejsce w helikopterach i odlecieliśmy na zachód ponad gęstymi lasami i ciemnozielonymi chaszczami. Siedzieliśmy w czwórce w kabinie, w hełmofonach, okularach przeciwsłonecznych i z mikrofonami pod brodą — ja, Joe oraz Lee i jej mąż Raymond, także dziennikarz, choć w przeciwieństwie do żony zupełnie nie znany. Miałam wrażenie, że nasz helikopter nie różni się wiele od rikszy w Sajgonie i przenosi kolejnych uprzywilejowanych obywateli ponad chaosem. Gdzieś na horyzoncie pikowały małe samoloty, spuszczały bomby w zieloność lasu, wzbijały się natychmiast i znikwały w dali, zostawiając za sobą ogniste kłęby. Joe, Lee i Raymond notowali wszystko zapamiętane i rozprawiali o Wietkongu tonem znawców, choć tak naprawdę byliśmy

po prostu turystami, chłonącymi wszystko, co nowe i co wydawało się niezbędne, by wrócić do Stanów w poczuciu, że nareszcie coś się wie.

Wizytowaliśmy obóz dla uchodźców w Cam Chau. Pierwotnie obóz miał funkcjonować tymczasowo, ale jak to bywa, tymczasowość zamieniała się w wieczność. Panujący tam smród i brud przyprawiały o zawrót głowy. Przy kupkach śmieci **kręciło** się kilka wychudzonych świń, oczyszczających je ze wszystkiego, co jeszcze nadawało się dla nich do jedzenia. W jakiejś słomianej chatynce rodziła kobieta. Dochodził nas jej nieustanny krzyk. Krzyczał też opiekujący się nią medyk; błagał o czystą wodę. „Proszę, proszę”, mówił do nas, ale nigdzie nie było czystej wody. Ta wymiana zdań trwała bez końca, jak dialog w teatrze absurdu.

- Wody! Wody! Czystej wody!

- Nie mamy wody.

- Wody! Czystej wody!

- Nie mamy wody.

Zresztą w całym obozie, zamieszkanym przez dwa tysiące ludzi, brakowało wody. Przy wejściu do chatynki stało małe wietnamskie dziecko i patrzyło do wnętrza osowiałym wzrokiem. Kobieta ciągle krzyczała, w kółko te same słowa, głośne, niezrozumiałe. Poprosiłam jednego z naszych przewodników, by je przetłumaczył.

- Mówi, że chce umrzeć, bo ją boli i czuje się jak pies - wyjaśnił przewodnik. - Mówi, żeby ją zastrzelić jak psa.

Nikt mi nie bronił, więc podeszłam do kobiety i chwyciłam ją za rękę. Jej oczy zwróciły się ku mnie. Nie puściłam jej dłoni. Trzymałam mocno. Jej palce kurczowo zacisnęły się wokół moich palców. Wreszcie pokazała się główka dziecka. Chwila „koronowania”, jak mówią położnicy. „Co za głupie słowo”, pomyślałam, patrząc, jak przez rozwarte ujście przeciska się gładka, drobna główka, z rzadkimi pasemkami czarnych włosów, jakby wymalowanymi pastelą, i pajęczyną nieskończenie cienkich żyłek. Zaraz potem pokazała się cała głowa, szyja i ra-

miona, które medyk obrócił delikatnie, wydobywając resztę ciała. Już po chwili matka miała noworodka przy piersi. Puściła moją dłoń i chwyciła malutką rączkę. Narodził się; ale nie król. Będzie musiał żyć w szcurzej norze Cam Chau. Nie wiadomo jak długo. Nikt nie znalazł czystej wody, ktoś jednak przyniósł pojemnik odtłuszczonej śmietanki. Kobieta przechyliła z trudem głowę i chciwie wypła parę łyków. Dziecko przy jej piersi również piło. Chciałam jeszcze zostać, pomóc, ale mężczyźni popędzali do odejścia, mieliśmy jechać do wojskowego centrum prasowego, gdzie czekał na nas suty obiad.

Pozostała część wyprawy do Wietnamu była karuzelą radosnej propagandy. Podczas konferencji zorganizowanej na lotniskowcu o napędzie atomowym zapewniano nas, że ostrzeliwane są wyłącznie obiekty wojskowe na północy kraju. W nikim jednak nie wygasły wątpliwości. Nikt z nas nie dał się do końca przekonać.

- Mam nadzieję, że wszystko zapamiętasz - powiedział Joe ostatniego wieczoru, kiedy przy pełni księżyca siedzieliśmy w jadalni i popijaliśmy martini z szerokich kieliszków, przypominających słomiane kapelusze riksarzy.

- Staram się pamiętać — odparłam, parrząc w sajgońską księżycową noc, wsłuchując się w szeleszczące paprocie i płynące z jakiegoś odległego gramofonu ciche dźwięki popularnej piosenki „Miasto bez litości”.

Pisarze zebrali się na pożegnalnym obiedzie i zajadali wszystko, co postawiono przed nami na stole, krwiste steki, opiekane ziemniaki. Niektórzy spisywali już w zeszytach pierwsze wrażenia, słowa zamieniały się w zdania, a zdania w akapity.

- Tworzymy z Joan drużynę - mówił Joe do innych przy stole. - Joan to moje oczy i uszy. Bez niej do niczego bym nie doszedł.

- Szczęściarz z ciebie - odezwał się Raymond, mąż znamienitej dziennikarki.

- Znalazłam go w jakimś ciemnym zaułku. - Podjęłam grę. — Wyglądał tragicznie, samo nieszczęście.

Joe lubił, gdy tak mówiłam.

— Tak, tak. Podniosła mnie, postawiła na nogi i otrzepała z kurzu — wtrącił. - I przemieniła w księcia.

— Ja mojej Lee w nic nie przemieniałem - stwierdził Raymond. - Ona już taka wyszła z łona matki, w pełni ukształtowana, z ołówkiem za uszkiem.

To możliwe? Czy pisarka mogła się po prostu narodzić? Nie przejmując się ani swoją pozycją, ani tym, że może być wyśmiana lub zlekceważona? Tak, w tym przypadku to było możliwe. Patrzyłam, jak Lee popija martini; czara kieliszka w jej dłoni była tak duża, że zdawało się, iż chłepcze z niej jak kot z miski. Przez cały okres naszego pobytu w Wietnamie ani razu **0** nic mnie nie zapytała. Nawet się do mnie nie odezwała. Należała do kobiet, które mało interesują się innymi kobietami, których światło skierowane jest ciągle na mężczyzn. Jestem pewna, że mnie nie lubiła. W porządku, uznałam. Też nie będę jej lubić.

Nocą w hotelu, gdy leżałam pod szumiącym wentylatorem, leniwie mącąym ciepłe powietrze, przyśniła mi się młoda matka w Cam Chau i jej nowo narodzone dziecko. Zastanawiałam się, jak dadzą sobie radę, dokąd pójda. Zobaczyłam dziecięcą główkę; jak rośnie i obrasta włoskami. Patrzyłam, jak cztery kości czaszkowe łączą się wolno tam, gdzie główka była jeszcze miękka, nie wykończona, delikatna. Potem widziałam, jak matka i dziecko kryją się w gąszczu drzew, jak toną w zieleni, jak dosięga ich ogień z broni maszynowej, a ich chatynka staje w czerwonych płomieniach i zostają z niej zgliszcza. I nagle, w somnambulicznej logice, widzę, jak matka przeistacza się w Lee, słynną dziennikarkę, jak popija śmietankę, a śmietanka przemienia się w napalm („kremacyjną galaretkę”, jak go tu nazywano), ale ona tego nie widzi, dalej przechyla główkę i pije.

W ciągu naszego długiego małżeństwa odwiedziliśmy wiele innych krajów i miast. Rzym - ponieważ Joe otrzymał nagrodę literacką Prix de Rome; cały rok spędziliśmy z dziećmi na koszt

organizatorów w jakimś rzymskim palazzo. Londyn - bo Anglicy go uwielbiali i chętnie zapraszali do programów telewizyjnych. Paryż — bo jego francuski wydawca miał głęboką kieszeń. Jeruzolima - z okazji słynnych targów książki. Było również Tokio, choć książki Joego wprawiały tamtejszych redaktorów w niemałe zakłopotanie; zdarzały się dziwne tłumaczenia (tytuł *Nadgodzin* w japońskim przekładzie brzmiał mniej więcej tak: *Kiedy mężczyzna nie może jeszcze wyjść do domu, lecz musi zostać w pracy, podczas gdy inni dawno już wyszli*), a sam Joe był dla Japończyków dość egzotyczną osobą. Jeździliśmy razem. Licznik kilometrów, które przebyliśmy, kręcił się jak szalony. Byliśmy obieżyświatami; jechaliśmy wszędzie tam, gdzie ukazywał się przekład książki Josepha Castlemana. Jeśli dzieci nie mogliśmy zabrać ze sobą, zostawialiśmy je u rozmaitych znajomych. Nie czułam się z tym dobrze i bardzo za nimi tęskniłam. Dzwoniliśmy do nich z każdego zakątka świata. Po drugiej stronie słuchawki słyszałam rwetes, dowody zupełnej anarchii i często miałam ochotę rzucić wszystko i natychmiast do nich wracać. Susannah skarżyła się na krnąbrne rodzeństwo, Alice płakała, prosząc, byśmy już wracali, a David pytał, czy to prawda, że za pięć lat nastąpi koniec świata, bo właśnie przeczytał o tym w jakiejś książce. Ktoś raptem upuszczał słuchawkę, podnosiły się krzyki i odgłosy kłótni. „Nic im się nie stanie”, mówił jak zawsze Joe.

I miał rację. Po naszym powrocie dzieci wyglądały zupełnie tak samo jak przed wyjazdem. Może stawały się tylko trochę bardziej melancholijne. „Niech wiedzą, że ich rodzice naprawdę żyją - upierał się Joe. - Spójrz, ilu rodziców nigdzie nie jeździ i nic nie robi. Nasze dzieci przynajmniej wiedzą, że gdzieś daleko jest jakiś świat i ich rodzice do tego świata należą. Moim zdaniem, to ma ogromne znaczenie”.

Podróżowaliśmy rok w rok. Joe miał spotkania z czytelnikami, czytał swoją prozę, odbierał wyróżnienia i nagrody, pojawiał się przy ważnych okazjach, miasto za miastem, miasto za miastem...

Tak wreszcie dobrnęliśmy tutaj, do Helsinek, miasta spokojnego i rozświetlonego, w którym człowiek spotyka się z oznakami bardzo swoistego braterstwa: młodzi mężczyźni, którzy wypiją za dużo z dala od domu, wpadają nieprzytomnie na przechodniów. Bywa, że chłopak i dziewczyna siedzą w knajpce, zjadają smakowite, trójkątne ciasta karelskie, dużo piją, a potem raptem jedno z nich osuwa się pod stół, na podłogę. Pomocną rękę wyciąga wówczas niewzruszony kelner; chwyta pechowca pod ramiona i uprzejmie sadza z powrotem na krześle.

Nie było więc niespodzianką, że kiedy do Finlandii przybył Joe Castleman, szybko wpadł pod alkoholowy prysznic. Dziennikarze, którzy przyszli na konferencję prasową do hotelu, solidarnie nie odmówili, gdy Joe nieopatrznie zaproponował drinka i otworzył bogato zaopatrzone barek. Oczywiście sam do nich dołączył. Kiedy pojechał do telewizji, by wystąpić w porannych wiadomościach, w garderobie czekał na niego rząd flaszek fińskiej wódki w różnych smakach. Drugiego dnia po przyjeździe, ledwie odzyskaliśmy siły po męczącym locie, czekały nas przerażająco intensywne zajęcia; nieustanne przejazdy wzdłuż i wszerz Helsinek, potem wyjazd za miasto, a nawet na dalszą prowincję, żeby Joe mógł się pokazać Finom, a Finowie jemu. Wszystkie spotkania były zakrapiane alkoholem. Wino podano nawet w szkole policealnej w Jarvenpaa, gdzie Joe stanął w sali wykładowej przed gronem pięciuset zaskakująco dobrze odczytanych słuchaczy („Proszę powiedzieć, panie Castleman, jak porównałby pan wspomniane wątki w prozie Guntera Gtassa i Gabriela Garcii Marqueza?"). Wódkę i dżin podano także podczas bankietu w bajecznie rozjaśnionej słonecznym blaskiem monumentalnej sali Biblioteki Publicznej w Helsinkach, mieszczącej się w słynnym gmachu z wzorami wstęg Móbiusa na ścianach i wąskimi jak szpilka smużkami reflektorów, rozmieszczonymi w fascynującym układzie.

Kiedy po obiedzie pokazano nam przechowywane w bibliotece archiwa starodruków i rzadkich książek, niemal wszyscy z nas, krążących wśród wysokich po sufit regałach, byli już wsta-

wieni. Oprowadzająca nas młodzieńka bibliotekarka, przypominająca wyglądem baśniowe elfy, odwróciła się nagle i zaczęła recytować fragmenty *Kalewali*, sławnej, dziewiętnastowiecznej epepei narodowej. Finowie lubią powtarzać, że wzorował się na niej Longfellow, pisząc swoją *Pieśń o Hajawacie*. Finlandia, jak każdy niewielki kraj, ma swoje legendy i anegdoty, a także swoją dumę i honor. I chętnie je pokazuje, bo gryzie ją nieodgadniony niepokój, że bez odwołań do Longfellowa, bez świeżych ryb, bez Sibeliusa i Saarinena oderwie się z trzaskiem od Skandynawii i zostanie wchłonięta przez morze rzeczy niepamiętanych. Piękna Finlandia może zniknąć. Jak Atlantyda. Jak ja oderwana od Joego; tak mi się przynajmniej zawsze zdawało.

Ujął mnie teraz pod ramię, ale delikatnie cofnęłam rękę.

- Co się stało? Wszystko w porządku?

- Niezupełnie.

Spojrzał na mnie zdziwiony, ale nie zadawał już pytań.

Joe podjął temat dopiero później, kiedy wracaliśmy z lunchu przez hol naszego hotelu, dokąd przewiózł nas z biblioteki jasnowłosa, chłodno usposobiony szofer o kanciastej twarzy.

- Nie wiem, co cię tak wścieka, ale proszę o jedno, cokolwiek to jest, poczekaj z tym do naszego powrotu do Nowego Jorku, dobrze?

- To się chyba nie uda - odparłam.

- Nie? - Stanął zdziwiony. - Wydawało mi się, że nie mogłam się doczekać wyjazdu do Helsinek.

- Nie mogłam.

- No i co?

- A jak myślisz? - mówiłam. - To dla mnie za wiele. Joe, doprawdy, to nie powinno cię dziwić. Tu nie chodzi tylko o Helsinki. Chodzi o wszystko.

- Och, no to cudownie. Miło mi to słyszeć, Joan. Wszystko! Widzę, że nic tu nie poradzę! Musiałbym się zabrać do całego świata. Jesteśmy w Finlandii, a muszę cofnąć się i przebrnąć przez wszystkie lata naszego życia, żeby wyłapać coś, co ci gra na nerwach. Wszystkie gorące chwile państwa Castlemanów.

— Coś w rym rodzaju.

Wtedy usłyszeliśmy, jak ktoś woła:

- Joe!

Jednocześnie odwróciliśmy głowy. W fotelu w głębi holu siedział Nathaniel Bone, krytyk literacki, od wielu lat obecny w naszym życiu. Miał około czterdziestu lat, choć ciągle był chudy i strzelisty jak dorastający nastolatek, z długimi, brązowymi włosami i wąskimi okularkami w różowej, nieco damskiej oprawce. Nie wiedziałam, że Bone też przyjechał do Helsinek, ale z drugiej strony nie powinno mnie to dziwić. Pojawiał się niemal wszędzie, gdzie jechaliśmy z Joem. Nigdy Bone'owi nie ufałam, od pierwszego spotkania dziesięć lat temu, gdy stanął w progu naszego domu w Weathermill.

Przyjechał wtedy z Nowego Jorku w buńczucznym, młodzieńczym przekonaniu, że zjedna sobie Joego i uzyska oficjalną zgodę na napisanie jego biografii. Oczywiście, zarówno osobisty, jak i nieosobisty biograf mają równe szanse na to, by toczyć wielogodzinne tozmony z bohaterem swego przedsięwzięcia, jeśli ten jeszcze żyje i ma na to ochotę. Jeśli natomiast nie żyje, to obaj mają równe szanse, by usiąść przed starym, zniszczonym sekretarzykiem z otwartymi szufladami i grzebać w żółknących papierzyskach, listach, wspomnieniach i dziennikach. Ale to Osobisty biograf zbierze słodsze owoce. To on będzie napawał się szczęściem, rozkoszował życiem i cieszył niezliczonymi spotkaniami, ponieważ będzie mógł otwarcie obwieścić światu wyniki swej pracy, a świat weźmie je za pewnik. Jego kolega po fachu będzie mógł tylko wysuwać hipotezy, sugerować, przypuszczać i domniemywać, flirtować z odkryciami, nie mogąc wesprzeć ich mocnymi dowodami.

Nathaniel Bone, który już w college'u zaczął pisywać listy do Joego, sądził, że bez trudu oczaruje pisarza, bo czarowanie innych przychodziło mu larwo od kołyski, zupełnie jak Joemu. Bone pochodził z zamożnej rodziny z Kalifornii, jego rodzice byli wziętymi psychiatrami, a on sam skończył college przy uniwersytecie Yale, gdzie rak skutecznie oczarował szefa wy-

działu anglistyki, że ten zgodził się, by Bone napisał „eksperymentalną” pracę magisterską, łączącą elementy historii, biografii i fikcji literackiej. Praca ta otworzyła mu drzwi do redakcji kilku dobrych czasopism literackich, z których po studiach otrzymywał stałe zamówienia na artykuły. Bone pisał komentarze, recenzje, relacje i eseje na rozmaite tematy. Miał swój styl pisania, zwykle sięgał jednocześnie do zasobów kultury masowej i elitarnej. Były to teksty z rodzaju takich, w których autor potrafi w jednym akapicie wymieniać nazwiska Jacques'a Lacana* i George'a Jetsona**.

Niewątpliwie pomagał mu intrygujący wygląd, w stylu gwiazdy rockowej mniejszego kalibru. Ja jednak nigdy nie umiałam się oprzeć wrażeniu, że Bone'owi, niczym konikowi morskiemu, brakuje kręgosłupa. Chodził jakoś niedbale i ociężale, jakby lada chwila miał się zwalić na ziemię. Jego długie włosy zawsze były dobrze utrzymane i umyte. Warto zauważyć, że choć rzeczywiście potrafił urzec ludzi z pozycją i władzą, to poza nimi mało kto go lubił. Bone nie miał czasu dla zwykłych śmiertelników, ani oni dla niego. Bez subtelności potrafił przyssać się do każdego, od kogo mógł coś uzyskać. Dostrzegłam to w nim od razu, gdy pierwszy raz pojawił się w naszym domu.

Godny odnotowania jest także fakt, że Nathaniel Bone był pierwszą znaną mi osobą, która doceniała wagę przyssania się nie tylko człowieka, którym się interesowała, ale także do jego żony. Najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że jeśli nie polubi go żona, to ma przesrane u męża. Nic więc dziwnego, że tamtego pierwszego dnia, dziesięć lat temu w Weathermill, kiedy trzydziestoletni Bone przyjechał do nas, by osobiście poznać Joeego Castlemana i omówić z nim kwestię formalnego upoważnienia do pisania biografii, wizytę zaczął od podarunku dla mnie.

- Och, pani Castleman, jedną chwileczkę! - powiedział w kuchni, gdzie czekaliśmy, aż Joe zejdzie do nas z gabinetu na piętrze,

* Jacques Lacan (1901-1981) - francuski filozof i psychiatra, jeden z kontynuatorów myśli freudowskiej.

** Postać ze znanej kreskówki dla dzieci „Jetsonowie”.

a czekaliśmy dość długo, ponieważ Joe, odkąd stał się sławny, lubił, by ludzie na niego czekali. - O mały włos, a byłbym zapomniał! — (Tak, tak, akurat uwierzę...) — Proszę, to dla pani.

Bone wyjął z kieszeni piękną, ręcznie kolorowaną pocztówkę z 1927 roku, która przedstawiała grupę dziewcząt w tańcu na scenie w Smith College, gdzie odgrywano jakąś burleskę. U dołu widniał napis: „Kaprysy w Northrop House”.

— Northrop! — zawołałam zdumiona. - Mieszkałam w tym akademiku.

- Wiem - rzucił tylko z czarownym uśmiechem.

Trafił w dziesiątkę. Gdybym zauważyła taką pocztówkę zarzebaną wśród staroci na pchlim targu, kupiłabym ją bez wahania. Mimo to poczułam do niego niechęć. Wyczuwałam z jego strony jakieś nieokreślone zagrożenie. Jego obecność w naszym domu niepokoiła mnie. Czułam się niepewnie, widząc we własnej kuchni tego młodego chłopaka w dżinsowej kurtce i wysokich butach z wężowej skóry, rozglądającego się ciekawie dookoła i nonszalancko popijającego mrożoną herbatę, którą sama mu podałam.

Młodzi ludzie kręcili się wokół Joego od dnia, gdy wydał pierwszą książkę. Przemykali obok niego z ciszą powiewu lub hukiem trąby powietrznej. W ich młodych oczach widziałam obok fascynacji zazdrość. I pragnienie, by któregoś dnia go zdezonizować. Większość z nich próbowała już pisać: zawiłe w treści i „ambitne” książki, ważące tyle co pulchny noworodek. Nathaniel Bone, jak się wkrótce dowiedzieliśmy, przez dwa lata usiłował napisać książkę, ale w końcu zrezygnował. Sam doszedł do wniosku, że jego dzieło będzie przegadane. „Za duży natłok myśli”, ocenił jeden z jego przyjaciół, a był to rodzaj krytyki, którą Bone potrafił przełknąć, z której mógł się nawet cieszyć. „Ale wiesz, powinieneś pisać”, przekonywał go przyjaciel, „tylko nie beletrystykę”. Taki był początek długiej drogi, która doprowadziła Nathaniela Bonea pod drzwi Castlemana. Pierwszy list do Joego Bone napisał na drugim roku studiów w Yale. Zaadresował go na wydawnictwo, z prośbą o doręczenie.

Szanowny Panie Castleman,

Siedzieliśmy wczoraj wieczorem z grupa przyjaciół w akademiku w Silliman College i bawiliśmy się w „Portrety”. Gra polega na tym, aby odgadnąć nazwisko znanej osoby, opisywanej za pomocą pytań zawierających pewne instynktowne tropy. Na przykład: jakim ta osoba jest zwierzęciem? Gdy nadeszła moja kolej, pomyślałem o Panu i pozwoliłem sobie opisać Pana w następujący sposób:

Jakim ta osoba jest zwierzęciem? Panterą.

Jakim kamieniem szlachetnym? Opalem.

Którym z Beatlesów? Johnem, oczywiście.

Jakim instrumentem muzycznym? Fagotem.

Jakim jedzeniem? Kaszą gryczaną z pikantnym sosem.

Jaką częścią anatomiczną ciała? Mózgiem.

Jakim urządzeniem gospodarstwa domowego? Elektrycznym otwieraczem do puszek.

Nie wiem, oczywiście, czy w Pana rozumieniu którakolwiek z tych odpowiedzi nabiera sensu, ale postanowiłem wysłać ten list, a wraz z nim słowa największego uznania dla Pańskiej twórczości. Jestem jej wielkim miłośnikiem, odkąd w szkołę średniej przeczytałem Orzech.

Z wyrazami szacunku

Nathaniel Bone

Skr. poczt. 2701

Oddział Poczty. Yale, New Haven

Joe odpisał, rozbawiony inteligenckim tupetem młodego człowieka. Podziękował mu w liście za mile słowa oraz za odstąpienie oczywistej i niezbitnej prawdy, że w głębi duszy jest kaszą gryczaną z pikantnym sosem. Na tym właściwie miała się skończyć korespondencja, tyle że Nathaniel Bone napisał do Joego po raz drugi i wysłał przesyłkę już nie na adres wydawnictwa, lecz bezpośrednio do nas, posiłkując się adresem nadawcy, jaki znalazł na kopercie z Weathermill. W przesyłce znajdował się

esej Bone'a, jeszcze z pierwszych lat studiów, na temat jednego z opowiadań Joego, zatytułowanego *Drzewo papierosów*. Chłopak zawarł w nim tak wnikliwą analizę i trafną interpretację tekstu, że Joe przyznał ze zdumieniem, iż nie spotkał się dotąd z tak inteligentnie napisaną recenzją swoich dzieł.

- Spójrz tylko. - Joe podsunął mi esej.

Przeczytałam go i nie mogłam się nie zgodzić z Joem co do przenikliwości i lotności autora, ale czułam jednocześnie, że prawdziwym tematem eseju nie było wcale opowiadanie Joego Castlemana, lecz błyskotliwość Nathaniela Bone'a.

Mijały lata, a Bone nadal pisywał listy. Chwalił zwykle jakieś opowiadanie, powieść czy artykuł Joego albo po prostu dzielił się myślami na ich temat. Joe odpowiadał czasem w paru zdaniach podziękowań. Zapewne już wtedy powinnam była zauważyć, że Nathaniel Bone szykuje sobie grunt i widzi dla siebie szczególne miejsce w świecie Josepha Castlemana. Powinnam, ale jakoś uszło to mojej uwagi. Miałam go za jednego z wielu czytelników i wielbicieli, którzy nie mają pomysłu na życie i trwonią czas na szukanie kontaktu ze swymi idolami. Ale Bone był nadszpodziewanie sumienny i konsekwentny w swojej korespondencji. Nie ukrywał ani wiedzy, ani oczytania. Pysznił się przed Joem jak paw i czarował go, nawet jeśli jednocześnie Joe czarował też jego.

W taki oto sposób *dziesięć* lat po pierwszym krótkim liście nieustająca korespondencja przywiodła tego młodego człowieka do naszego domu i kuchni. Stał koło lodówki, bawiąc się magnesem w kształcie banana, poprawiając ciągle włosy, usiłując w domu ulubionego pisarza zachować pozór swobody, zrobić dobre wrażenie na jego żonie i sprawić, aby jeszcze tego wieczoru, kiedy jego już nie będzie, rozpoczęła z mężem taką mniej więcej rozmowę:

- Och, ten chłopak, co tu był...

— Bone? - odpowiedziałyby Joe zmęczonym głosem, ziewając.

- Tak.

— To już przecież nie chłopak.

- Masz rację. Jest w nim coś niezwykle ujmującego, to chyba ktoś nieglupi.

- O tak. - Joe przytaknąłby głową. - Bone jest bardzo inteligentny, momentami olśniewający.

- Dał mi mały prezent, wiesz? Poczłówkę ze Smith College z tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku.

- To ładnie z jego strony. Bardzo trafiony pomysł. To naprawdę niebanalna osoba. Wydaje mi się, że wyrośnie z niego nie byle kto.

Oboje pokiwalibyśmy głowami, chwając Bone'a i zastanawiając się, dlaczego nasz syn nie jest taki jak Bone, nawet wyobrażając sobie, że to Nathaniel jest naszym synem, bo przecież takiego syna chcielibyśmy mieć, a nie rozgoryczonego i ponurego chłopaka, nie spełniającego żadnych nadziei, a niekiedy nawet gwałtownego. I położylibyśmy się spać i zapadli w głęboki sen stroskanych rodziców, rozpamiętując sympatyczną postać przyszłego biografa Josepha Castlemana.

Ale nie, to tylko fantazja: Nathaniel Bone nie był naszym synem, a Joe, choć kochał sławę, nie miał zamiaru zostać bohaterem poważnej rozprawy biograficznej. Oznaczałoby to dla niego tyle, że musiałby się zastanowić nad życiem i pogodzić z jego nieuchronnym końcem. Panicznie bał się śmierci. Nie mniej bał się snu, próby generalnej przed śmiercią.

Oczywiście powstały już książki na jego temat: niegrube i nie zauważone na rynku, publikowane przez wydawnictwa uniwersyteckie, ani nazbyt szczegółowe, ani wyczerpujące, pozbawione pieprzu i pozbawione życia. Biografia pióra Nathaniela Bone^ byłaby z pewnością inna, wnikliwa, gruntowna i intrygująca - przysparzałaby autorowi rozgłosu.

Joe odmówił.

Tamtego dnia obaj zamknęli się najpierw w gabinecie Joego. Posiedzieli tam trochę, wypalając po cygarze, a potem wyszli do sklepu Schuylera. Kupili tam pudełko „Śniezek”, które Bone w demonstracyjnym geście solidarności także zajądał, zachwalając przy tym ich wybornosć, jakby dla każdego dorosłego

mężczyzny przepadanie za „Śnieżkami” było czymś oczywistym. Usiedli przy stoliku w ogródku przed sklepem, połykali słodkie, gąbczaste pianki, a Bone wyjaśniał, dlaczego on, a nie kto inny powinien zająć się biografią Castlemana.

- Prędzej czy później ktoś musi to zrobić i to mogę być ja - brzmiał koronny argument.

Każdy przeciętny pisarzyna, przekonywał Bone, przedstawi Castlemana w sposób jednowymiarowy: posepny, wychowany bez ojca dzieciak z Brooklynu, który powoli zmienia się w wybitnego literata. Ale on, Nathaniel Bone, zadał sobie w ostatnich latach trud, by rzetelnie zbadać twórczość Castlemana, i będzie jedyną kompetentną osobą, która we właściwy sposób ożywi jego obraz, tchnie w biografię nutę autentyzmu i przedstawi go takim, jaki jest.

- Jak w tamtym liście wiele lat temu - próbował dalej. - Pisałem w nim o zabawie w „Portrety”, pamięta pan? Jakim jest się zwierzęciem, drzewem i tak dalej? Właśnie taki portret namalowałem w tej książce, pełen treści i istoty rzeczy. Wszyscy pana czytelnicy zrozumieliby, kim pan naprawdę jest, nie myśli pan?

To ostatnie zdanie, jak miemam, mogło być ostatnim gwoździem do trumny niedoszłego biografy. Żaden pisarz, którego znam, nie miałby najmniejszej ochoty, by ludzie zrozumieli go właśnie w taki sposób.

Joe wziął do ust różową piankę; wręcz słyszę to delikatne, purchawkowe puf!, które rozległo się w jego buzi, gdy odgryzał puszysty kawałek.

- Nie myślę.

Chwila kłopotliwego milczenia.

- Nie myśli pan?! — Bone był tą odmową więcej niż zaskoczony, był wstrząśnięty, długo nie wiedział, co powiedzieć. - Znam taki dowcip - ratował się, jak mógł. - Wchodzi Kartezjusz do knajpy, siada, nie mówi ani słowa i pattzy na barmana, aż w końcu barman mówi: „Whisky chyba dobrze panu robi, nie myśli pan?”, na co Kartezjusz odpowiada: „Nie myślę” i znika. He, he...

Joe kiwnął głową z uznaniem i uśmiechnął się pod nosem. Jakoś nie zniknął, będzie nadal żył na świecie, nawet jeśli Nathaniel Bone nie napisze jego wspaniałej biografii. Bone długo zajmował się pisarzem, dogłębnie studiował jego twórczość, pracowicie pisał do niego listy, publikował artykuły na jego temat i po co to wszystko? By skończyć przed jakimś zafajdanym marketem, w nieznannej dziurze, na jakimś nowojorskim zadupiu, pakując sobie do ust ohydne, stojące w gardle pianki kokosowe i usłyszeć *NIE*?

Teraz nastąpiło krótkie przymilanie się, wdzięczenie i błaganie, potem seria pochlebstw i żałosnych gróźb. Wydawało się, że lada chwila Bone wybuchnie płaczem. Był kompletnie zaskoczony, że Castleman odmówił jego prośbie, bo przecież na palcach jednej ręki można by zliczyć ludzi, którzy mu kiedykolwiek odmówili.

Joe był jednak nieugięty. Spokojnie i kulturalnie, ale stanowczo powtarzał swoje nie; tyle razy, ile razy było trzeba, by w końcu Bone zrozumiał, że Castleman nie zmieni zdania. W końcu wstał, ciągle drżąc, otrzepał z koszuli okruchy wiórków kokosowych, podniósł z godnością głowę i spojrzał na Joego.

- Wie pan, ja i tak napiszę tę książkę.

Joe przytaknął.

— Zrobi pan to, co uważa za słuszne — powiedział. — Wszyscy to robimy.

Brak objawów jakiegokolwiek zaniepokojenia ze strony Joego prawdopodobnie doprowadził Bone'a do wściekłości. Dlaczego nie udało mu się choćby poruszyć Castlemana? Czego trzeba, by wielki pisarz zauważył człowieka? Bone jeszcze nie wiedział, że mężczyźni, do których świat należy, nie zdobywają go dlatego, że są wielkoduszni, wspaniałomyślni i okazują zainteresowanie innymi ludźmi. Zdobywają świat dlatego, że dbają wyłącznie o siebie. Sami rozpalają płomień własnej sławy. Niekiedy ktoś im pomoże, przejdzie obok i zapyta:

- Co takiego robisz?

— Rozpalam płomień własnej sławy.

- Och, czy mogę trochę pomóc?
- Ależ oczywiście, podaj trochę drewna.

Bone był wściekły, choć nie dał tego po sobie poznać. Parę miesięcy później zawarł z dużym wydawnictwem umowę na napisanie nieoficjalnej biografii Joego i od tej chwili między obu mężczyznami trwał stan zimnej wojny; łatwo wyczuwalnego napięcia, wzajemnej ostrożności i nieufności. Po prostu się nie lubili. Bone był wszechobecny, jak księżyc nocą. Przez długie lata pojawiał się na wszystkich odczytach, panelach dyskusyjnych i spotkaniach literackich, w których uczestniczył Joe. Był nawet na festiwalu literackim „Hay-on-Wye” w Walii, na który nas zaproszono. Nathaniel siedział w pierwszych rzędach, w swych rozpoznawalnych z daleka różowych okularach.

Teraz, dziesięć lat po wizycie w mojej kuchni, Nathaniel Bone siedział wygodnie w miękkim fotelu, w InterContinental w Helsinkach, jak zawsze wypatrując i wyczekując Josepha Castlemana.

- O Boże - szepnęłam do Joego, który ciężko westchnął.

Niespodziewanie, po naszej gorącej sprzeczce, poczuliśmy nagły przypływ małżeńskiej solidarności.

- Jasne, znowu jest - burknął Joe. - Gdzie jak gdzie, ale tu nie mogło go zabraknąć. Byłoby wręcz podejrzane, gdyby się tu nie pokazał.

- Pewnie tak - odpowiedziałam. - Podejdz do niego. Musisz.

- Witaj, Nathanielu! — Z wymuszonym uśmiechem na twarzy Joe wyciągnął do niego rękę.

Uścisnęli dłonie, porem Nathaniel pocałował mnie na powitanie w policzek. Staliśmy przez chwilę, rozmawiając o tym i owym, aż wreszcie Joe skinął głową, mruknął pod nosem „to do zobaczenia”, odwrócił się i po prostu odszedł.

Przywilej sławnych ludzi. Odszedł, nie uważając, by zachował się wobec Bone'a niegrzecznie. Myślami był już gdzie indziej: na scenie Opery Helsińskiej, gdzie jutro odbierze nagrodę, na uroczystym bankiecie, który potem nastąpi, wśród błysków fleszy i powszechnej uwagi, o której marzy każdy z nas, ale której większość z nas nigdy nie dostąpi. Nawet się o nią nie

ocieramy, najwyżej w markecie z elektroniką pocujemy lekki zawrót głowy, zobaczywszy swoją twarz na ziarnistym ekranie monitora: „To ja, w telewizji”, pomyślimy sobie z ulatniającym się szybko, smutnym poczuciem dumy.

Ruszyłam za Joem, posyłając Nathanielowi krótki uśmiech, ale zaraz przypomniałam sobie, że Joe zaprosił do naszego apartamentu gości na hotelowe *hm d'oeuvres* i drinka: swego agenta literackiego Irwina Claya i obecnych w Helsinkach pracowników wydawnictwa. Zupełnie nie miałam ochoty uczestniczyć w tym spotkaniu, toczyć pustych rozmów o Joem, nagrodzić i przejściach ostatnich dni. Obróciłam się więc na pięcie i wyszłam z hotelu. Uzbrojona w plan miasta wyszłam na bulwar Mannerheima, gdzie sklepy zapraszały kolorowymi witrynami z asortymentem różnorakich delikatnych tkanin lub telefonów Nokii, tak malutkich i płaskich jak pudełko tabletek na ból gardła. Zbliżyło się popołudnie. Nie było późno, ale niebo już ciemniało, wróżąc długą, bezsłoneczną zimę. Raptem kątem oka zauważyłam, jak z boku ktoś równa się ze mną krokiem. Nathaniel Bone. Znowu! Najwyraźniej szedł za mną już od hotelu.

- Joan... - odezwał się niemal błagalnym głosem. - Zapraszam na drinka. Jesteśmy w Finlandii - dodał. - Nie możesz odmówić.

Na mojej decyzji zaważył zapewne fakt, że znajdowaliśmy się w dalekiej, północnej krainie. Może to dziwne, ale tak chyba było. Wyobraziłam sobie, jak pijany Bone samotnie wążę się ulicami Helsinek po zmroku, jak zamroczony potrąca ludzi albo jak siedzi w barze nad kieliszkiem, nie mając do kogo się odezwać i z kim słowa zamienić. Fiński, z niepojętym nagromadzeniem fonetycznych hieroglifów, akcentem na pierwszej sylabie i jakimś ogólnym, krowim muczeniem towarzyszącym każdej konwersacji, najpewniej nie był dla cudzoziemca przyjaznym językiem. „Jestem sam na końcu świata, ty jesteś na tym samym końcu świata, więc napijmy się”, zdawali się mówić tu do siebie ludzie.

Ponieważ więc nikt inny nie wypiłby tu drinka z Nathanielem Bone'em, przyjąłam zaproszenie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

No, dobrze. Nie dlatego poszłam z Bone'em na drinka. Ale dlatego, że siedzenie przy stole z kimś, z kim Joe nie chciałby mnie widzieć, sprawiło mi niewystępowaną przyjemność. Odczuwałam ją, mimo że nie mówiłam nic ważnego ani dwuznacznego. Weszliśmy do znanej w Helsinkach restauracji „Złota Kopuła”; nad naszymi głowami, przez ogromne, ukośne okno, w dachu widać było zabytkową Cerkiew Uspieńską.

- Cebulaste kopuły - zwrócił mi uwagę zachwycony Bone.

Ale mnie już męczyły te wszystkie „fińskości”: kopuły, architektoniczne triumfy Saarinen i Aalto, wędzone ryby, twarde moroszki, Longfellow i poetyckie wersy *Kalevali*. Sączyliśmy wódkę z tonikiem i toczyliśmy sztywną rozmowę na temat podróży, Helsinek, różnych ludzi, których tu spotkaliśmy, na temat tego, czym Finowie różnią się od innych Skandynawów.

— Po tylu latach życia pod sowieckim straszakiem mają kompleks niższości - wyrokował Bone. - Dlatego ustanowili Helsińską Nagrodę Literacką. Żeby ich kraj błysnął w świecie, żeby podniósł się jego prestiż. Zresztą, rzeczywiście tak się stało. Co roku Finowie ekscytują się, który wielki pisarz zjedzie do ich stolicy, a Finlandia na kilka dni skupia na sobie międzynarodowe zainteresowanie. Każdemu tu dzisiaj zależy, żeby zaprosić Joego i żeby się z Joem pokazać. Mnie nie wyłączając. Wiem, mogłabyś pomyśleć, że kieruje mną tylko zawiść i chęć dokuczenia drugiemu człowiekowi, ale to absolutnie nieprawda. Nic nie mam przeciwko niemu. To wspaniały pisarz. Zasługuje na tę nagrodę.

— O, rak - przytaknęłam. - Zasługuje.

— Szkoda, że nie mogę tych słów zacytować w mojej książce, Joan — powiedział Bone z nutą smutku w głosie. — To byłoby coś.

— Nie możesz...

— Wiem, wiem. - Machnął ręką. - Ale nawet gdybym mógł, sam cytat nie oddałby wszystkiego. Nie oddałby tej modulacji głosu ani tonu, jakim wypowiedziałaś to słowo: „zasługuje”. Przy lekturze nie czułoby się tego brzmienia.

— Tak? A co wyczułeś w tym brzmieniu?

- No, wiesz... Zazdrość - orzekł krótko i wrzucił sobie do ust kawałek orzecha.

Siedzieliśmy w półmroku wewnątrz „Złotej Kopuły” nad drinkami i talerzami, na których leżały starannie zawinięte, miękkie, smaczne naleśniki. Bone wydawał mi się jeszcze bardziej obcy niż ostatnim razem, jeszcze bardziej tajemniczy i pokrętny. Był już dojrzałym człowiekiem. Niebawem skończy książkę, nad którą pracuje z przerwami od dziesięciu lat. Joe opublikował w tym czasie cztery nowe powieści.

Siedzieliśmy przy stole w „Złotej Kopule” i poczułam raptem, że żal mi Nathaniela Bone'a. Uganiał się za Joem od tak dawna, minęło naprawdę wiele lat, i oto spotykamy się w dalekim kraju, wszyscy troje, starsi, inni, zmienieni przez upływ czasu, ani trochę tak atrakcyjni jak dawniej, ani trochę tak przekonujący. Kto przeczyta książkę Nathaniela Bone'a, gdy wreszcie ujrzy ona światło dzienne? Być może bardzo niewielu, choć zaliczka, jaką otrzymał dziesięć lat temu, była pokaźna; pieniądze rzędu takich, których sumy wymienia się w branżowych pismach, jakby chcąc pokazać, że ktoś trafił szóstkę w najbardziej dolarodajnym przedsięwzięciu branży wydawniczej. Praca nad biografią Joego zabrała Bone'owi o wiele więcej czasu, niż przewidywał, a w świecie literackim wiele się w tym okresie zmieniło.

Joe był już tylko reliktem dawnej epoki, postacią ciągle znaczącą, jednak powoli zstępującą z parnasu. Sprzedaż dwóch jego ostatnich powieści rozczarowywała. Teraz wielcy pisarze byli zu-

pełnie inni. Nie dość, że pokazało się mnóstwo młodych, zuchwałych, drapieżnych wilków, to coraz częściej do głosu dochodziły kobiety. To już nie był 1956 rok, kiedy nieśmiało zapisywałam się na jego zajęcia z literatury.

Powieściopisarką od pewnego czasu najgłośniejszą była Valerian Qaanaaq, Inuitka z Labradoru; kobieta młoda i piękna, z czarnymi włosami, zielonymi oczami i ostrymi, białymi jak śnieg zębami. Twierdziła, że wychowała się w klasycznym igloo zbudowanym z lodu i darniny, co u niektórych wywołało drwiny i falę gorzkiej krytyki. Podniosły się głosy, że jest szarlatanką i zaszła tak daleko tylko dzięki umiejętnemu wykorzystaniu swego wizerunku, charakterystycznego wyglądu i nietypowego pochodzenia etnicznego, że w igloo spędziła ledwie parę miesięcy, a tak naprawdę mieszkała w zwykłym domu z anteną satelitarną na dachu. Po maturze Qaanaaq skończyła St. Hilda's College w Oksfordzie, a pierwszą powieść wydała w wieku dwudziestu trzech lat. Nosiła ona tytuł *Wieloryb*, a opowiadała o pięknej wielorybniczce i młodym deputowanym brytyjskiego parlamentu, który popadł w obsesję na jej punkcie. Powieść była długa niemal jak Biblia i obfitowała w sceny tyleż pełne erudycji, ile sprośne i awanturnicze, nieustannie przenosząc czytelnika z Labradoru na Downing Street 10 w Londynie i z powrotem; była odważna, prowokująca i irytująca, z wydzwiękiem panetnicznym, i z miejsca zyskała sobie popularność zarówno w Ameryce Północnej, jak i Europie. Kiedy byłam młodzieńką studentką, Valerian Qaanaaq nie było na świecie. Teraz jej powieść jest powszechnie uwielbiana, a ja jestem stara. Wydanie *Wieloryba* w twardej oprawie sprzedawało się w łącznym nakładzie półtora miliona egzemplarzy. Na końcu książki znalazł się słowniczek.

Qaanaaq była fenomenem nowych czasów, ale nie ona jedna; do tego samego nurtu zaliczano parę innych powieściopisarek: kobiet, które pisały dobre książki w sposób bardzo męski, co mocno mnie uderzyło. Próbowałam nie zwracać uwagi na to pisanstwo, bo już sam fakt, że zaistniało, wpędzał mnie w podłe

nastroje. Lepiej jest mi pozostać wśród dinozaurów: Leva, Joego i innych. Lepiej być nieszczęśliwą i czuć się oszukaną, niż z otwartymi ramionami witać nowy chów, którego nie pojmowałam i do którego nic mnie nie ciągnęło.

Bone pochyłał się ku mnie nad stolikiem, czułam jego ciepły, nieświeży oddech.

- Słuchaj, skoro oboje znaleźliśmy się na samym końcu świata, moglibyśmy szczerzej porozmawiać. Może powiesz mi coś ciekawego. Moglibyśmy umówić się na dłuższe spotkanie, opowiedziałabyś mi o wszystkim, co chcesz ludziom powiedzieć.

- Czyli, twoim zdaniem, niby o czym?

- Nie chcę mówić za ciebie — oświadczył. — To nie byłoby w porządku. Ale doskonale wiem, Joan, że masz coś do powiedzenia. Ludzie mówią o tym od dawna.

- Jacy ludzie? O czym?

- Choćby pewna dobra znajoma moich rodziców, skoro domagasz się konkretnego przykładu - rzucił od niechcenia Bone.

- Och, tak? Kto to taki?

- Pewna starsza kobieta. Poznałem ją jeszcze w dzieciństwie w Kalifornii — zaczął wolno, ważąc słowa, wyraźnie spięty, bębniąc nerwowo palcami w blat stołu. — Mieszkała z mężem parę ulic dalej - ciągnął. — On był takim niespełnionym artystą, co to maluje na sprzedaż kawałki drewna znalezione na plaży. Ona była psychiatrą, podobnie jak moi rodzice, z tym że ona była, że tak powiem, trochę szurnięta, angażowała się w nowe trendy i alternatywne terapie. Ale lubiłem ją; to był taki typowy osobnik płci żeńskiej lat sześćdziesiątych z długimi, dyndającymi kolczykami w uszach, w długiej, hipisowskiej sukni w kwiaty. Kobieta otwarta, podejmująca każdy temat i na każdy temat mająca zwiariowane poglądy. Miała córkę, nieco ode mnie starszą. Dziewczyna była inteligentna, kuta na cztery nogi, mój starszy brat dobrze ją znał, drukowała wiersze w młodzieżowych pisemkach...

- No, dobrze — przerwałam niepewna, do czego Bone zmierza. — Co dalej?

- Otóż ta kobieta, ta terapeutka, wcześniej już była mężatką - powiedział. - Tamto małżeństwo jednak źle się skończyło, mąż zostawił ją z dzieckiem i zniknął. Ale ona się nie poddała, zaczęła nowe życie, podjęła nową karierę zawodową. Tymczasem jej pierwszy mąż stał się bardzo sławny — mówił beztroskim głosem. — To wybitny powieściopisarz...

- Cholera, tylko nie to... - wyrwało mi się.

Bone odwrócił szybko wzrok, jakby chciał przeprosić za to, co powiedział, jakby zakłopotano go faux pas, które popełnił. Ja byłam rzeczywiście zakłopotana, wręcz zażenowana. Przez chwilę trwało milczenie.

- W porządku, Nathaniel - powiedziałam w końcu, unosząc dłonie. - Wiem już, dlaczego tu jesteś. Wiem, do czego zmierza cała ta sensacyjna historyjka i jej po kolei odsłaniane akty. Dobrze, udało ci się mnie zaskoczyć. I co?

- Przepraszam — mruknął. — Mogę już nic więcej nie mówić. Zapędziłem się?

Pokręciłam przecząco głową. Dobrze wiedział, że będę chciała wysłuchać wszystkiego, co ma do powiedzenia, co stało się z obiema kobietami, porzuconą żoną mego męża i ich córką, Fanny, które przepadły w zakątkach słonecznej Kalifornii.

- Carol była niegłupią osobą, chyba czuła się skrzywdzona przez życie, wiele o tym opowiadała moim rodzicom - mówił Bone. - Opowiadała o pierwszym mężu, o tym, jaki był, o tym, jak po pewnym czasie przestała go nienawdzić. Mówiła, że nienawiść do niczego nie prowadzi i wygasa samoistnie, chyba że człowiek ją podsyca, podtrzymuje jak tłące się bierwiona. Nie wzbudzał w niej nienawiści, lecz głębokie zdziwienie. Ze szczerym rozbawieniem przyjmowała kolejne jego literackie sukcesy, ponieważ do końca nie wyzbyła się przekonania, że temu człowiekowi brakuje talentu, chociaż po krótkim namyśle dodawała zwykle, że „diabli wiedzą”.

Przyglądałam się Bone'owi. Był podniecony tym, co mówi, a jednocześnie wciąż mocno zakłopotany. Nie było w nim złości ani chęci pastwienia się nade mną. Widać było, że daje

się ponieść własnym słowom, jak badacz literacki, który odkrył na dnie starej szuflady bezcenny rękopis i pochłania go, delektując się jego szlachetnym smakiem.

Przez długie lata nie mieliśmy z Joem powodu, aby rozmawiać o Carol i Fanny. Znikły nam za horyzontem, jak postacie z niemodnej już powieści. Czasem tylko pytałam Joego, zwłaszcza o Fanny, która dzisiaj miała czterdzieści pięć lat. (Mój Boże, ta drobina, czterdzieści pięć lat!) Joe jednak kręcił głową i prosił, żebym nie podnosiła tego tematu, bo trudno mu o tym mówić i źle się potem czuje. Wiedzieliśmy, gdzie mieszkały, i mniej więcej wiedzieliśmy, czym się zajmowały. Ale nic ponadto. Na dobre osiadły w Kalifornii, matka była psychoterapeutką, a córka prawniczką. Te fakty były nam znane. Gromadziliśmy je i potwierdzaliśmy latami, w ostatnim czasie przez internet. Kontakty osobiste nie były jednak pożądane ani przez jedną, ani przez drugą stronę. Co prawda Joe usiłował z rzadka inicjować kontakt, żeby zobaczyć się z Fanny, z ciekawości i poczucia przyzwoitości, ale gdy dostawał odmowną odpowiedź, z ulgą przechodził do porządku rzeczy.

Odwiedził je tylko raz, na początku lat sześćdziesiątych, podczas promocji jednej ze swoich książek w Kalifornii. Wrócił wówczas do domu bardzo przygnębiony, ponieważ córka go nie poznała, nie wiedziała, kim jest, i nawet nie chciała wiedzieć. Bawiła się w malutkiej piaskownicy przed domem w Sausalito. Joe siedział okrakiem na drewnianej, zielonej ławeczce i próbował zadawać miłe pytania. Dziewczynka odpowiadała jednak monosylabami, aż w końcu, jak to dzieci, wyraźnie znudzona zaczęła śpiewać i w ogóle go nie zauważała.

Dom, w którym Carol i Fanny wtedy mieszkały, nie był duży, ale za to uroczy; „pokoje pomalowane we wzór wnętrza morskich muszli, w delikatnych kolorach, wszystko miało jakiś różowawy blask”, relacjonował Joe, „Carol nie wyłączać”, a kiedy spojrzał jej w oczy, nie miał pojęcia, kim właściwie ta kobieta jest i jakim cudem mogli kiedyś być małżeństwem. Wyrwana z kontekstu — przeniesiona z zimnego Nowego Jorku do sło-

necznej Kalifornii — stała się nieznajomą osobą. Także dziecko, w którego narodzinach miał przecież swój udział, wydawało mu się dalekie i nieznanne. Joe trochę to przeżył. Byłby bliski załamania, gdyby dłużej tam został i więcej nad tym myślał. Ale postanowił się nie załamywać. Pożegnał się z muszelkowym domem i szybko wrócił do nas.

— Powiedz mi coś więcej o córce — poprosiłam Bone'a. - Fanny. Jest radcą prawnym, specjalizuje się w prawie pracy. Tyle wiemy.

— Skończyła prawo na uniwersytecie Pepperdine w Malibu — powiedziała. - Nie ma męża. Bardzo oddana pracy. Osoba, jak sędzę, bez poczucia humoru.

— Joe próbował utrzymywać z Fanny kontakt — zaczęłam wyjaśniać, ale niezbyt przekonującym głosem. — Był bardzo zajęty — brnęłam. — Carol nie chciała przyjąć od niego pieniędzy. Nie chodziło zresztą o pieniądze. Po prostu nie chciała mieć z nim do czynienia. Potem on stał się sławny. Płynął czas. Mieliśmy własne dzieci. Ona chciała zamknąć tamten rozdział raz na zawsze.

Zamilkłam, wyławiając nagle z pamięci obraz malutkiej Fanny, leżącej obok mnie na łóżku Joego i Carol w Northampton. Szeptalam jej wtedy: „Zakochałam się w twoim tacie, wiesz? I bardzo chciałabym się z nim przespać”. Zrobiłam, jak chciałam, jakby nie miało to nic wspólnego ani z matką Fanny, ani z Carol, a tylko z Joem i ze mną, dwojgiem nami płynącymi na bezludną wysepkę, naszą własną malutką Bali.

Byliśmy okropni. Ja byłam okropna. To ja pchałam wszystko naprzód, ja odciągałam go od żony i dziecka, choć wówczas nie dostrzegałam w tym nic złego. Wysłuchiwałam tylko gorzkich wyrzutów Joego pod adresem żony, że nie chce z nim sypiać, że odgradza się od niego, jak może. Potrzebował seksu, potrzebował namiętnej miłości, potrzebował kobiety, ale Carol nie była dla niego kobietą. Ja natomiast byłam. Więc żona i dziecko się oddaliły, zeszły ze sceny, na której zagrały role statystek wypowiadających epizodyczną kwestię. Ich występ dobiegł końca. *Fanny i Carol wychodzą, proszę, scena po lewej. Carol*

bierze maleńką dłoń Fanny i porusza nią w górę i w dół w geście pożegnania.

— Cóż — mówiłam dalej po chwili. — Wiem, że to wszystko było złe. Nie wypadam w tej historii chwalebnie. Joe także nie. Wówczas chodziło mi po głowie tylko to, że Carol nie potrafi go uszczęśliwić. Zresztą, z tym orzechem... Ona naprawdę była trochę szurnięta.

— Taak. Orzech - uśmiechnął się. — Słyszałem o tym incydencie, znam go z jej punktu widzenia. Kiedy nim rzucała, nie miała zamiaru zrobić ci krzywdy, nawet nie celowała. Chciała tylko tobą wstrząsnąć, bo to nie był pierwszy raz...

— Co nie pierwszy raz?

— Przed tobą była inna kobieta. Jeszcze w Nowym Jorku, zaraz po ich ślubie - mówił Bone. - Jakaś studentka filozofii. Castleman ją także obdarował orzechem. Sam się przyznał, kiedy Carol przyparła go do muru.

— Och... — wydusiłam z siebie tylko, wyobrażając sobie furgonetkę pełną podpisanych orzechów włoskich, rozwożonych do rozmaitych pięknych kobiet.

— Kiedy usłyszała o tobie, przepełniła się czara gorocyzy. Miała dość - dodał Nathaniel.

Zawsze uważałam, że Carol zachowała się nie w porządku. Ale może po prostu nie potrafiła opanować wściekłości? „Przepraszam”, miałam ochotę powiedzieć do Carol. „Przepraszam”, miałam ochotę powiedzieć do Fanny. „Przepraszam za zrujnowanie życia”.

— Carol czuła się dotknięta, wręcz upokorzona tym, że zajęcie z orzechem Joe opisał w powieści. Uczciwie jednak przyznawała, że przynajmniej książka była znakomicie napisana. Zawsze gdy o tym mówiła, nie kryła zdziwienia. - Zapadła chwila milczenia, a potem Bone mówił dalej. - Mam nadzieję, że nie wścibiam nosa w nie swoje sprawy, Joan. Zawsze bałem się o tym rozmawiać z Joem, ale kiedy tak tu siedzę z tobą... Pomyślałem, że może to właściwy moment.

— Nie przejmuj się. — Znowu ja miałam być stroną, która podtrzymuje na duchu.

- Oczywiście znam wcześniejszą twórczość Joego — stwierdził nagle. — Zwłaszcza jedno opowiadanie jest dość szczególne, doszukałem się go w jednym z pomniejszych czasopism literackich, nosi tytuł *W niedzielę mleka nie ma*. Muszę przyznać, że nie należy ono do najlepszych.

- Wiem. Jest bardzo słabe - *zgodziłam* się i oboje się cicho zaśmialiśmy.

- Carol była zawsze zdumiona, że Joe zaszedł tak daleko — mówił dalej Nathaniel. - Wreszcie doszła do przekonania, że Joe musiał znaleźć swój styl dopiero po tym, jak ją rzucił, albo — wstrzymał na chwilę głos - po tym, jak spotkał ciebie. Carol mówiła, że jesteś jego muzą.

- W pewnym sensie byłam jego muzą — przyznałam.

- W świecie żydowskiego chłopca pojawia się jasnowłosa siksa.

- To ja. Podtrzymuję tradycję.

Zamieszaaliśmy drinki, przez chwilę próbowaliśmy pożartować. W końcu podnieśliśmy oczy i spojrzeliśmy na okienny prostokąt światła w suficie. Czas mijał nam jakoś dziwnie inaczej; niby przyzwyczailiśmy się do siebie, ale tak naprawdę wcale nie. Nathaniel podsunął mi srebrną miseczkę z precelkami, poczęstowałam się i trochę ich zjadłam.

- Mogłabyś wzbogacić moją książkę, wiesz, Joan? — odezwał się po chwili. - Masz wiele do powiedzenia, więc przemów. To byłby twój wielki feministyczny moment.

- Daj spokój, niepotrzebny ci w książce feminizm.

- Ale tobie jest potrzebny.

W pewnym sensie starał się mnie uwieść, jak kiedyś Joe. Jednak starzałam się i Joe też się starzał, a Bone był jeszcze młody. Nas już nie będzie na świecie, a Nathaniel Bone wciąż będzie w nim obecny, będzie pisał nową książkę, podpisywał nową umowę, będzie btylował w klubie „92 Street Y” na panelu dyskusyjnym pod tytułem: „Misja biografu a prawda”. Dlaczego mu nie powiedzieć? Łaknął tego; wiedział, że to we mnie tkwi. Chciał, żeby historia pisarza Josepha Castlemana *zatoczy-*

ła koło i zamknęła się klamrą, by nabrała sensu i zyskała finał, jak prawdziwa powieść.

— Nie będę cię popędział, Joan — powiedział Bone. — Zastanów się nad tym spokojnie. Mogę cię nagrać albo zrobić notatki, jak chcesz. Będziemy tu jeszcze przez jeden dzień, prawda? Jutro jest ceremonia wręczania nagrody, potem bankiet, będziesz nieuchwytna i niedostępna. Ja będę na dalekich galeriach dla maluczkich, dla orzeszków - zaśmiał się lekko. — Moglibyśmy się spotkać pojutrze rano. Powiedzmy o dziesiątej przed księgarnią naukową. Joe nie musi o niczym wiedzieć. Księgarnia jest przepastna jak pałac, tak jakby Finowie nie robili nic innego w życiu, tylko czytali książki. Zresztą, co innego mają do roboty w tak cholerną zimę, nie? Oczywiście, poza pić... Spotkalibyśmy się i zastanowiłabyś się, co dokładnie chciałabyś powiedzieć. Co ty na to?

Wzruszyłam ramionami. Na tyle było mnie teraz stać.

— Czuję, że chcesz ze mną porozmawiać — nie ustępował. — Jestem trochę terapeutą. Ludzie często mi to mówią.

— Może, ale złym terapeutą - odpowiedziałam. — Takim, który sprzedaje tajemnice innych ludzi.

— Prawda. — Bone kiwnął głową. — Moi rodzice byli dobrymi terapeutami, może dlatego ze mną nie jest tak idealnie. Dzieci psychiatrów już na starcie są pokręcone. Życie nie daje nam nawet szansy.

— Biedaczek...

— Wiem, że żartujesz, ale gdybyś rzeczywiście wiedziała, jak wygląda moje życie, to naprawdę byłoby ci mnie żal — westchnął. — Joan, masz dom, męża, dzieciaki, wnuki, krąg przyjaciół. Ja nie mam nic. Tylko pracę. Tylko biografię Castlemana. To jest całe moje życie. Moje dziecko. Doprawdy, nic dobrego.

Po tych słowach Bone poprosił szybko o rachunek i przez kilka następnych chwil zgadywał, ile *markka* i *pennid* musi wysupłać z portfela. Podnosił każdą monetę pod światło, każdej przyglądał się bacznie, spozierając przez swoje różowe okulary, rozszyfrowując nominał i obliczając wartość, a przecież nieba-

wem euro zmiecie te drobiazgi w niebyt - nowy cios dla miłych i dumnych Finów. Zostawiłam Bone'a w restauracji — zagubiony wśród liczb i nominałów marszczył brwi nad cienkimi jak bibułka banknotami — i ruszyłam w mrok stolicy, nie większej od byle amerykańskiego miasteczka, wiedząc, że tutaj nikt mnie nie rozpozna na ulicy, a ludzie trącają się o siebie jak samochodziki w lunaparku.

Z moim udziałem czy nie, napisana przez Bone'a biografia Josepha Castlemana będzie zawierała fakty, które dla wielu ludzi są tajemnicą poliszynela. Swego czasu, może trochę zbyt podstarzali na takie rzeczy, przez krótki okres braliśmy miękkie narkotyki. Nigdy jednak nie dopuściliśmy, by wywarły wpływ na nasze życie. W końcu lat sześćdziesiątych każde z nas dawno już skończyło trzydziestkę. Wyobraźcie sobie: Joe w pasiastych dzwonach i barwnej chuście w „tureckie” wzory pod szyją, włosy długie, spięte w koński ogon, oczy lekko zamroczone i zasnuwane dymem ze skręta (potem zapobiegliwie wkrapiał sobie do oczu krople „Visine”, przekręcając komicznie głowę), śmieje się bez powodu z czegoś, co w ogóle nie jest śmieszne. Ja z kolei w spódnicy „maksy” lub modnej wówczas, jednorazowej „papierowej sukience” do kolan, w dużych szklach na nosie i z pękiem polnych kwiatów. Włosy miałam długie, rozpuszczone, z przedziałkiem na środku. Jeśli dobrze pamiętam, miałam co najmniej pięć różnych chust, które zakładałam przy okazjach licznych wieców, krzykliwych marszów, biesiad i hulank, a wszystko traktowałam bez cienia ironii.

Jednak bardziej chore od tego, jak wyglądaliśmy, było to, co robiliśmy. Przywołując niezniszczalny pretekst „zbierania materiałów do książki”, Joe wnikł w tajemny świat swingujących par; już samo określenie „swinging” jest wystarczająco chore. *Ou sont les „swingers” tfantan?** Gdzie? Jeśli jeszcze żyją, to za-

* „Gdzie swingerzy z tamtych lat?” (franc).

pewne prenumerują pisma, które uczą, jak zdrowo żyć, niańczą wnuki, dbają o przyrodę i łykają różne wyciągi z miłorzębu, żeby nie zapomnieć wszystkiego, co niegdyś przeżyli, choć wielu rzeczy byłoby lepiej nie pamiętać.

Pewnego razu, „szukając materiałów do książki”, ubrany w dzwony i ciemne okulary, Joe trafił do klubu o nazwie „Niecna Jama” w okolicach West Fifties na Manhattanie. Była tam dziewczyna, u której zostawiało się rzeczy, była koedukacyjna sauna i zatopiona w mroku sala, w której mężczyźni i kobiety leżeli na pluszowych dywanikach i uwodzicielsko rozchylali przed sobą poły szlafroków.

Raz jeden tam poszłam, bo Joe bardzo nalegał. Mieszkaliśmy jeszcze w Village. Dzieci zostały w domu z opiekunką. David siedział przed telewizorem i oglądał *Star Trek*, a dziewczęta ubierały biedne i bezradne chomiki w sukienki dla lalek. Zamówiliśmy taksówkę i ruszyliśmy do miasta odurzeni lekko jointem, którego naprędce wypaliliśmy w łazience przy naszej sypialni, gdzie dzieci nie miały wstępu.

Wejściówki do „Niecnej Jamy” były niebotycznie drogie, ale Joe zapłacił bez zmruczenia oka. Weszliśmy do wnętrza po miękkim, purpurowym dywanie, jaki mogłabym wyobrazić sobie w drobnomieszczańskim domu, zarządzonym w bardzo złym guście. Niektórzy z gości byli młodzi i piękni i szybko się odnajdywali. Srarsi, mniej ciekawi i mniej urodziwi, stali samotnie w przydługich szlafrokach - mężczyźni obojętnie, jakby rzeczywiście przyszli tylko do sauny, a kobiety dumnie, nadrabiając miną, wciągając brzuchy, z których zapewne wyszło niejedno dziecko, a wszyscy delikatnie kołysali głowami w rytm psychodelicznej muzyki z kręgu San Francisco, płynącej z rozwieszonych w czterech kątach głośników kwadrofonicznych.

Joe i ja mieściliśmy się mniej więcej pomiędzy tymi dwiema grupami: zbyt starzy, by być wyzywająco pięknymi, ale jeszcze dość młodzi, by nie odstręczać. Weszliśmy do sali przez dźwiękochłonne, tapicerowane drzwi, za którymi poczuliśmy się jak w zamkniętej lodowce. Usiedliśmy na kanapie, której konsy-

stencja (uświadomiłam to sobie lata później) przypominała konsystencję ukochanych „Śniezek” Joego. Byliśmy na hajku, roześmiani i rozbawieni, choć aura, jakiej ulegliśmy, zbliżona była bardziej do atmosfery panującej w poczekalni gabinetu badań mammograficznych niż w jaskini seksu i wyuzdania.

Wkrótce pojawił się wodzirej, młody, przystojny chłopak z długą nad miarę fajką wodną i wszyscy zgromadzili się wokół niego. Podawaliśmy sobie fajkę z rąk do rąk, z bulgotem zaciągając się dymem. Do dziś pamiętam towarzyszące temu uczucie wstrętu, kiedy przerażona nie spuszczałam oka z zaślinionego ustnika; rzecz obrzydliwa, jednak nie do uniknięcia przy rytuale gromadnego palenia fajki wodnej. Pomyślałam też wówczas, że jeśli odpycha mnie widok ustnika zaślinionego przez obcych ludzi, to pewnością nie znajdę dla siebie nic atrakcyjnego w grupowym seksie. Tymczasem mężczyzna z fajką zrzucił z siebie szlafrok i delikatnie, jakby dla próby, dotknął mojej szyi. Joe patrzył, jak nachyla się, by mnie pocałować, choć byłam od niego o dobre dziesięć lat starsza. Z drugiej strony przysunęła się do mnie młoda kobieta, która musnęła wargami mój kark. Miała ciemne opadające na ramiona włosy, wyglądała jak cherubinek, drobna, czarnooka, z powodzeniem mogłaby zostać dublerką Audrey Hepburn.

Nie mogę powiedzieć, że noc nie była upojna; owszem była, nawet zwierzęco upojna, tak jak zwierzęce są pot, rytmiczność i ciężki oddech. Pata małżonków, na imię mieli Don i Roz, zajmowała się mną bez reszty, a Joe się przypatrywał. Mąż miał duże dłonie, jego żona niespotykane małe usta: obdarzała mnie ciepłymi pocałunkami, niespiesznie i z pauzami, jakby nagle zapominała, co robi, a po chwili znowu sobie przypominała. „Jesteś taka delikatna”, szeptała mi w ucho, jak dziecko zdradzające największy sekret i oczekujące w zamian równie ważnego wyznania. Ale nie umiałam jej nic powiedzieć. Joe patrzył. Widziałam, jak opiera się wygodnie o ściannę wyłożoną miękką tkaniną, jak przechyla głowę z wyrazem najwyższego uznania.

Zastanawiałam się, jakie byłoby moje życie z kobietą — z dala od świata mężczyzn, od ich jazgotu, ciągłej potrzeby aprobaty i głaskania, potrzeby pieśczoć i tulenia, jakby w głębi duszy całe życie wiedli w „Niecnej Jamie”, odsłaniając tors spod szlafroka i pragnąc, by jakaś kobieta zerwała z nich wreszcie całe okrycie i uczyniła ich szczęśliwymi. Po pokoju sennie przechadzali się mężczyźni i kobiety. Przez wszechobecne opary dymu wyczuwałam cierpkie oddechy niepewności, jakby ktoś zastanawiał się, czy znajdzie dziś przyjemność i czy poły jego szlafroka rozchyla jakieś ciepłe nieznajome dłonie.

Kiedy wychodziliśmy z klubu, wschodziło słońce. Następnego dnia czułam niesmak, raz na zawsze kończąc swoją jednorazową, biseksualną przygodę i wymazując z pamięci tamtą chwilową ucieczkę od mężczyzny, z którym związałam się na całe życie w radosnym przypływie dziewczęcego optymizmu.

Oprócz takich historii Nathaniel Bone z pewnością wspominałby także o tym, co zaszło między Joem i Levem Bresnerem 20 grudnia 1973 roku, w jego przestronnym mieszkaniu przy Riverside Drive. Do tamtego dnia Joe nigdy nie użył wobec nikogo siły - ani razu. Wydaje mi się, że ludziom zajęтым wyłącznie sobą trudno jest wyjść z siebie i rzeczywiście zadać komuś ból. Spory i kłótnie, które toczyliśmy — dotyczące jego kariery zawodowej, pieniędzy, dzieci, nieruchomości, niekiedy kobiet — bywały gwałtowne, nawet bardzo, ale nigdy nie doszło do rękoczynów.

- Nienawidzę, jak to robicie! — krzyknęła kiedyś Alice, gdy była mała, a my wdaliśmy się w zajadłą kłótnię. - Czy choć raz możecie zachowywać się inaczej?

— To tato ma trudności z dobrym zachowaniem — odpowiedziałam jej stłumionym, cichym głosem, dochodząc do siebie, łapiąc oddech. — Taki mamy problem.

Alice i Susannah płakały i błagały, byśmy się nie kłócili, a pewnego razu podczas spokojnego, rodzinnego obiadu Susannah wręczyła Joemu kartkę sztywnego papieru, oklejoną walentynkowymi ozdóbkami, na której napisała:

*Jeśli ty i mamcia krzyczeć przestaniecie,
Uwierz, tatku, szybko się dowiecie,
Jak was mocno kocham.*

Joe zalał się łzami.

Zerwał się od stołu i ukląkł przed krzesłem starszej córki. Wyciągnął do niej ręce, przygarnął ją do siebie i potracił przy tym szklankę z mlekiem, które rozlało się po podłodze. Przestraszona Susannah zaczęła chlipać. Alice też zaniósła się wysokim, jakimś nie swoim płaczem.

- Wszystkie was kocham, moje słodkie kurczaczki — mówił Joe. - Nigdy, przenigdy nie pozwolę was skrzywdzić. Czasem robię głupstwa. Wielkie głupstwa. Spytajcie mamę. Ale się poprawię. Przepraszam.

— Wybaczam ci — oświadczyła po dłuższym milczeniu Alice.

Susannah, drżącym głosem, powtórzyła słowa siostry, a David nic nie powiedział, jadł dalej obiad, jak gdyby nigdy nic.

Zastanowiło mnie, jak błyskawicznie Joe wybrnął z kłopotu, jak gładko mu poszło, jak szybko okazał skruchę i łatwo uzyskał przebaczenie. Pięcioletni David nie odezwał się jednak ani słowem, przyglądał się tylko wszystkiemu chłodnym, krytycznym wzrokiem, i muszę powiedzieć, że bardzo go za to wówczas podziwiałam.

Nie, Joe nie był człowiekiem gwałtownym. W każdym razie do 20 grudnia 1973 roku, kiedy w domu Bresnerów wspólnie obchodziliśmy święto Chanuki. Jak co roku pokoje ich mieszkania wypełniła ciepła woń pieczonych placków ziemniaczanych. Malutka Tosha uwijała się w beżowej kuchni, z drewnianą łyżką w jednej dłoni i talerzem z górą placków w drugiej. Działała sprawnie, jak jednoosobowa taśma fabryczna, ścierając na miazgę ziemniaki i cebulę, formując z nich kulki, małymi, czerwonymi, odmrożonymi niegdyś dłońmi, a potem rzucając je na skwierczącą na patelni oliwę, by już kilka chwil później zebrać je na talerz, gdy idealnie zbrazowały i uzyskały odpowiednią soczystość, wprawiającą gości w stan błogości i zapomnienia

o wszystkim, co złe. Zony, gryząc cudowne placki ziemniaczane, zapominały o niewierności mężów, a mężowie zapominali o nerwach związanych z literackim wyścigiem szczurów, którego trasa biegła zwykle przez ich ciała i fatalnie wpływała na przemianę materii.

- Pomóc ci w czymś, Tosha? - zapytałam, wchodząc do kuchni.

— Och, jesteś taka dobra, Joan — westchnęła. - Mogłabyś zanieść to do pokoju? Nasi panowie umierają z głodu. Są nienasytzeni jak zwierzęta. Mam nadzieję, że to wystarczy. — Podała mi półmisek z plackami i zachichotała głośno, trochę nerwowo, jak mi się zdało.

W salonie kobiety i mężczyźni stali wśród menor domowej roboty, rozmieszczonych dookoła w odpowiednim porządku. Wszyscy przyglądali się, jak zabarwione świece spływają woskiem i przemieniają się w ogarki, popijali piwo lub wino i rozmawiali przy hałaśliwym dudnieniu Jefferson Airplane. Nie wiedzieliśmy jeszcze, że niebawem pożegnamy rocka, przekazując go w spadku naszym dzieciom, prawowitym właścicielom, że niebawem będziemy w stanie tolerować wyłącznie muzykę, przy której się wychowywaliśmy: swing big-bandów, jazz, klasykę. Nic innego nie będzie już władne wnikać w nasze siwiejące głowy.

O czym rozmawialiśmy? Królował wtedy jeden całodobowy temat: Nixon tu, Nixon tam, Nixon siam, wszędzie i zawsze ta sama twarz pyzatego jamnika, sensacje-rewelacje Watergate, zawiłe elaboraty i dworski gawot Białego Domu. Goście w salonie rozdzielili się na mniejsze gromadki i każda z nich, niczym oliwa na patelni Toshy, wypryskiwała raz po raz głośnymi w aferze nazwiskami: Haldeman. Ehrlichman. Zawsze ze śmiechem Martha Mitchell, gaduła, której buzia się nie zamykała. Nie znosiliśmy żadnej z tych postaci, ale żywo naśladowaliśmy ich upiorną błazeńskość. Był początek zimy, święto Chanuki, osiem miesięcy później Nixon i jego biedna, nieśmiała, chudziutka żona Pat na dobre odlecia helikopterem z równo przystrzyżonych trawników Białego Domu.

Mężczyzn obowiązywały wówczas szerokie krawaty. Włosy, w środowisku pisarzy i uniwersyteckich profesorów, noszono ciągle długie, choć nie za bardzo, rozpuszczone lub zgarnięte w duży kołtun, zwany potocznie „żydowskim afro”. (Gwoli ścisłości, w domu Bresnerów nie było ani jednej czarnoskórej osoby. Owszem, poznaliśmy kilka w latach sześćdziesiątych, kiedy zaangażowaliśmy się w działalność ruchu na rzecz praw obywatelskich, także później tu i ówdzie zdarzało się nam spotkać jakiegoś czarnoskórego pisarza, ale nie zadomowili się oni na dobre w naszym otoczeniu; albo znikali, albo my zrywaliśmy kontakt.) Zony natomiast nosiły sukienki w kolorze indygo lub kasztanowatym, a na szyi latynoskie korale z paciorkami. Większość z nich już pracowała, bez wahania łąpały posadę lub stopień naukowy, szybko i zachłannie, jakby trwała towarzyska zabawa w krzesła, w której krzesel jest o jedno mniej niż uczestników, ale każdy chciałby usiąść.

Wniosłam do pokoju kolejny talerz z plackami ziemniaczanymi.

- Karma! — obwieściłam głośno.

Gromadki raptem się rozerwały, goście skupili się teraz wokół półmiska i zaczęli jeść, chwytając placki w palce i wpychając je sobie do ust, ze śmiechem parząc sobie języki. Kiedy Toshi udało się wyrwać z kuchni i pojawić w pokoju, rozległy się gromkie wiwaty na jej cześć, a ona, zawstydzona, zarumieniła się i nieśmiało spuściła oczy, nieprzyzwyczajona do aplauzów, które przecież i tak były tylko małym ułamkiem tych, jakie spotykały jej męża. Wyglądała na zbyt uszczęśliwioną, tak szczęśliwą, jakby raptem miała unieść się i gdzieś odlecieć. Delikatnie otarła dłonie o sukienkę, mrużąc coś pod nosem.

- Jesteś geniuszem, Toshi! - huczał słynący z gadulstwa Belstein, którego powieści opisują losy bohatera o nazwisku Felstein.

Belstein po ojcowsku ucałował Toshę w głowę, w miejsce, gdzie połykiwał jej czarny kok. Ktoś poczęstował ją drinkiem. Toshi, popijając wino, została na jakiś czas w pokoju, co zdarzało się jej rzadko, ponieważ w towarzystwie zwykła chować się

w najdalszy kąt, by nikt jej nie mógł dostrzec. Tosha przypominała mi chomiki, których cały rodzaj przewinął się przez pokoje naszych dzieci. Kiedy człowiek próbował te zwierzątka pogłaskać lub choćby dotknąć, uciekały i szybko się chowały w plastikowym tunelku w klatce. Takim tunelem była dla Toshy kuchnia, ale dzisiaj opuściła jej ciepłe i zaparowane wnętrze; w idealnym momencie, bo trafiając na osławioną bójkę dwóch sławnych mężów.

Jak to zwykle bywa, bójka zrodziła się z błahostki. Zwykła rozmowa, wymiana zdań, parę politycznych komentarzy i parę złośliwości na temat jednego z przecenianych przez prasę pisarzy nie najwyższych lotów, autora książek z dziedziny literatury faktu.

- Widziałeś jego zdjęcie w gazecie w zeszłym tygodniu? - pytał Joe. - Facet ma nos jak wulkan. Założę się, że trzyma w nim ryzę papieru.

- Kogo obchodzi jego nos? - zdziwił się Lev. - Śmiejesz się z nosa? Ze niby jest za duży?

- Ten facet to arogancki dupek - tłumaczył Joe. — A z takim nochołem wygląda jak snob, który go sobie specjalnie wyrzeźbił. Powiększył. Żeby wyglądać arystokratycznie. Jego książki są tak samo zakłamane, nawet ty to przyznasz.

- Co znaczy „nawet ja”? Jestem za głupi, żeby odróżnić brednie od prawdy, tak?

- Jeśli chodzi o tego akurat pisarza, to muszę powiedzieć, że dziwnie często przymykasz na niego oko - ciągnął nie zrażony Joe. - Zawsze bronisz go bez powodu.

- Och, wiesz, jest moim kochankiem... - rzekł Lev zniewieściałym głosem, przykładając sobie dłoń do czoła w teatralnym geście.

Krąg gości, pisarzy i wydawców wybuchł nieopanowanym śmiechem. O nie, ci faceci nie mają w sobie nic zniewieściałego, żadnej homoseksualności, żadnej hemofilii, nic, nic; czysta, zdrowa krew.

- Nie twoim kochankiem, tylko Żydkiem, zafajdanym kumplem po talmudowym fachu! - odciął się nerwowo Joe.

Zapadła cisza.

- Co? — wydusił z siebie Lev, mierząc Joego badawczym spojrzeniem, próbując głęboko zważyć, co rozmówca ma na myśli; już nieraz byłem świadkiem takiej sytuacji z udziałem Leva i któregoś z pisarzy, nigdy jednak nic takiego nie wydarzyło się między nim a Joem.

- Nic - burknął Joe.

- Ależ nie! Powiedz, proszę, co miałeś na myśli.

- Dobrze. Sam wiesz, że faworyzujesz Żydów. Nie zaprzeczysz - mówił Joe. — Wszyscy to mówią i tak jest. To twoja pięta achillesowa. W porządku, ja się z tym pogodziłem. Tylko nie próbuj odwracać kora ogonem, Lev, to nie jest żaden antysemitki wybryk z mojej strony, dobrze wiesz.

Lev nie ustępował jednak, analizował, rozkładał jego słowa na drobne części. Joe wstał, wyprostował się, twarze obu nabiegły krwią. Nie minęła *chwih*, a stali naprzeciw siebie, pokrzykiwali, obrażali się nawzajem i wytykali sobie to, co pisze drugi. Joe pisze „gówno największej nudy”, gorączkował się Lev, jego książki to „hucpa”, a on sam to „pretendent do wielce osranego tronu największego amerykańskiego grafomana”.

- Obozową przeszłość wykorzystujesz do otwierania sobie najważniejszych drzwi. — Joe nie pozostawał dłużny.

- Pierdol się! - krzyknął Lev.

- Sam się pierdol! - odkrzyknął Joe.

Wtedy Lev go uderzył. Joe zachwiał się, ale uderzenie nie było silne. Joe specjalnie nie ucierpiał, każdy ro widział. Doprawdy, nic strasznego. Zęby całe, ani wybite, ani ruszone; wargę lekko rozciętą, krwawiącą tyleż dramatyczną, ile spokojną strużką czerwieni. (Wargę, och, wargę, melodramatyczną, gdy leci z niej krew, ale, na Boga, nikt nigdy nie umarł z powodu rozciętej wargi.) Niemniej, pokazała się krew i przestraszyła Joego, gdy dotknął twarzy nasadą dłoni i zobaczył na niej lśniąca czerwień. Oddał znienacka. Mężczyźni zwarli się w niezdarnych zapasach, okładając się pięściami gdzie popadnie, kopiąc i wyzywając się od najgorszych: „ty łajdaku!”, „ry kutasie!”, „ty parchu!”, „ty łachu!”

Wtedy Joe dorzucił:

- Wiesz co? Chciałbym zobaczyć jedną twoją książkę, choćby jedyną, w której nie wolno byłoby ci użyć liter: ha, o, el, o, ka, a, u, es, te.

Goście stali, przerażeni i zaciekawieni, i patrzyli, jak zwarczi w uścisku pisarzy wpadają do sypialni siłą bezwładu. Był to pokój młodszej z córek Bresnerów, z różowymi ścianami i łóżkiem z baldachimem, na które Lev i Joe zwalili się jak kłody drzewa, przygniatając oazę równo ułożonych, wpółubranych lalek Barbie. Bogu dziękować, że mimo zaproszenia nasze dzieci nie chciały przyjść na przyjęcie, tłumacząc, że będzie wiało nudą i z nikim nie zamienią słowa, bo nie będzie nikogo w ich wieku. Teraz wszyscy zaczęli się tłoczyć w drzwiach sypialni, pokrzykując jeden przez drugiego, żeby się „opanowali”, „natychmiast przestali”, ale najwyraźniej nikomu nie zależało na tym, żeby rzeczywiście rozdzielić walczących.

Płonęłam ze wstydu. Nie chciałam nawet patrzeć. Miałam ochotę zapalić papierosa i wrócić do domu. Tosha z kolei wpadła w histerię.

- Jo an, rozdziel ich! Niech przestaną się bić! - krzyczała rozdygotana, wystraszona, przywierając do mnie jak dziecko; objęłam ją zaskoczona, że Tosha przejmuje się załosną walką kogutów.

Joemu tymczasem, ptzygniacionemu przez Leva, udało się sięgnąć do biurka i zdjąć z niego pierwszą rzecz, jaka nawinęła mu się pod rękę. Była to skakanka. Owinął ją jednym ruchem wokół chudej szyi Bresnera i zaciągnął mocno na sekundę; ryłko na sekundę, jednak wystarczająco długo, by męska część przerażonych gości rzuciła się z krzykiem na łóżko, chcąc powstrzymać Joego przed, jak się zdawało, niechybnym morderstwem. Pod ich naporem runął dziecięcy baldachim, a jego tkanina łagodnie opadła na kłębiących się pisarzy, poetów, eseistów i wydawców.

Jestem najzupełniej pewna, że Joe nie miał zamiaru zamordować Leva. Zrobił to na pokaz, by zademonstrować determinację i własną rację; dał gorszący pokaz gniewu, a zarazem wystawił niezłą humoreskę, w której przyszło mu wykorzystać

bodaj najbardziej absurdalny rekwizyt na świecie: kolorową skankę. Nie wszystkim jednak było do śmiechu. Ktoś wezwał policję. Joe został zabrany na posterunek, a ja, zła i przerażona, pojechałam za radiowozem taksówką. Nie wiadomo skąd pojawili się reporterzy. W domu przez całą noc ciągnęła się trudna i wyczerpująca rozmowa. Tymczasem w ambulatorium szpitala Columbia Presbyterian Lev Bresner poddawał szyję lekarskiej obdukcji. Opatrywało go kilka pielęgniarek, które nigdy nie słyssały nazwiska Lev Bresner, nie miały pojęcia, co zaszło, i nie zdawały sobie sprawy z dramatyzmu i wagi zdarzenia, z oddźwięku i konsekwencji, jakie za sobą pociągnie, ani z tego, że w życiorysach obu wielkich pojawią się brzemiennie słowa: „bójka” i „nienawiść”.

Tosha dostała leki na uspokojenie. W ambulatorium ciągle łkała i krzyczała. Wzywała rodziców: „Mamusiu! Tatusiu!”, którzy zginęli w obozie koncentracyjnym. Personel szybko się zorientował, że Tosha wymaga poważniejszej interwencji niż jej mąż. Ze względu na jej stan psychiczny chciano ją nawet zatrzymać w szpitalu na całodobową obserwację, jednak w końcu środki uspokajające podziałały i Tosha wróciła do domu razem z Levem.

Historia ciągnęła się miesiącami; najpierw musiałam wpłacić kaucję, potem sąd wyznaczył termin rozprawy, a w końcu Lev publicznie wycofał pozew. Nakłonili go do tego wspólni przyjaciele obu mężczyzn. „Daj spokój”, przekonywali; i przekonali. Było załamywanie rąk, były wyprawy w głąb duszy, były długie pisarzy rozmowy, był płacz nad żalostną i upokarzającą sytuacją, a w końcu Lev postanowił zrezygnować z rozstrzygnięcia sprawy przed sądem i panowie znowu zostali przyjaciółmi. Padli sobie w objęcia, przepaszali się, wylewali łzy, wycierali sobie nawzajem w koszule zapłakane oczy i mokre nosy, śmiali się, kiwali z niedowierzaniem głowami, a także opisali wspólnie całe zdarzenie dla wysokonakładowego, poważnego czasopisma literackiego. Wreszcie zafundowali sobie uroczysty obiad, na który zaciągnęli swoje niechętnie temu pomysłowi żony.

Szłyśmy i szłyśmy za nimi ulicami Nowego Jorku. Na dachu jakiegoś wyższego domu (nie pamiętam nawet, po co tam wchodziliśmy; zimno było nie do wytrzymania, zdaje się, że panowie chcieli popatrzeć na perspektywę miasta) Tosha odwróciła się do mnie i powiedziała cicho:

— Och, Joan, tyle okropnych rzeczy musimy przechodzić z tymi mężczyznami. Tak już będzie do końca.

— Tak ci źle? — zapytałam.

Zamilkła, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Nie zawsze - odparła szybko. - A tobie?

— Raz lepiej, raz gorzej — odpowiedziałam.

Spojrzałam na dachy, nieliczne wstęgi niemrawych dymów i rzekę Hudson z tyłu, której nurt, jeśliby się puścić nim na północ, zawiódłby nas wprost do domu w Weathermill, czekającego na nas w mroku i ciszy. Kiedyś lubiłam tam przebywać, lubiłam się budzić i słuchać skrzypienia drewnianych ścian i podłóg. Nawet lubiłam się budzić u boku Joego, najczęściej jeszcze śpiącego, z ręką pod głową, z zaciśniętymi mocno powiekami, by poranek nic nie odebrał mu ze snu pochwyczonego z takim trudem. Nie okłamywałam Toshy. Nie zawsze byłam nieszczęśliwa. Mieliśmy z Joem dobre chwile, zwłaszcza na początku małżeństwa. Lubiliśmy samotnie tańczyć w domu. Kochaliśmy się na stojąco przy ścianie. Potrafiliśmy razem upiec wspaniałe ciasto. Objęci i przytuleni chodziliśmy na spacer. Potem nastąpiła mała, krzepiąca stabilizacja, uspokojenie, ciche westchnienia ulgi. Takie chwile przychodzą w życiu każdego małżeństwa. Nawet Bresnerów. Nawet naszego.

Wtedy jednak, na dachu tamtego domu, obie stałyśmy smutne i zmęczone. Wydawało mi się, że Tosha ma ochotę opowiedzieć mi o każdym szczególe swego cierpienia. Ale nie chciałam jej za bardzo słuchać. Nie wiedziałam, że właśnie wtedy życie stało się dla niej nie do zniesienia, że już nie umie dać sobie tady z tym, przez co przeszła, ani z tym, co jeszcze ją czeka; skazana na wieczny męczący trucht za sławnym, prężnym i ambitnym mężem i na wchodzenie po metalowej drabi-

nie w środku nocy, by stanąć u jego boku na dachu wysokiego budynku.

To musiała być pierwsza połowa lat osiemdziesiątych, na pewno nie później, bo Tosha Bresner popełniła samobójstwo w 1985 roku. Nawet gdy dzisiaj o tym pomyślę, ciarki przechodzą mi po plecach. Nie umiała walczyć ze strachem, brakowało jej gruntu pod nogami, a pamięć o wymordowanych rodzicach i siostrach wracała częściej, niż można się było domyślać. Właściwie była wciąż obecna. Sprawiała, że Tosha potrafiła wyjść z pokoju, unikać spotkań i wymówić się od udziału w przyjęciu czy uroczystości. Zażywała leki przeciwdepresyjne i przedawkowe. Ale to nie pomagało. Nie udawało się zapomnieć. Aż do tamtej nocy, której połknęła całą fiolkę Xanaxu. Lev przebywał w Chicago, zaproszony przez uniwersytet do wygłoszenia serii wykładów na temat twórczości Carla Sandburga. (Słyszałam potem, że w Chicago mieszkała kobieta, dla której Lev stracił głowę - młoda rozwódka, właścicielka małej księgarni przy Clark Street, gdzie można było ptzysiąść z książką w skórzanym fotelu i poprosić o gratisową lampkę wina.) Następnego dnia wrócił w szampańskim humorze, po upojonej nocy i szczodrych dowodach miłości, i zastał Toshę martwą w ich małżeńskim łóżku, z rozrzuconymi bezradnie ramionami, jakby jeszcze chciała powiedzieć: „Co innego mi zostało?” Zadzzwonił do nas zapłakany, w szoku, w hysterii, a my natychmiast do niego pojechaliśmy.

Przez długie lata opłakiwałam Toshę. Winiłam Leva, choć to niesprawiedliwe. Po pogrzebie Toshy, kiedy wieczorem położyliśmy się do łóżka, plecami do siebie, wyraziłam Joemu swoje wątpliwości.

- Powinien był wiedzieć.
- Niby co? Ze nie wolno mu jej zostawiać i jechać do Chicago? Przecież nie miał pojęcia, co ona zrobi. Skąd miał wiedzieć? Boże, Lev jest zdruzgotany.
- Nie chodzi przecież o wyjazd do Chicago, lecz o wszystkie lata. Tosha pottzebowała bliskości drugiego człowieka jak mało

kto. Gdy była dzieckiem, straciła rodzinę. Wszystkich bestialsko wymordowano, rodziców, siostry, dziadków. Nie umiała z tym sobie poradzić. A potem Lev i jego kobiety. Ile ich było?

- Nie wiem — odparł sucho Joe.

- Przeciągnął strunę.

- Nie możesz przecież wiedzieć, co ostatecznie pcha człowieka do aktu desperacji. Nie możesz też wiedzieć, co sobie mówili, jak rozwiązywali ten problem między sobą.

Powiedział to, jakbyśmy my mówili sobie cokolwiek na ten temat i sami świetnie rozwiązywali podobne problemy. Jakbyśmy kiedykolwiek się zgodzili co do tego, że niepoahamowany pęd męczyzny do niewierności to rzecz warta najwyższych poświęceń.

Biografia Bone'a z całą pewnością nie pominie kobiet w życiu Joego. Będzie musiał wspomnieć o tym, jak Joe polował na kobiety, i o tym, jak one polowały na niego. Większość jego kobiet zapewne nigdy nie zechce zamienić słowa z biografem z własnej inicjatywy. Nikt też, jak dotąd, nie zdołał do nich dotrzeć. Wolały pisać własne wspomnienia z czasów, gdy były piękne i młode, a Joseph Castleman ulegał ich urokowi.

Kobiety jak Merry Cheslin, którą Joe poznał na werandzie domku letniskowego podczas słynnego seminarium literackiego Butternut Peak, latem 1987 roku.

Wydaje mi się mało prawdopodobne, by Joe nie zdawał sobie sprawy z tego, że wiem. Merry Cheslin obnosiła się z tym przecież tak, jakby chciała, żeby wiedzieli wszyscy. Można było odnieść wrażenie, że dziewczyna chodzi w słońcu z tablicą przewieszoną przez plecy i piersi, na której wielkimi literami napisała: RZNE SIĘ ZE SŁAWNĄ JOSEPHEM CASTLEMANEM. ZAJRZYJCIE W NOCY PRZEZ KUCHENNE OKNO DO MOJEGO DOMKU „BRZEZINA”. ZOBACZCIE, CO ZNACZY IŚĆ NA CAŁOŚĆ.

Nie było mi z tym dobrze; generalnie nie, ale w pewnym sensie nie zależało mi, bo cała ta Merry Cheslin, czarnowłosa Roszpunka z bajki, wydawała mi się żałosna i śmieszna. Była

wtedy młodziutka, liczyła sobie niewiele ponad dwadzieścia lat i nie kryła ambicji, by zostać pisarką, zresztą jak połowa uczestniczek seminarium. Spośród tej reszty wyróżniała się jednak olimpijską urodą. Była olśniewająco piękna i z pewnością miała tego świadomość. Już w szkole uroda Merry Cheslin była najważniejszą i niepodważalną cechą jej osoby, atrakcją, na którą można było liczyć każdego roku. („Och, patrz, Merry w szatni, jest jeszcze piękniejsza niż na koniec roku szkolnego, nie do wiary!”) Miała jedno marzenie: zostać znaną pisarką. Paliła się do tego niemiłosiernie, jak wiele dziewcząt. Chciała tylko pisać i wydawać książki. Całe jej życie podążało w jednym kierunku: znaleźć agenta, znaleźć wydawcę i zobaczyć swoją książkę w księgarskiej witrynie.

Zapewne mogłoby się tak stać, gdyby miała choć trochę talentu. Zapewne mogłoby się tak stać, gdyby miała na to pomysł i konsekwentnie go realizowała. Była tak silnie ukierunkowana, że jej nienasycona ambicja wyłaziła z niej jak sztydło z worka. Po jakimś czasie nie starała się nawet tego ukrywać. Przeciwnie, niech wszyscy wiedzą: ona, Merry Cheslin, zostanie wielką pisarką, jedną z tych, o których się słyszy i które się wszędzie widzi, wytworną, elegancką, czarnooką, która osadza akcje swoich powieści na Hawajach albo w Toskanii i dla której „całe miasto jest literackim bohaterem”, a przynajmniej takie poetyckie frazy padają w ich wywiadach. „Prowadzę pamiętnik”, wyznała Joemu pod koniec pierwszego dnia warsztatów w Butternut Peak i odwróciła wstydliwie wzrok, jakby zdradzała mu najskrytszą tajemnicę, jakby powiedziała mu coś traumatycznego, coś w stylu: „jak byłam małą dziewczynką, zgwałcił mnie stryjek”.

No dobrze, wymyśliłam to sobie. Nie było żadnego sztamucha; przynajmniej ja nic o nim nie wiem. (Ale gdyby był, miałby miękką oprawę z pikowanej tkaniny, a między jego kartkami byłyby wsunięte zasuszone liście.) Tak naprawdę nie wiem, co mu powiedziała, gdyż Merry Cheslin należy do ludzi, z którymi nigdy nie zamieniłam słowa. Nie mam pojęcia, o czym

rozmawiali po północy w domku „Brzezina”, w krótkich chwilach, kiedy nie objali się o siebie ciałami. Mogę to sobie jednak wyobrazić.

— Prowadzę pamiętnik.

Joe, który nie znosił pamiętników, którego przyprawiał o mdłości pomysł, by „pisać dla siebie”, w przeciwieństwie do „pisania dla innych” (nawet tak wytrawna pamiętnikarka jak Virginia Woolf musiała wiedzieć, że któregoś dnia zapisywane przez nią kartki ujrzą światło dzienne), spojrzął na nią i powiedział:

— To znakomicie. Jeśli rzeczywiście chcesz zostać pisarką, musisz dużo pisać. Pamiętnik to dobry początek.

Opowiadania Merry Cheslin były słabe. Akurat to wiedziałam na pewno, ponieważ, choć byłam tylko żoną, przeglądałam teksty omawiane potem przez Joego na plenerowych wykładach, podczas których słuchacze i wykładowca spoczywali na cedrowych leżakach, na łące z pięknym widokiem na Butternut Peak. Odbite na powielaczu, pachnące skrypty leżały na odrapannej komódce w naszym domku letniskowym „Jabłoń”. Ktoregoś wieczoru Joe siedział na werandzie jakiegoś innego domku i popijał poncz z wykładowcami seminarium - kobietami i mężczyznami. Kobiety raczej za łagodne, studentów traktowały życzliwie i przyjaźnie. Natomiast mężczyźni byli protekcjonalni i pewni siebie albo ulegli i trochę wystraszeni, ale na pewno szczęśliwi, że w ogóle znaleźli się na seminarium, ponieważ ich książki nie spotykały się z dobrym przyjęciem i tylko tu mogli poczuć się kimś ważnym.

Joe spędzał miło czas na sąsiedniej werandzie, a ja w tym czasie zgarnęłam z komódki plik studenckich prac, ułożyłam się wygodnie w łóżku i zabrałam do czytania. Natknęłam się na kilku naśladowców Joego, mężczyzn i w większości młodych, na kobietę, prawdopodobnie starszą, która używała pojedynczych odstępów między wierszami, a pod tytułem swej powieści, z całą pewnością nie nadającej się do publikowania, dopisała: „Prawa aurorskie do pierwszego i jedynokrotnego wydania na terytorium Ameryki Północnej: Gloria Bismarck. W przybliże-

niu 4213 słów", nad czym raczej należało płakać, niż się śmiać. Wyobraziłam sobie, że Gloria Bismarck to wdowa, żyjąca samotnie w jakiejś dziurze, a dwutygodniowe seminarium w Butternut Peak to największe wydarzenie w jej życiu. Z pewnością nie dostrzegał jej żaden z pisarzy pełniących tu rolę opiekunów akademickich, bo była stara, smutna i śmieszna, na nogach miała żyłaki i żaden mężczyzna nigdy już nie dotknie jej ciała i nikt nie przeczyta jej tekstów, chyba że pani Bismarck mu za to zapłaci.

Jak można się było spodziewać, rzecz miała się wprost odwrotnie z Merry Cheslin. Dziewczyna natychmiast wpadła w oko wszystkim panom w Butternut Peak. Kiedy lekkim krokiem weszła na werandę, ci jak na komendę podnieśli głowy znad tekstów i szklaneczek „Krwawej Mary”, otwierając w niemym zadziwieniu usta, chłonąc jej zapach, pragnąc od tej kobiety czegoś nieokreślonego i wielkiego tylko z powodu jej oszałamiającego piękna, jedynej rzeczy, jaką mogła się pochwalić. Jej twórczość była beznadziejnie słaba. Usiłowała pisać poetycko i melancholijnie, a jednocześnie tajemniczo i mrocznie. Chciała oczarować niewinnością, a zarazem sprawić, by nikt nie mógł się jej oprzeć. Opowiadanie, które oddała Joemu, *Świętojańskie lato*, było nijakim, nudnym i rzewnym wspomnieniem wakacyjnym zakochanej nastolatki.

Mimo że brakowało jej talentu, to potrafiła o sobie myśleć, a mój mąż zaciągnął ją do łóżka w jej jednoosobowym pokoju w domku letniskowym „Brzezina”, i zadzierał jej kusą, obcisłą sukienkę. Co ja w tym czasie robiłam? Siedziałam w naszym pokoju, w domku „Jabłoń”, czyściłam zęby nitką dentystyczną i zastanawiałam się, ile dni zostało do wyjazdu z Vermontu.

Na jakichkolwiek seminariach i konferencjach żony są dla mężów kulą u nogi. W ciągu tych dwunastu dni, zawsze gdy wychodziłam z naszej „Jabłoni” i ruszałam przed siebie ścieżką, zewsząd słyszałam przyjazne pozdrowienia: „Witaj, Joan!”, „Piękny dzień, prawda Joan!”, „Hej, Joan, wybieracie się z Joem na piknik do sadu?”

Ludzie mnie lubili, ponieważ byłam nie tylko żoną, ale żoną samca alfa, jego suczką. Samca alfa, który zdradzał mnie bezwstydnie, tznąc się z jakąś latawicą w „Brzezynie”, dosłownie dwa domki dalej, oddzielonej tylko „Dębiną” i „Sekwoją” oraz wielką drewnianą jadalnią, przy której unosiły się przykre zapachy letniego biwaku, a umyte, ciepłe szklanki, ogrzewały mój sok pomarańczowy do temperatury, w jakiej brałam wieczorną kąpiel.

W jadalni siedziałam obok Joego, naprzeciwko innych żon i ich mężów pisarzy. Bywało, że przy stole siedziała pisarka, a obok niej mąż, ale w większości takich związków mężowie nie przyjeżdżali na seminarium, wymawiając się brakiem czasu i obowiązkami służbowymi. Kręciło się też kilkoro dzieci, ale nie naszych. Nasze były już dorosłe i wiodły życie z dala od takich miejsc. Przy stołach panował dobry humor i dowcip wysokich lotów, niezbędny podczas konferencji literackich, ponieważ w przeciwnym razie każdy musiałby stwierdzić, że znalazł się wśród dzikusów z sosnowego lasu, zapatrzonych narcystycznie w siebie, pozbawionych uśmiechu i jakiegokolwiek grzeczności.

— Nie wybierzesz się do miasta? — zapytała mnie jedna z żon.

Liana Thorne, cicha i skromna kobieta, zawsze kojarząca mi się z patyczakiem, który potrafi zmienić kolor i stać się całkowicie niezauważalny dla otoczenia. W jej oczach tliła się gorąca nadzieja. Mąż Liany, Randall Thorne, był kiedyś wziętym pisarzem, jednak ostatnie jego książki regularnie trafiały na półki z przeceną. Ponieważ jednak przyjaźnił się z kierownikiem seminarium, od lat był zapraszany do Butternut Peak.

Po południu, kiedy nasi mężowie prowadzili warsztaty literackie - a siedząca naprzeciw Joego Merry Cheslin wbijała w niego wzrok i zapisywała w notatniku każdą wypowiedzianą przez niego myśl, „drugi głos narratota”, „dobrowolna rezygnacja z niedowierzania fabule (Coleridge)” — wsiałam do zdezelowanego yugo Liany Thorne i z dwiema innymi żonami, Dusty Berkowitz i Janice Leidner, pojechałyśmy do miasta.

— Wreszcie wolna, wreszcie człowiek może się urwać — za-

piszczała z radości Dusty Berkowitz, gdy samochód minął bramę ośrodka Butternut Peak. - Dzięki Ci, Boże Wszechmocny, nareszcie wolna!

Zaśmiałyśmy się cicho, a Janice powiedziała:

- Nawet Martin Luther King nie musiał przez to przechodzić!

- On może nie, ale jego żona, owszem.

- Takim nie jest łatwo... — westchnęła Liana.

- Komu? Murzynom?

- Nie, jednym z tych. - Machnęła ręką za siebie. - Pisarzom, których każdy chce słuchać. Ludziom, którzy w oczach innych trzymają klucz do wszystkiego i mają na wszystko odpowiedź. Tymczasem Randall stara się, jak może, ale nie daje już rady. Mówi, że po prostu nie ma już sił.

„Złudne marzenia, Randallu”, powiedziałam sobie w duchu, wiedząc, że mąż Liany musi zazdrościć Joemu sławy i prestiżu.

Dojechaliśmy do miasta, znalazłyśmy parking i nie bez trudności wydostałyśmy się ze skrzypiącego autka. „Oto samochód, na jaki stać większość pisarzy”, myślałam, „brzydki i ciasny, prawdopodobnie mało bezpieczny, z uczelnianą plakieta parkingową wciśniętą za tablicę rozdzielczą”. Choć w kwestii wierności małżeńskiej cała czwórka naszych mężów miała coś za uszami, to jedynie Joe oddawał się romansom z takim wigorem. Stanęłyśmy przed witryną sklepu z rękodziełem Stowarzyszenia Artystów Vermontu i zaczęłyśmy głośno podziwiać tkaninę, kolor i ścieg ręcznie szytych chust. Potem, jedna po drugiej, zatopiłyśmy się we wnętrzu sympatycznego sklepu, by dotykać miękkich materiałów, sycić oczy pięknymi barwami i niezwykłymi wzorami. Delikatnie przesunęłam palcami po fałujących włóknach jedwabnego, granatowego szala, jakby to były miękkie, rozpuszczone włosy.

Włosy Merry Cheslin były jeszcze ciemniejsze. Podniosłam szal i odruchowo wtopiłam twarz w jego ciepłą miękkość.

- Przepiękny, prawda? - U mojego boku pojawiła się młoda ekspedientka. - Dzieło miejscowej artystki. Jest niewidoma. To doprawdy niezwykle.

Czym Merry Cheslin mogła się pochwalić poza pięknymi włosami, pielęgowanymi dobrą odżywką, poza marną prozą i nieziemskim ciałem, które można rozpostrzeć na łóżku jak kocyk, jak ów granatowy szal, jak towar? Joe tego potrzebował, to było silniejsze od niego. „Takim nie jest łatwo”, mówiła Liana Thotne, a ja nigdy się nie zastanawiałam, co ma być w tym takiego trudnego. Czego tym mężczyznom brakowało? Czego jeszcze było im trzeba? Czego nie potrafiłyśmy im dać?

Dawałyśmy im wszystko, co mogłyśmy. Wszystko, co miałyśmy, należało do nich. Nasze dzieci należały do nich. Nasze życie należało do nich. Nasze niemłode, sterane ciała także należały do nich, choć zdawało się, że coraz rzadziej ich potrzebują. Moje ciało nie było złe. Wciąż nie jest złe, ale przecież właśnie teraz, gdy kryję twarz w granatowym jedwabiu, Joe zatapia wzrok w oczach kobiety, z którą jeszcze dziś wieczorem pójdzie do łóżka w jej domku letniskowym.

Stałam wśród tych pięknych rękodzieł Stowarzyszenia Artystów Vermontu i po prostu wybuchłam płaczem. Pozostałe żony, zaskoczone i zaniepokojone, wyprowadziły mnie szybko ze sklepiku i znalazły wolny stolik w wegetariańskiej kawiarence po drugiej stronie ulicy, gdzie usiadły ciasno wokół mnie w odruchu kobiecej solidarności.

- Podziwiam cię - stwierdziła krótko Janice, gdy ze łzami w oczach wyjawiałam im przyczyny swego załamania. — Naprawdę. Każda z nas widzi, co Joe wyrabia tu każdego lata, a ty tak dzielnie to znosisz, jakby... w ogóle cię to nie obchodziło.

- Nie miałyśmy pojęcia, że to cię boli - mruknęła Dusty Berkowitz. - Sądziłyśmy, że... że jesteś ponad to. Jakbyś o wszystkim wiedziała, ale miała to gdzieś. Jakbyś nad tym panowała.

Wytarłam nos w brązową, grubą serwetkę z kawiarnianego stoliczka, siedziałam cicho i słuchałam tych słabych słów pocieszenia. Dlaczego właśnie Merry Cheslin zaszła mi za skórę? Przecież Hołły, jedna ze studentek Joego, w ogóle nie obeszała mnie poprzedniego lata w Butternut Peak. Dlaczego właśnie przez autorkę *Świętojańskiego lata* rozbeczałam się jak dziecko, w skle-

pie w centrum miasteczka, w obecności kobiet, których niemal nie znam?

Nigdy wcześniej żaden jego romans nie doprowadził mnie do takiego płaczu, a w każdym razie nie przy ludziach, jeśli nie liczyć samego Joego. Zakładałam, że jego miłosne przygody nie stanowią dla mnie zagrożenia, żadna bowiem z kobiet, z którymi sypiał, nie posiadała krzty talentu, Merry Cheslin nie wyłączając.

Lecz jeśli talent nie miał żadnego znaczenia, przynajmniej gdy chodziło o jego kobiety? Może brak talentu wręcz stanowił pewnego rodzaju zabezpieczenie dla Joego? Może Cheslin spodobała mu się właśnie dlatego, że była kiepską pisarką? Może czuł się pewniej, kładąc się u boku kobiety, która nigdy nie będzie dla niego literackim wyzwaniem?

Tak, czuł się pewniej i bezpieczniej.

Jestem całkownie przekonana, że Joe romansował z Merry przez wszystkie dwanaście dni seminarium w Butternut Peak; od pierwszego do ostatniego. Wydawał się tam człowiekiem naprawdę szczęśliwym. Cieszył się wszystkim. Z chęcią podejmował rebusowe gry, które młodzi kelnerzy, także uczestnicy seminarium, lubili inicjować podczas obiadu.

— Czas na Vabank w Butternut Peak! — krzyczał wieczorem szef kelnerów, tłuściutki, dwudziestotrzyletni student historii literatury, a reszta kuchennego personelu radośnie podchwytowała pomysł. - Wita państwa gospodarz programu, Aleksander Kaczor Solżenicyn! - mówił dalej, wywołując salwy śmiechu.

Potem następowała seria trzech „odpowiedzi”, do których troje uczestników zabawy miało sformułować pytania; byli to Lucy Bloodworth, potulna, małomówna kobieta, autorka całkiem niezłych opowiadań, Harry Jacklin i Joe, nakłaniany okłaskami i komplementami, wpychający sobie właśnie do ust porcję puddingu w syropie.

Parodiując ton literackiego wykładu, tłuścioch wyznaczył Joe-mu pierwsze zadanie. Zostanie odczytany króciutki fragment jego najnowszej powieści, a Joe będzie musiał ów fragment uzupełnić.

— Uwaga, cytuję! - Tłusciuch podniósł rękę. - „Shirley Breen nie była kobietą zbyt zachłanną. Nikt nie mógł powiedzieć o niej: Patrzenie, idzie Shirley Breen, ta, która pożąda rzeczy, których mieć nie może. W istocie Shirley pragnęła w życiu tylko jednej rzeczy, której nie była w stanie zdobyć...” - tu zawiesił teatralnie głos.

To nie było trudne. Odpowiedź, oczywiście podana w formie pytania, powinna brzmieć tak: „Kto pragnął mieć... kieliszek, z którego piła wódkę Mae West? Co najmniej jedna czwarta osób w restauracji pottafiłaby wytecytować te słowa zgodnym chórem. Ale Joe siedział przed nimi z głupim uśmiechem, draapał się po głowie i wyglądał na człowieka, który absolutnie nie wie, jak wybrnąć z opatów.

— Bojku, bojku - jęknął w końcu. - Toście mnie zbili z pantałyku. Straszne, teraz znacie moją największą tajemnicę.

— Cóż to za tajemnica? — zainteresował się mistrz ceremonii. Spojrzałam na Joego z zainteresowaniem.

— Cierpię na Alzheimera. Beznadziejny przypadek. Zwykle nie pamiętam zdania, które napisałem minutę wcześniej. No, teraz możecie mnie zastrzelić.

Wtedy w kawiarence długo płakałam, bardzo długo. Trzy żony pochylały się nade mną, dotykały moich dłoni i pocieszały, a przynajmniej starały się pocieszać.

— Czuję się podle - mówiłam. - Tak podle. Wstaję tano, wychodzę przed ten domek i wiem, że wszyscy wiedzą. Myślicie, że jestem głupia i śmieszna, prawda? Ze jestem żałosna?

— Skąd! - zapewniały jedna przez drugą. - Wcale nie! Każda z nas po cichu cię podziwia!

„Podziwia”, ale kim dla mnie są te kobiety? Siłą rzeczy przyjaciółkami i towarzyszkami niedoli; żonami znużonymi życiem i stęsknionymi za czymś nowym, których kariery rzadko spotykały się z jakimkolwiek zainteresowaniem.

— Liano, jak twoja działalność społeczna? — zapytał ją podczas któregoś popołudniowego pikniku jakiś student, choć nie było odpowiedzi, która odwróciłaby jego uwagę od daleko bar-

dziej zajmującego tematu: słynnego pisarza, siedzącego w cieniu drzewa i plującego pestkami z arbuza.

- Wciąż się udzielasz w ruchu na rzecz uchodźców, Joan? — zapytała mnie innym razem Jeannie, starsza, nieśmiała poetka, która słyszała wcześniej o mojej pracy charytatywnej.

Dałam jej wymijającą odpowiedź, długą na tyle, by nie zrywać niegrzecznie rozmowy, ale nic ponadto. Wydawała się trochę rozczarowana. Naprawdę była zainteresowana tym, co robię. Joe z ogromną przesadą rozwodził się nad moją działalnością, jakby chciał wytworzyć u wszystkich przeświadczenie, że stopień mojego zaangażowania powinien budzić oczywisty szacunek.

— Nie mam nic - łkałam cicho, a żony przekonywały mnie, że to nieprawda, że mam bardzo wiele i potrafię ludziom wiele dać, że wszędzie jestem mile widziana, że, jak stwierdziła Janice Leidner, „mam swój styl i swój rozum”.

— Zawsze uważałam, że masz bogate życie wewnętrzne — mówiła Dusty Berkowitz.

- Wszystkie mamy życie wewnętrzne — odparłam.

- J a nie - zaśmiała się szczerze. — Koń jaki jest, każdy widzi.

Dusty Berkowitz, pięćdziesiąt pięć lat, pomarszczona skóra na ogorzałym od słońca dekolcie, włosy rzadkie i rude jak rydz; dawno już przestała istnieć dla swego męża.

Janice Leidner, owszem, tę mąż jeszcze zauważał, ale jakby w obrysie: widział raczej ogólny jej obraz niż jakieś szczegóły.

Liana Thorne, osoba o melancholijnym usposobieniu, wielkim sercu i łagodności, jej mąż pragnął tylko jednego: by widziano w nim mężczyznę, zdrowego przedstawiciela męskiej społeczności. Robił wszystko, by nie wypaść z tego elitarnego klubu, i nie chciał mu się trwonić sił ani czasu na żadne inne zainteresowania.

I wreszcie ja, smukła blondynka, coraz starsza, ale dobrze zachowana w formalinie długiego małżeństwa. Małżeńskie soki utrzymywały mnie przy życiu, napędzały mnie jak niewidzialne turbinki. Pływaliśmy z Joem w tym samym naczyniu. Ja samotnie, kiedy Joe zniknął, by całować jędrne części ciała Merry Cheslin. Zawsze jednak do mnie wracał.

Wrócił także tamtej nocy. O trzeciej nad ranem. Wszedł do naszej „Jabłoni”, wolno otwierając drzwi sypialni i stając w bladym świetle korytarza.

-Joan? Nie śpisz?

Wszedł do pokoju, wnosząc z sobą zatęchłą, gorzkawą woń wypalonych papierosów, wchłoniętą przez włosy, swetot, pory skóry.

Wyrwana z głębokiego snu podniosłam głowę.

— Nie, nie... Nie śpię.

Zawsze tak mówiłam, nawet jeśli spałam.

Rzucił się ciężko na łóżko; odymiony, otumaniony mężczyzna, za stary już na dzinsy, lecz noszący je z uporem. Czy miał zażawione od błękitnego dymu zasnuwającego pokoje, w których przebywał, najpierw na raucie boskich pisarzy i pokornych studentów, a potem w miejscu intymnej schadzki w „Brzezynie”, gdzie rzucał się na identyczne łóżko jak moje, jednak z kobietą, która w niczym nie była do mnie podobna.

O trzeciej rano tego lata, podobnie jak w poprzednie lata i w te, które miały jeszcze nastąpić, byliśmy razem — mąż i żona, połączeni wspólnotą, w środku mglistej, vetmonckiej nocy. Nad domkiem śmigały wokół sosen nietoperze. Czasem można było zobaczyć, jak wiszą nieruchomo pod daszkiem werrandy, przybrawszy kształt zamkniętej portmonetki. Pograżony w mroku las błyskał od czasu do czasu żrenicami zwierząt, a noc upływała przy nierytmicznym akompaniamencie chrobotania w podłodze, wydawanego przez robactwo, którego miałam nadzieję nigdy nie zobaczyć, lecz z którym godziłam się mieszkać przez dwanaście dni pod jednym dachem. On był ze mną; spałam razem z nim i każdego ranka budziłam się razem z nim, dzień w dzień, a to o wiele więcej, niż można było powiedzieć o Merry Cheslin. Minęło lato. O pisarce Merry Cheslin nigdy nie usłyszeliśmy. W księdze pamiątkowej, podsumowującej paroletnie spotkania w Butternut Peak, napisała takie słowa:

„Jestem rozwódką — mówi o sobie Merry Cheslin. — Nie mam dzieci. Nigdy nie wydałam żadnej książki (ech, cóż...),

ale ogromną satysfakcję przynosi mi praca w małej firmie, produkującej komputerowe programy edukacyjne (w Providence na Rhode Island), gdzie, choć może trudno w to uwierzyć, niezwykle przydaje się doświadczenie, jakie zdobyłam podczas letnich przyjazdów do Butternut Peak..."

W biografii Nathaniela Bone'a pojawi się zatem Merry Cheslin, przynajmniej w jakiejś zawołowanej formie. Pojawią się też inne kobiety — te, z którymi Joe nawiązywał dłuższe znajomości podczas wizyt na uniwersytetach, te poznane całkiem przypadkiem, a także niektóre nowojorskie dziennikarki. Były kobiety młode i urodziwe, w przejrzystych bluzeczkach i kowbojskich butach, i były ułożone absolwentki college'ów, które szukały pracy w wydawnictwach.

Poza kobietami znajdzie się w biografii miejsce na „usiłowanie zabójstwa” Leva Bresnera, a także na niespodziewany atak serca i operację wymiany zastawki — epizod literacko nieefektywny i wybitnie nieerotyczny, bo zamiast groźnej broni w rodzaju dziewczęcej skakanki, zamiast dyplomów i nagród, zamiast miłosnych uścisków, mamy jedynie przykry incydent w restauracji „Pod Złamanym Krabem”, w zimowej scenerii 1991 roku. Przy stole siedziało sześciu pisarzy. Zon było nieco mniej. Panowie zdobyli już szczyty w swej literackiej wspinaczce, ich kotwy i haki głęboko i pewnie wniknęły w skały, za to ich włosy mocno się przeredziły, u niektórych nawet zanikły, a u innych wisiły jak zwiędłe źdźbła, niczym u Einsteina lub cyrkowego kłowna.

Joe ciągle zajmował centralne miejsce w tej grupie. Nie był najgłośniejszy (tu brylował Martin Benneker, który przy swym charakterliwym ryczeniu strzykał na boki kropelkami śliny) i nie był najbogatszy (w tym względzie pierwsze miejsce bezapelacyjnie przypadało Kenowi Wootenowi, którego misternie tkane powieści szpiegowskie regularnie trafiały na ekrany kin). Nie był też najinteligentniejszy, ani trochę. (Ta rola przypadła Levowi; zdobył ją szturmem raz na zawsze.) Ale to Joe zajmował pozy-

cję szczególną, trudną do zdefiniowania; coś w rodzaju spokojnego, honorowego senioratu. Uwielbia! mówić i zajmować sobą towarzystwo. Tak samo uwielbiał zamknąć się w kuchni i gotować gulasz; zawsze ten sam, skromnie przyprawiony i tłusty. Godzinami stał nad garnkiem, dolewając porcje oliwy i czerwonego wina, dorzucając kawałki mięsa i kości, sypiąc bazylię i garść suszonej pietruszki. Uwielbiał też czytać, słuchać jazzu, objadać się „Śnieżkami”, pić w karczmie piwo i grać w bilard.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy przy dużym, okrągłym stole, w głównej sali restauracji „Pod Złamanym Krabem”. Stół był nakryty białym, woskowym papierem, na którym leżało morze krabów — ruda masa skorup, szczypców i rozłamanych nóżek, polana sosem z przyprawami; zupełnie jakbyśmy nieopatrznie wpadli w bezmierną krabią kolonię. Wśród nich stały butelki piwa, podczas rozmowy bezustannie podnoszone i stawiane, zostawiające na papierze wilgotne ślady nachodzących na siebie kółek.

Jak zwykle panie się poprzesiadały, tworząc z boku małą gromadkę i szukając tematu do wspólnej rozmowy — być może był nim najnowszy chiński film w kinach. Wśród panów natomiast, też jak zwykle, słychać było głośne żarry, przechwałki i śmiechy, a w tym wszystkim nieustający, niemal uspokajający, chrzęst łamanych i rozrywanych skorup, i nagle Joe, z buzią pełną jedzenia, przestał poruszać szczęką, wytrzeszczył oczy, osunął się na oparcie krzesła i wymamrotał: „O kurde...”

Krzesło, na którym siedział, zważyło się na podłogę, on upadł twarzą na papierowy obrus z krabami, a my zerwaliśmy się przerażeni na równe nogi.

„Zakrzusiłeś... się...?”, wybąkała Maria Jacklin tonem uczennicy, która skończyła właśnie kurs pierwszej pomocy. Joe zdołał jeszcze zrobić nieznaczny ruch głową, dobitnie świadczący o tym, że nie. Zaciskał z bólu powieki, obiema rękoma kurczowo uciśkał klatkę piersiową. Zdawało się, że nie oddycha. Mężczyźni podnieśli go szybko i położyli na stole, w samym środku krabowego legowiska. Otoczyli go ciasnym kręgiem, kładąc się niemal na nim, jak podczas pamiętnej bójki w domu Bresnera.

Stery przejął Lev, wdowiec od kilku już lat, wciąż aktywny seksualnie, choć pogrążony w większej depresji niż kiedykolwiek. Odchylił Joemu głowę, przyłożył usta do jego ust i przez chwilę wdmuchiwał w jego płuca powietrze. Potem ugniatał jego pierś. I znowu oddech, i znowu ugniatanie. Potem pamiętam już tylko sanitariuszy przeciskających się przez salę restauracyjną, ich ręce, nosze, maskę tlenową, jakieś podniesione szepety i czyjeś szeroko otwarte oczy. Ktoś objął mnie ramieniem. Wyciągnęłam jeszcze rękę w kierunku noszy, ale sanitariusze w pośpiechu nieśli już Joego do ambulansu.

Pięć miesięcy później, po długiej i niełatwej rehabilitacji, konieczna okazała się wymiana zastawki sercowej. Joe leżał w naszym domu w Weathermill, czytał książki i listy i rozmawiał przez telefon ze znajomymi z całego świata. Kilkakrotnie przyjeżdżały do nas na parę dni córki. Pocieszały mnie i pomagały ojcu. Nawet David zatelefonował. Nie pytał o Joego, ale dobrze wiedziałam, że dzwoni z tego powodu.

W tamtym roku prawie nie opuszczałam Joego, taka byłam przestraszona. W niepamięć poszły wszystkie jego wady i słabości. Ulotniły się nagle, niewidzialnie i bezgłośnie, jak smak gotowanych krabów, których zresztą nigdy już nie wzięłam do ust. Niemal nie odstępowałam jego łóżka. Drżałam ze strachu i rozpaczliwie się modliłam, by szybko wyzdrowiał. I wyzdrowiał.

Nastał ostatni wieczór naszego pobytu w Finlandii. Trzymałam go pod rękę i wchodziliśmy po marmurowych schodach Opery Helsińskiej, blisko siebie, otoczeni błyskami fleszy i szumem kamer, które jednak nie tylko nas miały filmować. W operze pojawił się tego wieczoru każdy, czyje nazwisko coś znaczyło w Finlandii; pisarze, artyści, politycy, członkowie rządu - ludzie o dziwnych nazwiskach, Simo Ratia, Kaarlo Pietila, Hannes Vatanen, brzmiących w naszych uszach bardzo podobnie i uwodzicielsko. Podobne były także twarze, koloryt cery, struk-

tura kości; u każdego widać było białe, piękne i zdrowe zęby, jakby cały naród chodził do tego samego ortodonta. Kobiety i mężczyźni wchodzili do wnętrza falami, ubrani w te swoje arktyczne futra z grubymi kapturami. Dopiero gdy je zdjęli w garderobie, odsłaniając suknie i garnitury, można było docenić, ile trudu włożyli w przygotowania do tej niezwykłej gali. Opera stała się enklawą, uwolnieniem od ściętej mrozem, skostniałej reszty kraju. Tu nastąpiło pęknięcie w lodzie, przez które wniknął raptem cały świat. Owo pęknięcie w lodzie nosiło w tym roku nazwisko Castleman; to ten niewysoki, grubszy, starszy pan we fraku, kroczący obok mnie po schodach, ku rozświetlonym i ozłoconym wnętrzom Opery Helsińskiej.

Siedziałam w łoży z prezydentem Finlandii i jego małżonką. Zostałam oficjalnie przedstawiona prezydentowi, mężczyźnie w moim wieku, o twarzy surowej niczym fińska architektura, który nazywał się Timo Kristian. Prezydent był przepasany wielobarwną szarfą jedwabiu. Jego małżonka, pani Karita Kristian, nieco młodsza, w szykownej, czarnej kreacji, z ametystowym naszyjnikiem na szyi, siedziała obok męża nieruchoma jak głaz. Nie mieli sobie nic do powiedzenia albo tak się tylko wydawało. W każdym razie nie starali się nawer stworzyć iluzji ciepłych stosunków między sobą. Kadencja prezydenta w Finlandii trwa sześć lat. To był początek piątego roku sprawowania urzędu przez Tima Kristiana. Oboje wyglądali już na ludzi bardzo zmęczonych.

Dopiero po dłuższym czasie pani Kristian zdobyła się, by w taktowny sposób przerwać milczenie. Pochyliła się nieznacznie w moją stronę; dwie żony blisko siebie.

— Pani Castleman — zagadnęła, ostrożnie szukając angielskich słówek - podoba się pani Finlandia?

- Bardzo.

- Jakie wrażenie zrobili na pani Finowie? - dopytywała zaciekawiona, a ja mówiłam o ich dumie, dobrych oczach, prostolinijności i moje odpowiedzi trafiały chyba w sedno, bo pani prezydentowa przyjmowała je z uśmiechem zadowolenia.

- A jak pani się żyje w Finlandii, pani Kristian? - zapytałam z kolei.

Tym razem żona prezydenta jakby się zmieszała. Wyczułam, że pytanie mogło się jej wydać dziwne, może nawet impertynenckie. Być może na zimnej Północy ludzie nie są przyzwyczajeni do bezpośredniości.

- O , żyje mi się... - zaczęła niepewnym głosem, a potem nagle rozejrzała się ukradkiem, jakby sprawdzając, kto w pobliżu mógłby ją usłyszeć.

Nikt jednak nas nie słuchał. Prezydent zajęty był rozmową z jednym z członków swego gabinetu, mężczyzną o sumiastych i niebywale jasnych wąsiskach.

-Jestem - ciągnęła Karita Kristian spokojnym, zrównoważonym głosem — tak bardzo nieszczęśliwa.

Spojrzałam na nią zaskoczona. Czyba się przesłyszałam? Może powiedziała, że jest tak bardzo szczęśliwa? Skąd mam wiedzieć? Nie będę mówić, że nie dosłyszałam. Jej twarz nie wyrażała nic nowego, była wciąż tak samo pogodna jak przed momentem. Światła przygasły. Goście w naszej łoży i w całej sali ściszyli głosy. Po chwili zapadła cisza. Pani Karita Kristian, Pierwsza Dama dalekiej Finlandii, uśmiechnęła się i zwróciła twarz przed siebie, ku ciężkiej, szkarłatnej, fryzowanej kurtynie, która zaczęła się wolno unosić, odsłaniając mężczyzn, wśród których stał także mój mąż. Siedzieli między nimi dwie kobiety, których długie suknie jaśniały jedynymi na scenie radosnymi barwami.

Dyplom i medal wręczał Joemu prezes Fińskiej Akademii Nauk i Literatury, Teuvo Halonen, ten sam, który telefonował do nas z wiadomością, że Joe został laureatem nagrody. Medal był złoty, z wygrawerowaną miniaturą *Kalevali*, zawieszony na jedwabnej białej wstążce. Kiedy czyjaś para rąk uroczyście unosiła go ponad głowę Joego, nawet ze swojej łoży widziałam, jak krążek połyskuje złocistymi smużkami. Jedna z kobiet, znana aktorka filmowa, odgarniając włosy z czoła, odczytała donośnym głosem fragmenty prozy Josepha Castlemana. Kiedy skończyła, wstał Joe.

- Dobry wieczór państwu - zaczął. - Na początek pragnę podziękować za tak niezwykle i wspańiałe przyjęcie. — Skłonił głowę w kierunku członków Akademii Nauk i Literatury. — Szanowni państwo, szacowne gremium, jestem zaszczycony, wdzięczny i głęboko poruszony. — Teraz spojrzął w kierunku mojej łoży. — Panie prezydencie Kristian — mówił. - Najmocniej dziękuję za honory, jakie spotkały mnie w pańskim przeuroczym kraju...

Bła, bla, bla... Nie, to niesprawiedliwe z mojej strony. Może jego wypowiedzi nie były zbyt interesujące, ale mieściły się w konwencji. Słuchałam w napięciu. Nie pokazał mi wcześniej przemówienia. Zależało mu, by samemu napisać cały tekst i aby przed wyjazdem do Finlandii nikt go nie czytał i nie oceniał.

— ...Od pierwszego dnia, gdy stanąłem na tej ziemi, czuję, jak jest świeża i krzepiąca, zwłaszcza gdy przybywa się z krainy gorzkiej obfitości, krainy budzącej resentymenty, znanej wszystkim jako Stany Zjednoczone. W dzisiejszych czasach, gdy przybrał na sile międzynarodowy terrorizm...

Struchlałam. Dlaczego porusza taki temat? Pewny i łatwy, dobry na wszystkie okazje, tani, zawsze robiący odpowiednie wrażenie. Wystarczy wywołać upiora, by ludzie słuchali z uwagą i zrozumieniem; ściśnięte usta, spuszczone wzrok, zaduma. Nie potrafił wymyślić czegoś bardziej oryginalnego? Joe ciągnął temat niepolitycznym nurtem, cytując Rilkego, Saula Bellowa i fragmenty *Kwiatów zła* Charles'a Baudelaire'a. Słowa płynęły zawiłymi, ale mało zaskakującymi meandrami, przez wietrzne jaskinie afgańskich gór, pustynie Bliskiego Wschodu, aż na powrót zawitały w porcie macierzystym. Spięte zgrabną klamrą, powróciły do domu. Zbliży się koniec. Joe zamilkł na moment. Potem nagle skierował spojrzenie w moją stronę.

- Chciałbym jeszcze powiedzieć parę słów o mojej drogiej żonie, Joan.

Wszystkie głowy posłusznie zwróciły się w moim kierunku.

— Joan to moja druga, lepsza połowa...

„Nie”, myślałam w panice. „Nie rób mi tego. Przecież prosiłam”.

- To dzięki niej znalazłem w sobie spokój, a także niepokój pozwalający pisać.- — Nabrał oddechu. - Bez niej, jestem o tym przekonany, nie stałbym tu dzisiaj przed państwem. Siedziałbym w domu, w odrętwieniu, wbijając wzrok w pustą kartkę papieru.

Przez salę przeszedł szmer uprzejmego śmiechu; „Och, cóż za humor, naturalnie, że stałby tutaj, z całą pewnością”. To oczywista myśl, ale jak wielkoduszne to słowa w ustach laureata, jaka wspaniałomyślność wobec małżonki, wspomnieć jej skromną osobę podczas takiej uroczystości, na scenie Opery Helsińskiej, odbierając takie laury po tylu długich latach nieprzerwanej, żmudnej pracy pisarskiej. On kruszył skały, a ja ocierałam pot z jego czoła i podawałam chłodne napoje. On wycieńczony i przybity, złamany trudem zawodu powieściopisarza i gorączką, a ja blisko niego; zdejmuję z niego mokrą koszulę, podaję mu nową, czystą i wyprasowaną, pomagam mu wsunąć ramiona w rękawy i dopiąć guziki. Wspieram go, gdy potrzebuje zachęty, kładę się przy nim w nocy i szepczę do ucha: „Dasz sobie radę, potrafisz”, nawet jeśli pętają go ołowiane okowy, a łzy zmęczenia zalewają twarz. „Dacie sobie radę”, mówiłyśmy my, żony, „dacie sobie radę”. A kiedy dawali sobie radę, nas ogarniała radość podobna do tej, jaką czuje matka, patrząc, jak jej dziecko stawia pierwsze kroki i na zawsze odchodzi od mebla, na którym się wspierało.

Życzliwi Finowie patrzyli na mnie z zainteresowaniem i szacunkiem. Ludzie, którzy obdarowali mojego męża czekiem na pięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, bez zmużenia oka oddali nam swoje *markka*, z oddalenia ślali mi teraz ciepłe uśmiechy i pozdrowienia, podziwiając subtelny czar doświadczonej żony.

Każdy wie, jak kobiety potrafią iść naprzód, jak marzą, kreślą plany, obmyślają receptę na lepszy świat, mają dziesiątki pomysłów, a potem nagle gubią je wszystkie w drodze do kołyski w środku nocy, w drodze do sklepu, w drodze do łazienki. Gubią je bezpowrotnie, zostawiają daleko za sobą, wydeptując jednocześnie ścieżkę, którą kroczą potem mąż i dzieci.

„Ich wybór”, powie zapewne Nathaniel Bone w biografii Castlemana. Dokonują wyboru, by być żoną i matką. Nikt już ich do niczego nie zmusza; nie dzisiaj. Mieliśmy już w Ameryce ruchy na rzecz kobiet, mieliśmy Betty Ftiedan i mieliśmy Głorię Steinem w okularach pilota i z rozwianym włosom. Żyjemy już w nowym świecie. Dzisiaj kobiety mają władzę. Niewykluczone, że za kilka lat na scenie tej samej Opery Helsińskiej stanie ubrana w tradycyjny strój inucki czarnowłosa Valerian Qaanaaq i po raz kolejny opowie historię o dzieciństwie spędzonym w igloo z lodu i darniny.

To prawda, część kobiet dokonuje innego wyboru i żyje innym życiem: choćby Lee, dziennikarka, krółą poznałam w Wietnamie, albo Brenda, prostytutka znad Hudsonu. Albo jeszcze inne, które potrafią znaleźć opiekunkę do dziecka lub męża, który chętnie zostanie z niemowlakiem przez cały dzień, przewinie go i nakarmi. Męża, który może nawet miewa laktację. A może one wcale nie chcą mieć dzieci, przynajmniej niektóre, a życie otwiera się przed nimi nieskończonymi możliwościami w pracy? Wówczas wielki świat daje o sobie znać i wpuszcza je czasem do siebie, obdarowuje symbolicznym kluczem i koroną. Zdarza się, owszem, tak się zdarza. Ale generalnie się nie zdarza.

„To bardzo gorzkie, co mówisz”, skrzywiłby się Bone.

„Bo jestem zgorzkniałą kobietą”, odpowiedziałabym.

Każdy potrzebuje żony, nawet żona potrzebuje żony. Żony opiekują się swoją trzódką, krążą nad nią, dozoruja nieustannie. Ich uszy to nader wrażliwe instrumenty, czujne satelity, wyłapujące najdrobniejszą rysę niezadowolenia. Żony podają talerz zupy, podajemy spinacz, podajemy siebie i nasze ciepłe, uległe ciała. Doskonale wiemy, co powiedzieć mężom, którzy z jakiegoś powodu mają niespodziewane kłopoty z sobą lub kimś innym.

„Hej! — mówimy wtedy żywym i radosnym głosem. - Wszystko będzie dobrze!”

Potem, jakby od tego zależało nasze życie, robimy, co w naszej mocy, by było dobrze.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pijani; byliśmy pijani, oczywiście w stopniu dopuszczalnym, a nawet pożądanym po tak wielkim i pysznym triumfie. Gdyby ktoś nas wtedy zobaczył na bankiecie w operze, Joego roześmianego i zawieszonoego na ramieniu rozmówcy, bijącego się dłonią po kolanie, kiwającego bezwiednie głową, pomyślałby, że jesteśmy Finami. Rozpitymi Finami, usiłującymi zapomnieć o nadciągającym półroczu zimnej ciemności; szczęśliwymi Finami, rozbawionymi Finami, beztroskimi Finami, Twainowymi Huckleberry Finami. Joe odebrał nagrodę, wygłosił przemówienie, a resztę wieczoru spędziliśmy na bankiecie, krążąc wśród ludzi i dając się przez nich okrażać, poznając wielkie znakomitości nie tylko z krajów skandynawskich; także luminarzy przybyłych z Londynu, Paryża czy Rzymu. Operowe atrium, gdzie rozstawiono długie stoły nakryte bielutkimi obrusami, miało wysoki sufit i za sprawą wspaniałej akustyki roznosiło podekscytowany, wielojęzyczny gwar. Toasty wygłaszano co najmniej w kilku językach. Obywano się już bez tłumaczy. Joe i ja wznosiliśmy szklanice wraz z innymi, nie wiedząc za dobrze, na czyją cześć opróżniamy kieliszek ani na jaką okoliczność, ani z czego się tak serdecznie śmiejemy.

Prezydent z żoną dawno już opuścili operę. Ktoś mimochodem wspomniał, że wieczorami pan Kristian ogląda wiadomości telewizji Sky, po czym kładzie się spać i nigdy nie czyni odstępstwa od tej reguły, nawet ten jeden raz w roku, w grudniowy dzień, z okazji ceremonii wręczania Helsińskiej Nagrody Literackiej. Miałam ochotę zatrzymać jego żonę: „Może zostałaby pani trochę?”, ale było za późno, prezydencka świta

oddaliła się szybko po marmurowych schodach, jak w bajce, zapewne wprost do cebulastej karocy zaprzęzonej w sześć reniferów.

Parę godzin później także my opuściliśmy szacowne mury Opery Helsińskiej, otoczeni wianuszkami dwudziestu rozweselonych wydawców, pisarzy i dygnitarzy, którzy nawet przy wyjściu namawiali Joego, by został jeszcze, bo to przecież wieczór wyjątkowy, jedyny w roku - jak Pesach, święto, o którym mało kto z tych ludzi cokolwiek wiedział („Och, tak, tak, oczywiście, to jakieś ważne żydowskie święto, czy tak?"). Byli uroczy, tryskali życiem, ciągle się uśmiechali, bardzo chcieli rozmawiać z Joem o literaturze amerykańskiej i geopolityce, chcieli usłyszeć coś więcej o terroryzmie, nastrojach w Ameryce i obawach związanych z przyszłością. Flotyllą kilku limuzyn oddaliliśmy się w kierunku starego miasta, gdzie poszliśmy do wspaniałej, zabytkowej piwiarni. Kierownictwo było uprzedzone o naszej wizycie; przystrojone salki mieniły się kolorami kwiatów, na ścianach wisały girlandy, a na stolach leżały podświetlone kry lodowe z langustami. Nikt jednak nie miał już apetytu po bankiecie obfitującym w fantazyjnie ułożone rarytasy: sery, paszety z gęsich wątróbek, bażanty i dziczyznę.

Niektórzy członkowie Fińskiej Akademii cierpliwie uczyli Joego pierwszych wersów *Kalevali*, po angielsku i fińsku. Wsparci o siebie, głośni, bełkotliwie recytowali poemat. Joe siedział w środku, promieniejący, rozbawiony, najgłośniejszy ze wszystkich. Objadł się nieprzyzwoicie. Widziałam, jak napycha się bez umiaru niezdrowymi, tłustymi kawałkami przypieczonego mięsa, różnymi gatunkami seta, jak popija to wszystko najprzedniejszymi markami win, przechowywanych latami w chłodzie skandynawskich piwnic. Widziałam, jak się objada, widziałam jego usta otwarte tak szeroko, że można by poznać szczegóły uzębienia, złote i srebrne wypełnienia, skrzywienia i ubytki, i otwór gardła, wciągający w głąb długim, ciemnym tunelem, ku wnętrzu, ku niedoskonałemu sercu, z wymienioną, nie własną zastawką.

„Nie mamy tu już nic do roboty”, pomyślałam, wychylając jeszcze jednego drinka i obserwując Joego. Nasza transakcja została już sfinalizowana, ta nie kończąca się wymiana fluidów, ważnych informacji, narodziny dzieci, kupowanie samochodów, wyjeżdżanie na wakacje, dostojne przyjmowanie nagród w ważnych miejscach. Przyjęcie tej nagrody. Co za wysiłek: Boże, co za gigantyczny wysiłek. Dość już! — powinnam mu powiedzieć. Dość wszystkiego! Pozwól mi odejść. Niech przez następnych dziesięć lat nie budzę się rano u twojego boku, niech nie oglądam twojej rozanielonej twarzy i pękatego brzucha, z powodu którego nie możesz dojrzeć własnego penisa zwieszzonego smutnie w nieustannym oczekiwaniu.

- Wracam do hotelu - szepnęłam mu do ucha. - Mam już dość na dzisiaj.

Podchmielony opowiadał właśnie przy stole o latach dzieciństwa na Brooklynie. Kiedy usłyszałam, jak mówi o „bezkonkurencyjnym mostku wołowym” i jak rozbawiony tłumacz zaczyna objaśniać po fińsku słowo „mostek”, ogarnęła mnie nieodparta chęć natychmiastowego opuszczenia tego towarzystwa. Dziesiątki razy słyszałam te opowieści, mniej lub bardziej upiększone bajki albo szczerą prawdę.

Joe odwrócił się do mnie zaskoczony.

— Naprawdę?

Odparłam, że „naprawdę”, że nie mam już sił, że szofer odwiezie mnie do hotelu, a on może zostać. Oczywiście został. Wszyscy raptem zaczęli wstawać, szeroko się uśmiechać i żegnać mnie wylewnie; nowi przyjaciele, których nie ujrzę już nigdy w życiu, eleganckie panie i eleganccy panowie, mieszkańcy pięknego i dzielnego kraju. Dzielnego, bo bardzo oddalonego od wielkiego świata, z którym jednak z powodzeniem szedł w zawody, bez strachu, bez łatwych podniet i wzruszeń. Dzielnego, bo żyjącego ze świadomością, że już niebawem przyśnie na mroźne pół roku, by potem zbudzić się razem z niedźwiedziami, jak każe nieubłagany cykl, gdy tylko Ziemia dokona półobrotu i słońce stanie nieco wyżej.

Usiadłam z tyłu limuzyny. Szofer włączył silnik i ruszyliśmy w kierunku hotelu IntetContinental. Dochodziła trzecia w nocy. Przejedźdżaliśmy wolno przez port morski. W potężnym doku obok smukłego norweskiego statku stał zacumowany masywny rosyjski liniowiec. Na jego dziobowej burcie widniała nazwa *Konstantin Simonów*. Pamiętam, że wpatrywałam się urzeczona w statki i słuchałam szofera, który opowiadał o historii portowego nabrzeża. Wkrótce jednak uległam alkoholowemu zmęczeniu. Miałam wrażenie, że moja rozkołysana głowa jest wazą pełną fińskiego ponczu. Ułożyłam się na siedzeniu, podciągnęłam nogi i z rozkoszą pomyślałam o dobrodziejstwie samotnego powrotu do hotelu. W syjamskobliźniaczych małżeństwach najczęściej jest tak, że czeka się w pokoju, choć miałyby się ochotę z niego wyjść. Tej nocy jednak z radością byłam sama. Joe był moją drugą połową, ale zamierzałam te połowy wreszcie rozdzielić.

- Naprawdę chcesz odejść? - pytał wewnętrznym głosem.

To był głos kobiety, przemawiający gdzieś z głębi mojej pijanej wazy pełnej ponczu. Widziałam ją bardzo dobrze, nawet nie unosząc powiek. To ktoś, kogo nie widziałam od czterdziestu lat: Elaine Mozell, pisarka, która przyjechała na odczyt do Smith College. Patrzyła teraz na mnie łagodnie; długi szalik, potargane, gęste włosy, czerwona twarz. Była taka sama, jakby zamroźony duch przeniesiony z tamtych lat; wciąż tak samo pijana. Ale ja byłam jeszcze bardziej pijana.

- Tak - odpowiedziałam. - Odejdę.

- Miałaś w życiu to, czego chciałaś?

- Sama nie wie, czego chciała - odezwał się nagle inny głos, także kobiecy, jak sobie uświadomiłam, mojej matki, krążącej wokół mnie jak anioł stróż. — Ten mężczyzna to Żyd — ciągnęła dalej. — To jej pierwszy błąd. Kardynałny!

Włosy mamy wciąż zalatywały goździkowym, mdłym zapachem salonu fryzjerskiego, nawet osiemnaście lat po jej śmierci. Jak się okazuje, w życiu po życiu też można chodzić do fryzjera, siadać pod kłozkami huczących suszarek, w szeregu in-

nych zbłąkanych dusz, patrzących niemo przed siebie, gubiących myśli w nie kończącym się, porywistym, uderzającym w głowę podmuchu.

- Chciała z nim być - kolejny głos, tym razem samobójczyni, biednej Toshy Bresner, wątłej, kruchej kobiety, której dłonie sprawnie przerzucały ziemniaki, jajka i cebulę, przygotowując świąteczne placki.

— Kto by nie chciał? To była jej jedyna szansa, by związać się z wielkim człowiekiem, by być jego ostoją - drwiła Elaine.

- Nie, nie. Nie macie racji - przekonywałam rząd gadających twarzy. - Nic nie rozumiecie.

- Wszystko mogła zrobić zupełnie inaczej - znowu jakiś nowy głos, silny i władczy, z obcym akcentem; to Valerian Qaanaaq, pisarka w futrzanym kapturze. - Ja robiłam wszystko inaczej. I nikt mi nie pomagał. Chyba nie sądzisz, że rodzina chciała, żebym została pisarką? Pomyśl trzeźwo. Ale, jak widzisz, zostałam pisarką.

Widma i upiory krążyły wokół mnie, chcąc usłyszeć, co mam do powiedzenia na swoją obronę.

Musiałam odrzebać najstarsze archiwa, musiałam wrócić pamięcią do zamierzchłych dni, gdy miałam dziewiętnaście lat, gdy siadałam w bibliotece Smith College i pisałam opowiadania. Chęć pisania wyzwolił we mnie młody wykładowca, Joseph Castleman, tym, jak mówił o książkach i jak wielbił książki, a zwłaszcza niewielkie, ale doskonałe arcydzieło Jamesa Joyce'a *Zmarli*.

— No, kiedyś, dawno temu, rzeczywiście chciałam zostać pisarką — przyznałam.

- I co, spróbowałaś? - zapytała Elaine.

- Ja spróbowałam! - zawołała Valerian Qaanaaq, jakby ją ktoś pytał.

— A nie mówiłam, że nie dadzą ci zostać pisarką, hm? — ttiumfowała Elaine Mozell.

— Mówiłaś. Ale może po prostu byłam słaba — odpowiedziałam.

— To nieprawda — odezwała się Tosha. — Zawsze cię podziwiałam. Wydawałaś mi się silna, zacięta, uparta. Nawet w po-

łowie nie było mnie stać na to, czego ty dokonywałaś. Ja się bałam. Ale ty nie.

— Ja też się bałam — podkreśliłam.

— Nie. Byłaś po prostu realistką - stwierdziła Elaine. — Dobrze wiedziałaś, że nie będziesz mieć tego, co mają oni, mężczyźni. Pragnęłaś ich męskości. Chciałaś coś znaczyć. Chciałaś, by twój głos dochodził ich nawet zza grobu, by szczebiotał bez końca, nawet z głębi piekła, do którego trafia pewien rodzaj pisarza. Sęk w tym, że z chwilą, gdy wstępuje do piekieł, także piekła zaczynają do niego należeć!

— To Żyd - powtórzyła dyszkancikiem matka.

— To tłuścioch - rzuciła Elaine. - Facet, który zgarnął wszystko.

— To mały chłopczyk! - zaśpiewał niespodziewanie jeszcze jeden głos i w tej chwili zobaczyłam matkę Joego; unosiła się nad pozostałymi w luźnej, kwiecistej sukni, kobieta potężna i jaśniejąca, z rumieńcami zadowolenia na twarzy. — To przecieży tylko mój mały chłopczyk! Dlaczego źle o nim mówicie? Dlaczego mu nie wybaczyacie? Nie macie przecież wyboru, nic innego wam nie pozostaje.

W holu stało dwóch recepcjonistów gotowych do pomocy, jakby był to środek dnia, a nie ciemna noc. Ukłonili się i skinęli uprzejmie głowami, gdy mijałam ich w bezkresnej hotelowej przestrzeni, drepząc w długiej, srebrnoszarej sukni i butach na wysokich obcasach, usiłując wysoko trzymać głowę i nie stracić nic ze swej godności, gracji i majestatu - jakbym nie była pijana.

- Jak się pani podobała gala? - zagadnął jeden z nich. - Widzieliśmy wszystko w telewizji.

— Bardzo mi się podobało — odparłam. — Dziękuję. I dobranoc.

Zatrzymałam się na chwilę, przettżasając torebką w poszukiwaniu kluczyka do windy. Stałam nachylona nad torebką i myślałam o tym, że za chwilę przed wielkim lustrem w olbrzymiej łazience mego apartamentu zanurzę koniuszki palców w kremie do twarzy i zmyję makijaż, który tak pieczołowicie nakładałam

kilka godzin temu. I nie będzie tam nikogo, kto odpiąłby mi zamek błyskawiczny na plecach, bo nie ma Joego. Nie będzie jego dłoni na moim karku, przesuwającej się wolnym ruchem do dołu, nie będzie śpiewu zamka, brzmiącego w moich uszach jak kobiece łkanie przy wtórze drżących strun cytry.

Nie ma Joego. Teraz, kiedy się rozstaniemy, sama będę musiała rozpinąć zamek w sukni. Będę musiała przypomnieć sobie, jak sięgać ręką za siebie, jak ustawić łokieć pod odpowiednim kątem, by pochwycić skuwkę i popchnąć ją w dół, a w połowie drogi przechwycić skuwkę drugą ręką i ściągnąć ją do samego dołu, by wreszcie opuścić suknię i wyjść z jej kręgu; kiedyś to już robiłam.

Apartament lśnił. Był idealnie wysprzątnany i przygotowany do nocy. Najwyraźniej znowu pracowała przy nim mała armia pokojówek, których zgrabne rączki tak ułożyły i wygładziły narzutę na łóżku, że przypominała piaski Sahary naniesione przez pustynne wiatry. Rozebrałam się, zdjęłam narzutę, niszcząc cały efekt, położyłam się i natychmiast zapadłam w sen.

Około piątej usłyszałam, jak Joe parokrotnie przesuwa kartę przez czytnik, a chwilę potem ciche kliknięcie, otwierające drzwi do apartamentu. Wszedł niepewnym, ciężkim krokiem; frak wygnieciony, guzik pod szyją odpięty, muszka poluzowana, szarfa przewieszona przez rękę, jak ściereczka u kelnera. Medal wciąż wisiał na jego szyi. Wyglądał na mocno oszołomionego kończącą się nocą. Wszedł do pokoju, zdjął medal, potem koszulę, a potem podkoszulek.

- Nie śpisz, Joan? - zapytał.

- Nie śpię.

Usiadłam, opierając się o wezgłowie.

- Upiłem się - jęknął, jakby nie było tego po nim widać. - I obzarłem jak świnia, kochani Finowie tuczyli mnie bez wytchnienia, Boże, jak ja ich lubię. To naprawdę niedoceniony naród, a *Kaleuala* to genialny utwór! Wiesz, jeden z parlamentarzystów, e... jak on się nazywał, ten z rudą bródką hiszpańską, a niech tam... deklamował linijka za linijką, a wszyscy płakali

jak bobry, wiesz, mnie nie wyłączając, w mojej następnej książce będzie jakiś Fin. Jak amen w pacierzu!

- Joe, przestań — przerwałam mu. - Gadasz i gadasz. Nie mogę już tego znieść.

— Wybacz — zreflektował się. — Wiesz, trudno się tak od razu wyłączyć, trudno się przestawić. - Potrząsnął głową. — Cholera, chyba pójdę do sauny.

Zrzucił z siebie resztę ubrania, wyszedł na korytacz naszego apartamentu i przeszedł do sauny. Usłyszałam, jak zamykają się za nim drzwi. Wyszłam z łóżka i ruszyłam za nim, zajrzałam przez ciemną szybkę do ciasnego pomieszczenia i zobaczyłam go, jak leży na drewnianej ławce nakryty ręcznikiem, już w półśnie. Otworzyłam drzwi i weszłam w gorące opary w cienkiej koszuli nocnej, która natychmiast zaczęła nasiąkać wilgocią.

- Joe.

Otworzył jedno oko i spojrzął w moim kierunku.

- Joan? Co się stało?

Nabrałam głęboko powietrza w płuca i wolno je wypuściłam.

— Muszę coś ci powiedzieć. Na to nigdy nie ma odpowiedniego momentu.

— To powiedz. - Podniósł się na łokciach.

— Dobrze. Zaraz po powrocie do Nowego Jorku wystąpię o separację. Wszystko przemyślałam.

— O... rozumiem — sarknął. — I specjalnie czekałaś z taką wiadomością na chwilę, w której moje ciało osiąga temperaturę miliona stopni, tak? Kiedy już nic nie mogę zrobić, tylko się upiec?!

Wylał z dzbana zimną wodę na rozżarzony węgiel, który zaskwierczał, zaczął syczeć i buchać parą.

— Zrozum mnie, postaw się w mojej sytuacji — mówiłam. — Chcę dostać od życia jeszcze jedną szansę. Mam sześćdziesiąt cztery lata, za rok będę w wieku emerytalnym, będę miała pięćdziesięciopięćdziesiąt procent zniżki, chciałabym wejść w ten wiek sama. Proszę tylko, nie rób scen, że jesteś załamany albo wściekły, albo zszokowany, bo i tak wiem, że nie jesteś. Spróbuj choć raz pomyśleć racjonalnie, spróbuj posłuchać kogoś innego.

— Więc tak mi gratulujesz? — Skrzywił się. — Wiesz co? Mam to w dupie.

— Gratuluję? Czego mam ci gratulować? — zapytałam. — Jeszcze nie dość ci gratulacji?

Milczał przez moment.

— Pamiętaj, tak się złożyło, że to ja pokazałem ci światu — stwierdził chłodno, ale nie była to prawda; przeciwnie, to ja go tam zabrałam, ja go tam wprowadziłam, ja ocaliłam młody život twórcy nieokrzesanego opowiadanka *W niedzielę mleka nie ma*.

— Rzecz w tym, że jestem tobą zmęczona. Wreszcie zdałam sobie z tego sprawę.

— Aha, to dlatego jesteś ostatnio taką jędzą?

— Dziwię się, że tak długo wytrzymałam - mówiłam. - Dawno powinnam była odejść.

Był mokry i czerwony na twarzy. Położył dłoń na czole. Tyle lat na niego patrzę, tyle lat, tak bardzo się do tego widoku przyzwyczaiłam, stał się moim powołaniem. Teraz będę mogła przestać na niego patrzeć.

— Zaraz po powrocie do domu skontaktuję się z Edem Mandelmanem i zacznę procedurę sądową.

— Przecież nigdy się nie żaliłaś — powiedział. — Byłaś zadowolona z tego, co razem osiągnęliśmy.

— Kiedyś tak.

— Tak, tak, to nawet cię porywało, mówiłaś mi, że to pasjonujące i wspaniałe, bo stanowisz żywą część tego wszystkiego. Przybyło ci lat i raptem zaczynasz zrzędzić jak stara baba w restauracji, „to mi nie smakuje”, „to proszę zamienić”, „tego nie chcę”. Ja już wiem, to ta nagroda, prawda? Ta nagroda tak cię zmieniła — ciągnął uniesionym głosem. - To już było nie do zniesienia, prawda? Świadomość, że kiedy umrę, ktoś może mnie zapamiętać i pomyśleć o mnie przez dwie minuty, tak? Wspomnieć mnie, choć syn mnie nienawidzi, córki twierdzą, że je zawiodłem, a żona ma mnie serdecznie dość.

— Nie zastanawiałaś się, dlaczego tak jest? — zapytałam. —

Uważasz, że to ci się niesprawiedliwie przytrafia, że stoisz tylko z boku, niewinny jak dziecko?

— Tego nigdy nie powiedziałem.

— Dzieci trzymasz od siebie z dala. Nawet teraz. Ojciec odbiera Helsińską Nagrodę Literacką, ale ich tu nie ma. Nie chcesz ich tu widzieć.

— Przyszło ci kiedyś do głowy, dlaczego nie chcę, by oglądały ten spektakl albo widziały, jak my go oglądamy?

— Nie, nie przyszło mi do głowy.

— Ha, a może powinno.

— Joe, jesteś dla mnie jedną wielką tajemnicą - stwierdziłam. - Nigdy nie rozumiałam, jak możesz to wszystko robić.

— Jasne. — Położył się na plecach i zamknął oczy. - Chciałbym ci tylko przypomnieć, Joan, że nikt nigdy nie zmuszał cię do tego, byś mi w takim życiu towarzyszyła.

— A co według ciebie znaczy zmuszać? - rzuciłam pytanie. - Byłeś, jaki byłeś, czegoś oczekiwałeś, czegoś się domagałeś. Ja nie miałam nic. Kochałam cię. Byłam zapatrzona w ciebie. Byłam młoda i głupia. — Nic nie mówił, nie usiłował nic prostować, po chwili dodałam nagle: - Rozmawiałam z Nathaniłem Bone'em.

Joe otworzył oczy i pokiwał wolno głową.

— Teraz wszystko rozumiem. On ci to wszystko wbił to głowę, tak? Co ci powiedział? „Rzuć go, Joan. Zaczynaj własne życie. Lepiej ci będzie bez niego. Twój mąż to świnia, nie namaścił mnie, nie pozwolił napisać swojej biografii?”

— Nic takiego nie powiedział.

Już wszędzie czułam żar saunowej pary. Ciężko oddychałam, miałam wrażenie, że zaraz zemdleję, że stopię się jak serek, że moje ciało zacznie się rozkładać. W końcu usiadłam na drewnianej ławce naprzeciw Joego; dwoje małżonków w ciasnej dziupli, z mokrymi i poczerwieniałymi twarzami, wściekłych na siebie i już nieubłaganych. Chłapnęłam wodą na węgielki, które zaskwierczały znowu żałośnie. Chmura gęstej pary podniosła się między nas.

- Czytaj tylko - powiedział tamtego popołudnia w naszym hotelowym pokoju w „Waverly Arms” w 1956 roku. - Czytaj!

Wróciłam wtedy od rodziców, weszłam do pokoju, a on pociągnął mnie na łóżko i poprowadził moją rękę ku zapisanym kartkom papieru. Zagruchałam z radości, wydałam z siebie okrzyki zaskoczenia, natychmiast usiadłam na łóżku i niecierpliwie zaczęłam czytać pierwszych dwadzieścia jeden spisywanych w zapamiętaniu stron *Orzecha*. Joe usiadł naprzeciw mnie i patrzył, jak czytam.

- Joe, denerwujesz mnie - powiedziałam. - Daj spokój.

Tak naprawdę jednak chciałam zyskać na czasie, bo miałam za sobą ledwie trzy minuty czytania, a już zaczęła mnie ogarniać panika.

W końcu udało mi się go wyrzucić z pokoju. Joe poszedł na samotny spacer po Village. Wałęsał się po Bleecker Street i wstąpił do sklepu z płytami, gdzie na stanowisku ze słuchawkami słuchał przez jakiś czas Django Reinhardta. Ale długo nie wytrzymał, koniecznie chciał wiedzieć, co myślę o jego tekście. Wrócił do hotelu.

- I...? Co powiesz? - pytał od progu.

Dawno już skończyłam czytać. Odłożone kartki leżały obok mnie. Paliłam papierosa. Myślałam o odmownych listach, które Joe otrzymywał wcześniej z czasopism literackich, nawet tych najmniejszych, młodzieżowych, nic nie znaczących. „Próbuj dalej, jeszcze do nas napisz”, zachęcały wesołe litery w ostatnim zdaniu, jakby Joe miał czasu w bród, jakby ktoś wspierał go finansowo wielkimi stypendiami, jakby mógł sobie próbować i próbować bez końca.

- Słuchaj - powiedziałam ze łzami w oczach. - Prosiłeś, że bym była z tobą szczerą, więc będę szczerą. - Choć później uświadomiłam sobie, że wcale nie prosił, że bym była szczerą; raczej założyłam sobie, że tego ode mnie oczekuje. — Bardzo mi przykro, Joe, bardzo, ale... niestety, to do mnie w żaden sposób nie przemawia. — Powiedziawszy te słowa, zacisnęłam wargi i przymknęłam oczy, jakby szarpnął mną ostry ból zęba. -

W tym nie ma życia — dodałam po chwili spokojnie. — Chciałabym, ale tak nie jest. Boże, Joe, przecież to historia naszej znajomości, czy tego nie powinno się odczuwać? Czy nie powinienam czuć tego, co rzeczywiście czułam? Choćby fragment, kiedy Susan idzie do mieszkania profesora Mukherjee, żeby nakarmić jego kota, tam pojawia się Michael Denbold i idą do łóżka. Czytałam, myślałam i zadawałam sobie pytanie: „Kim jest tych dwoje ludzi?“, nie wiem, nie mam pojęcia, są obcy... Joe, nie udało ci się stworzyć ich prawdziwymi.

Usiadł ciężko obok mnie i milczał.

— *W niedzielę mleka nie ma*, to moje dawne opowiadanie, nie różni się stylem od tego — powiedział w końcu ze złością. — Mówiłaś, że opowiadanie bardzo ci się podobało.

Wbiłam wzrok w wymięty koc.

— Kłamałam — szepnęłam. — Ptzępraszam. Nie wiedziałam wtedy, co ci powiedzieć.

— Cholera... - Joe złapał się za głowę, potem wstał. — To nie ma sensu!

— Co nie ma sensu?

— Wszystko. Nasz związek. Nasze życie. Ja tak po prostu nie potrafię.

— Joe, przecież to, że nie podoba mi się ta książka, nie znaczy, że...

— Znaczy, znaczy! — krzyknął. — To co? Mam być twoją gosposią, tak? Mam siedzieć w domu, pracować, sprzątać, cerować, pichcić w garach, a ty staniesz się literacką rewelacją?

Nie wiem, czy dobrze pamiętam, ale chyba się wtedy rozplakałam.

— Joe, przecież nasz związek nie może zależeć od pisania - mówiłam. — Są inne rzeczy, które nas łączą, prawda? Które przecież...

— Och, zamknij się, Joan — burknął Joe. — Lepiej w ogóle się nie odzywać. Im więcej mówisz, tym gorzej.

— Joe, słuchaj — nie ustawałam. — Rzuciłam dla ciebie szkołę i nie uważam, że postąpiłam źle. Pomyśl o tym.

— Tak? Nie pamiętam - sarknął rozdrażniony.

Wydobył z kieszeni paczkę papierosów i zaczął palić jednego za drugim. Powoli wracał do równowagi. Zdawało się, że dochodzi do pierwszych wniosków: nie musi zrywać ze mną tego wieczoru, może jeszcze dać sobie trochę czasu i wszystko przemyśleć. Dokąd miałby iść? Do Northampton, do wściekłej, rozjątrzonej żony i ich płaczącego dzieciaka? Do collegeu, który już nie chciał go widzieć?

Po jakimś czasie wziął do ręki plik nieszczęsnych kartek, zważył je w dłoni, westchnął i wyciągnął w moim kierunku.

- Dobrze - powiedział. - Poddaję się. Powiedz, co byś zmieniła. Wszystko zniosę.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Usiedliśmy na łóżku i rozłożyliśmy przed sobą tekst. Wskazałam miejsca, którym w oczywisty sposób brakowało lekkości, wskazałam miejsca puste, w których nie wykorzystałam wszystkich możliwości. Odkryłam nagle, że potrafię wszystko jasno dojrzeć, jakby jakiś pomocny student podkreślił wcześniej mazakiem słabsze fragmenty. Sama byłam kiedyś studentką, czytałam na zajęcia dziesiątki książek i umiałam dostrzec konstrukcję tekstu, artyzm słowa, niuanse metaforyki, przewrotną grę znaczeń. „Co autor miał na myśli?” To pytanie padało niezmiennie, choć daremnie byłoby szukać odpowiedzi. Bo skąd wiedzieć? Kto może wejrzeć w ściśnięte sploty mózgowie dziewiętnastowiecznych pisarzy, których książki czytaliśmy? A nawet gdybyśmy mogli tam wejrzeć, nie miało to już znaczenia, ponieważ książka żyła własnym życiem, stawała się odrębnym ciałem, mózgiem i wnętrznościami swego autora. Z kolei sam autor - niekiedy autorka, by wspomnieć choćby siostry Bronte w fikuśnych czepkach na głowie lub Jane Austen, niezrównaną obserwatorkę życia społecznego - stawał się tylko łuską, pustym strąkiem, wyschniętą, niezdatną już do niczego formą.

Książki opierały się upływowi czasu, jeśli były dobre, jeśli przemawiały donośnym głosem, a ludzie przygarniali je jak bliższą osobę. Czy to w końcu ważne, kto je napisał? Kochałam

książki, tak jak kocha się przedmioty, pudrko z biżuterią i samą biżuterię. Ptożę Joego też pragnęłam przemienić w przedmiot, który mogłabym pokochać. Tak myśląc, zaczęłam dokonywać dzieła przemiany.

- Na twoim miejscu - mówiłam — napisałabym to inaczej. Oczywiście nie jesteś mną, więc jeśli uważasz inaczej, nie musisz mnie słuchać.

Wzięłam do ręki ołówki, zaczęłam delikatnie wykreślać słowa i zastępować je innymi, które, z chwilą gdy pojawiły się na papierze, okazywały się o niebo lepsze, wzbogacały zdanie, wypełniały je, stawały się idealnym panaceum na słowa wrzucone przez Joego. Kreśliłam i kreśliłam długo, aż cała strona, a potem kolejne, poszarzały od nanoszonych ołówkowych poprawek. W końcu usiadłam przy maszynie i przepisałam cały tekst w nowej wersji; „Boże”, pomyślałam, „nawet na maszynie piszę lepiej od niego”. Siedziałam i stukałam błyskawicznie w klawisze, niczym najlepsza sekretarka świata, a słowa nadlatywały same, jakby dyktował je siedzący we mnie szef mojego biura. Pisałam je tak, jakbym nimi żyła. W niczym się to nie różniło od pisania referatów i opowiadań na zajęciach u Josepha Castlemana. Nawet pisało mi się lepiej, sceny trwały dłużej, były bardziej rozbudowane, dialog zyskiwał siłę, mogłam żonglować słowami, bawić się opisem, ale byłam oszczędna, nie zapędzałam się, pamiętałam, że „mniej znaczy więcej”. Tak mówił na wykładzie profesor Castleman. Byłam podniecona, zachłyśnięta szczęściem i sukcesem, zaskoczona własną dumą i próżnością, które, przy pewnej nieostrożności, mogłyby ze mnie wypłynąć.

Wieczorem, już spokojni i odprężeni, wyszliśmy na spacer. Zatrzymaliśmy się w małych, włoskich delikatesach, gdzie kupiliśmy sobie po kawałku naszego ulubionego orzechowego ciasta.

- Świat mi się zawalił, sam nie wiem, co robić - żalił się Joe. - Jeśli nie potrafię napisać przyzwoitej książki, jeśli nie potrafię jej wydać, to... mam przesrane, Joan.

- Nie masz przesrane.

- Mam.

Opowiedział mi, jak zawsze marzył o tym, by pisać książki, już od dzieciństwa, gdy starał się uciekać w każdej wolnej chwili z rządzonego przez kobiety domu. Przychodził do Brooklyńskiej Biblioteki Publicznej, siadał lub kuczał pod regałami i oddawał się lekturze. Joe mówił, a w jego oczach widziałam łzy. Odwrócił głowę, zacisnął wargi, próbował zapanować nad emocjami.

- Ojciec był zawsze ze mną, codziennie, aż któregoś dnia zniknął. Po prostu.

Powiedział, że chciałby, abym mu pomogła. Pytał, czy zrobię to dla niego. Tylko przy tej jednej powieści; on opowie mi, czego doświadcza, co myśli, co widzi, czego się uczy lub co choćby intuicyjnie wyczuwa, a ja złożę zdania i przeleję to wszystko na papier, bo jego głowa i życie są przepełnione doświadczeniami.

- Po tej jednej książce - mówił - przyjdzie kolej na ciebie. Fantastycznie dasz sobie radę.

Pomyślałam, że to nawet ma ręce i nogi; ten jeden raz mogę mu *pomóc*, w zasadzie mogłabym przeprowadzić go przez labirynt całej książki, to na pewno nie wypadłoby źle. Przeszedłby w ten sposób szybką lekcję pisania i w przyszłości nie potrzebowałby już mnie tak bardzo, a ja tymczasem mogłabym zacząć pisać własne powieści. Joe będzie pisarzem, Joe będzie mój i będziemy mogli wyprowadzić się z „Waverly Arms” w lepsze miejsce.

W Northampton Joe zostawił w domu setki swoich ulubionych książek. Z zamkniętymi oczami potrafił cytować ich fragmenty; długie passusy pisane piórem znakomitych pisarzy o rozpalonych głowach, jak James Joyce, którego dzieła za każdym razem rozbudzały w Joem miłosne tęsknoty. Ale Joe nie umiał stać się jednym z nich, jednym z członków świętego bractwa, którzy zakłęci w piękną książkę, noszeni byli pod pachami studentów wszystkich uczelni świata i tuleni do serca przez rozmazanych moli książkowych. Miał tylko szacunek, chęci i głuche piagnienie, by zostać wielkim pisarzem. To jednak nic nie znaczyło, jeśli brakowało, jak to mawiał, „dobrych ludzi”. Jeśli nic

się nie zmieni i nadal będzie sam próbował, to dokona żywota na garnuszku pism podobnych „Kariatydzie”, błahych, nieczytanych tytułów, drukowanych na tanim papierze przez garstkę entuzjastów, gdzieś w piwnicy albo garażu. „Próbuj dalej!”, „Próbuj dalej!”, te słowa zachęty z odmownych listów popiskiwały mu w uszach jak niesforne myszy.

To tylko jedna książka, *Orzech*. Ja będę jej cyzelatorem, będę wieczorem siadała do pracy, po powrocie z Bower & Leeds. To bardzo szlachetne z mojej strony, ocalę nas, przetrwamy. Nie chcieliśmy rutyny życia, sennej uczelni, wieczorów przy melodii z albumu *South Pacific*, portretowej pozy, profesorskich przyjęć i wyjść w śnieżną noc. Takie życie już raz miał, takie życie zamknęło się za nim z trzaskiem pchniętych drzwi. Mogłabym to nawet opisać, gdyby trzeba było. Pierwsze książki zawsze opierają się na wątkach autobiograficznych. Także ta, nad którą pracowaliśmy, w zasadzie nie pominie nic z pierwszego małżeństwa Joego, z trójkąta, jaki tworzyliśmy; Joe, ja i niechciana Carol.

„Tylko ten jeden raz”, powtarzał.

„Tylko ten jeden raz” nic jednak nie znaczy. *Orzech* był wielkim wydarzeniem, wszystko się fantastycznie udało, życie stanęło przed nami otworem, Joe miał się znakomicie, był szczęśliwy i spokojny. Dobrze miały się także ostrzegawcze słowa Elaine Mozell. Której z kobiet w tamtych czasach zależało, by zostać pisarką? Która naprawdę o to walczyła? W świecie, który nie miał dla kobiet poważania, najwyżej dla tych nadzwyczajnie utalentowanych, inteligentnych i pięknych, związanych z ważnymi mężczyznami, jak Mary McCarthy, albo (o, to znacznie częściej) dla tych pięknych i próżnych, pachnących balsamicznymi woniami perfum, paradujących przed światem w skąpym odzieniu? Kobiety porywały, kobiety oszałamiały, kobiety można było posiąść, a jeśli stawały się pisarkami, to można też było posiąść książki, które napisały: skrupulatnie skreślone miniaturki, koncentrujące się na jakimś jednym zakątku, a nie na całym świecie. To do mężczyzn należał świat. Joe też taki był; także

do niego świat mógł należeć. Nic mu się nigdy nie stanie, nie będzie mu zagrażać. Nie zostawi mnie, a ja przecież też coś będę z tego miała, coś niezwykłego, wielką podróż, podczas której wszystko będę mogła zobaczyć z bliska, z tego samego miejsca co Joe. Sama byłam zbyt słaba i potulna, brakowało mi odwagi, nie należałam do tych, co wydeptują ścieżki. Byłam nieśmiała. Wiedziałam, czego chcę, ale wstydziłam się chcieć. Byłam małą dziewczynką i nie umiałam pozbyć się tego uczucia mimo wzgardy, jaką wobec niego żywiłam. To był koniec lat pięćdziesiątych, potem przyszły lata sześćdziesiąte i mieliśmy już z Joem wszystko wypracowane, wykute jak w żelazie; swój rytm, swój styl i sposób na wspólne życie.

Dzieci rosły. Wychowywały się w towarzystwie opiekunek. Nie miałam dla nich wiele czasu, a w każdym razie nie tyle, ile większość pracujących matek, i nie było mi z tym dobrze, miałam rozdarte serce. Opiekunki brały je na spacer, a one płakały i w rozpaczycy wyciągały do mnie ręce, jakby prowadzono je na krzesło elektryczne. Opiekunek nam nie brakowało, dzieci nigdy nie były zostawione same, a mimo to zdarzało się, że musieliśmy zamykać się z Joem na klucz, bo dzieciaki waliły w drzwi, czegoś się domagając. „Skup się, Joanie, skup się”, mówił wtedy Joe zdenerwowanym głosem, „mamy jeszcze tyle roboty!”

Podsuwał mi pomysły na intrygę, anegdoty, wspomnienia. I musztrował mnie. Trzymał przy sobie w pokoju. Leżał w poprzek łóżka, ja siedziałam przy maszynie do pisania. Rzucał pomysłami. Opowiadał o szkoleniach przed wyjazdem na wojnę koreańską, opowiadał o domu, w jakim dorastał, o kobietach, które go tam otaczały, o tegiej matce, o babce, o ciotkach, a czasem ja kładłam się obok niego na łóżku i mówiłam, że jestem półżywa i umęczona, że czuję się tym przytłoczona, że przecież nie wiem, jak to jest być mężczyzną, że nie ma we mnie już nic. Ale on mówił, żebym znalazła siły i że on jest moim przewodnikiem.

— To kim ja jestem? — zapytałam kiedyś.

- No, hm... powiedzmy, że dokonujesz przekładu. Jesteś moim tłumaczem.

Na początku pisałam niewiele, stronę, dwie dziennie, zawsze po powrocie z Bower & Leeds. Joe jednak zaczął okazywać niecierpliwienie.

- Wiem, że nie powinienem narzekać, ale... - zaczynał zwykle.

- Masz słuszność — przerywałam mu.

- Ale, że rak powiem, moglibyśmy trochę naoliwić tłoki?

- Naoliwić tłoki? Co za frazes. Mój Boże, całe szczęście, że to nie ty piszesz.

Stawał za mną i masował mi kark i ramiona. Kiedy zrozumiałam, w jakim kierunku książka zmierza — po nocnych rozmowach z Joem i własnych rozważaniach, jak pociągnąć poszczególne wątki fabuły — praca szła szybciej i swobodniej. Spod maszynowego wątku wychodziły strona za stroną. Rzuciłam pracę w wydawnictwie. Pracowałam teraz w domu; pisałam. Przemiana materii następowała we mnie na najwyższych obrotach, nie musiałam przerywać pisania, żeby odpocząć, spać czy nawet coś zjeść. Joe robił kawę, biegł do sklepu po paczkę papierosów, szczęśliwy i niecierpliw, nie mogąc się doczekać, kiedy skończy pierwszą wersję. Wreszcie wręczałam mu całość, a Joe niemal natychmiast siadał przy wolnej maszynie i ceremonialnie przepisywał wszystko, nadając tekstowi ostateczny kształt. Wczytywał się, grzebał w szczegółach, dokonywał jakichś mało znaczących poprawek, a przede wszystkim zaprzyjaźniał się ze swoją prozą, poznawał ją i wczuwał się w słowa.

Pierwsza książka była dedykowana mnie: „Dla Joan, mojej muzy nadprzyrodzonej”, a ja później dopisałam dla żartu własne imię: „Dla Joan, mojej muzy nadprzyrodzonej - Joan”. Strasznie się pieklił, nie widząc w tym nic dowcipnego. Wydarł z furją kartkę, jakby niszczył kompromitujący dowód rzeczowy.

Parę miesięcy później, gdy pracowaliśmy nad poprawkami w kolejnym maszynopisie, byłam taka zmęczona, że całkowicie ustąpiłam mu pola. Joe nanosił korektę czerwonym ołówkiem, zadowolony z siebie i szczęśliwy. Zapisane kartki piętrzyły się

przed nim na biurku, gramofon grał Mozarta, a Hal Wellman dzwonił z wydawnictwa, aby przedyskutować z nim tekst na okładkę. Joe był wniebowzięty. O, to naprawdę lubił i potrafił zrobić. Nadawał się idealnie do napisania paru treściwych i krótkich akapitów na okładkę.

Kiedy pojawiały się pierwsze recenzje, pędziłam do kiosków, kupowałam gazety i czytałam je nienasycona. Potem oddawałam do przeczytania Joemu. Skakaliśmy z radości, wrzeszczeliśmy. Nasi przyjaciele zwykle dzielali z nami to szczęście, choć pewnego razu Laura Sonnengard nie potrafiła ukryć swoich wątpliwości.

- Pomagasz mu, prawda? - zapytała.

- E... w pewnym sensie, być może tak - odparłam wymijająco. - To znaczy, wiesz, staram się stworzyć mu warunki...

- Bo to, co pisze, wydaje się kompletnie inne od niego samego. - Zmarszczyła brwi w namyśle. - Tak pełne... głębokiej myśli, tylko nie bierz tego do siebie, wiesz, po prostu jest znakomity.

Wątpliwości miały też nasze dzieci, każde na swój sposób. Dziewczęta raczej nic na ten temat głośno nie mówiły, chociaż Alice nie mogła się czasem powstrzymać.

- Boże, mamó, mi się wydaje, że to ty piszesz tacie te książki - powiedziała kiedyś, gdy jeszcze była nastolatką.

- Tylko je redaguję, dziecko - odpowiedziałam.

- Daj spokój, nie oszukasz mnie, mamó, powinnaś to wiedzieć, mój czujnik wciskaczokitu natychmiast się uruchamia, o, proszę, *uroom, wroom, tvroom...*\

Była już wystarczająco duża, by budzić się z młodzieńczego snu zamkniętego w swoim świecie podlotka i zauważać coś z tego, co się wokół niej dzieje. Z drugiej strony była wciąż na tyle niedorośła, by tylko przelotnie się zainteresować sprawami, które nie dotyczą bezpośrednio jej lub jej przyjaciółek.

- Ja wiem, jak to jest - mówiła. - Ty siedzisz przy maszynie i harujesz jak wół, a tatko leży na łóżku, obgryza paznokcie i wcina te obrzydliwe „Śnieżki”.

Tym razem broniąca mnie córka przesadziła.

- Cóż to za absurdalny pomysł, dziecko - odpowiedziałam jej. - Ja tylko wspieram tatę w pracy, wcześniej redagowałam zawodowo teksty w wydawnictwie, teraz redaguję je w domu. Skąd taki pomysł? Kto w ogóle chciałby coś takiego robić?

Spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

- Ty.

- Ja? Po co miałabym to robić?

- Nie mam pojęcia.

- To, co mówisz, nie trzyma się kupy, panienko, i jest nieprawdą. Twój ojciec to utalentowany pisarz.

Z kolei Susannah zdawała się w ogóle niczym nie przejmować. Książki ojca zupełnie jej nie interesowały i nie stanowiło dla niej różnicy, czy pisał je ojciec czy złotodziób z warsztatów literackich podrzędnego college'u w Iowa. Trzymała się od tego z dala. Gratulowała mu za każdym razem, gdy w księgarniach pojawiała się kolejna książka, rzadko jednak przejawiając bliższe zainteresowanie którąkolwiek z nich. Nie czytała ich, jestem tego pewna, choć brała do swojego pokoju i udawała, że czyta.

David natomiast literatura porywała; do tego stopnia, że gdy chodził jeszcze do szkoły, nieraz po przeczytaniu książki nie mógł zasnąć. Dręczyły go potem koszmary i zrywał się wystraszony w środku nocy. Nigdy nie pytał o książki Joego, nigdy nie dawał mi odczuć, że coś podejrzewa, ale prędzej czy później musiało to z niego wyjść. Wyszło tamtego feralnego wieczoru, kiedy pojechałam na „czwartek literacki” do Lois Ackerman. Potworny wieczór, potworny. W tym samym czasie, kiedy siedziałam beztrwosko wśród koleżanek i opowiadałam coś na temat Henry'ego Jamesa i jego struktury narracyjnej, w naszym domu David schodził cicho po schodach do salonu, gdzie jego ojciec, ze słuchawkami na uszach, słuchał jazzu. David mieszkał wtedy u nas przez kilka dni, ponieważ woda zalała jego mieszkanie. Po chwili Joe poczuł na gardle chłód kuchennego noża. Szarpnął się jak oparzony.

- Nie ruszaj się, tłusty capie! - warknął David za jego plecami.

- David? - Joe był odrętwiały z zaskoczenia. — Czego chcesz?
- Żebyś się przyznał do tego, co zrobiłeś.
- A co niby takiego zrobiłem?
- Dobrze wiesz co.
- Nie jestem idealnym ojcem, wiem, przepraszam...
- Nie mnie, tylko mamie! - przerwał mu David.
- Mamie? Przecież nic jej nie zrobiłem, jest na „czwartku literackim”.

- Nic nie zrobiłeś? - wściekał się David. - Traktujesz ją jak niewolnika. Od dwudziestu lat służy ci jako wół roboczy.

- Co?! David, to nonsens, daj spokój. Nie wiem, o co ci chodzi. Twoja mama jest zadowolona z życia.

- Mama tylko myśli, że jest zadowolona. Wystrychnąłeś ją na dudka, cwaniaku.

Joe zmienił nagle ton na bardziej płaczący.

- David, jesteś moim synem, kocham cię - mówił. - Pamiętasz, jak jeździliśmy na wycieczki? W góry Cardigan? Pamiętasz, jak odkryliśmy strumyk pełen małych rybek, a ty chciałeś, żebyśmy je policzyli? - David ani drgnął. - Wiesz co? - Joemu wpadł pomysł do głowy. — Zadzwonimy teraz do mamy i poprosimy, żeby do nas przyjechała, co ty na to?

- Zadzwoń.

I zadzwonił. Choć nie wiedziałam, co się stało, to drżący głos Joego wzbudził we mnie taki lęk, że natychmiast się ubrałam i wróciłam do domu. Joe i David przechadzali się po salonie w złowrogim milczeniu, obrzucając się z dala nieufnymi spojrzzeniami. David wciąż trzymał w ręku kuchenny nóż, choć już daleko od gardła Joego. Joe robił dobrą minę do złej gry. Przyjął postawę dobrego, trochę niedoskonałego tatusia, jednak otwartego i rozumiejącego wszystko.

- Co się dzieje, synku!? - Zobaczyłam w jego dłoni nóż.

Stał wściekły, mokry od potu, zmieniony nie do poznania - nasz syn, którego jeszcze nie tak dawno odwoziliśmy do Wesleyan samochodem wyładowanym torbami i pudłami, z zapasową pościelą w bagażniku i niewielką lodówką, którą David za-

mierzał zapełnić puszkami coli i piwa, masłem orzechowym, mlekiem i innymi produktami niezbędnymi w życiu studenta pierwszego toku, ale która stała pusta, ze smutnie otwartymi na oścież drzwiami, jak okradziony sejf.

— Zapytaj jego. - David wskazał na ojca.

— Chciał mnie zabić — wyburczał Joe. - Przytknął mi nóż do gardła!

— Oddaj mi nóż - powiedziała odruchowo do Davida. — To mój dobry, kuchenny nóż. Z kompletu. Nie chcę, żeby się zniszczył. - Mówiłam bez sensu, improwizowałam, ale ku mojemu zdumieniu David bez słowa podał nóż. - Dziękuję. Możemy teraz usiąść i porozmawiać?

Usiedliśmy przy stoliku w salonie, pod rzędem grafik Audubona, z których z zaciekawieniem spoglądały na nas dzikie ptaszyska. Pierwszy odezwał się David.

- Zawsze wiedziałem, że ojciec to potwór. Kawał kutasa, który na dodatek nieźle potrafi kutasem wywijać. Do jasnej cholery, przecież zrobił sobie z ciebie służącą!

Joe zerwał się na nogi.

— Nie mam zamiaru wysłuchiwać takich bredni! - krzyknął. - To kompletny nonsens! - Spojrzał na mnie błagalnym wzrokiem. Mileczałam.

— Co on sobie w tej łepetynie ubzdurał? Baniałuki! - Unosił się Joe. — Joan, powiedz coś wreszcie.

— Tak, to nonsens - powiedziała.

David spojrzął na mnie z niedowierzaniem spod spuszczonej powiek, pragnąc prawdy i ufając, że uzyska ją tylko ode mnie. Kiedy skinieniem głowy potwierdziłam, jakby odetchnął.

— To zupełny nonsens, Davidzie. Nie jestem służącą taty. Jestem jego żoną. Jestem jego partnerką w życiu, jak bywa w wielu innych małżeństwach.

To brzmiało w moich uszach nedorzecznie, wypowiadałam te słowa i czułam, że sama mówię brednie. Ale co miałam zrobić? Wszystko wyśpiewać dziecku - od początku do końca? Usprawiedliwić w ten sposób jego karygodny wybuch złości?

Nie mogłam. Byłam jego matką. Choć David był dorosły, to wciąż niedojrzały i wrażliwy. Należało chronić go przed jego własnymi lękami. On sam na to liczył.

- Nie piszesz mu książek? — zapytał.

- Nie - odpowiedziałam bez zająknięcia. - Oczywiście, że nie.

- Nie wierzę ci. — Nie powiedział tego z pełnym przekonaniem.

Wciąż patrzył na mnie zagubionym wzrokiem, czekał na ostateczne rozstrzygnięcie, na wskazówki, na pomoc.

- Nie wiem, jak miałabym cię przekonać - powiedziałam łagodnym głosem. - Jesteś już dorosły, sam wiesz, w co wierzyć, a w co nie.

Wyglądał, jakby miał się zaraz rozpłakać. Ujęłam wówczas w dłoń jego głowę - głowę wypełnioną tysiącem komiksowych obrazków w ciemnych ramkach, skreślonych ostrą kreską rysownika, opatrzonych chmurkami z dialogiem, i przytuliłam ją mocno do piersi, ciepłej i błogiej, którą kobiety na całym świecie krzepią mężczyzn i dzieci.

- Nie musisz się o mnie martwić, Davidzie - zapewniłam. - Nikt mną nie rządzi.

David nie rozumiał, że wczesne lata naszego małżeństwa były znośne. Więcej nawet; były wspaniałe. Bawiliśmy się świetnie. Recenzje wprawiały mnie w stan euforii. Ukrywałam swój talent, a tajemnica potęgowała tylko całą przyjemność. Joe był dla mnie bardzo serdeczny i bardzo kochający, a ponieważ nie odstępował mnie przez cały czas powstawania każdej nowej powieści, to w pewnym sensie rzeczywiście czuł się ich pełnoprawnym, a może nawet jedynym autorem. Musiał w to jakoś uwierzyć, bo w przeciwnym razie jego życie zamieniłoby się w piekło. Zdarzało się, że Joe całą noc krążył po domu jak niespokojny duch, wypalał paczkę papierosów, zamartwiał się, budził mnie i mówił, że „to nie w porządku, że tak nie powinno być”. Nigdy jednak nie nazywał rzeczy po imieniu. Czynił tylko aluzje, mówił szeptem, jakby nasze mieszkanie było na podsłuchu. A ja uspokajałam *go* wyrwana ze snu. Zdejmowałam

z niego brzemień niepewności, zapominając niebawem, że to ja, nie on, byłam osobą, która czuje coraz większą niepewność i którą trzeba wesprzeć na duchu.

Porwał nas wir, szybko i niedostrzegalnie. Po jakimś czasie nie widzieliśmy już nic dziwnego w tym, że siedzimy zamknięci w pokoju, ja przy maszynie do pisania, on na łóżku, a potem, ja przy komputerze, nowym Macintoshu z przymilnie uśmiechniętym jabłuszkiem, a on na dywanie, gdzie ćwiczy mięśnie brzucha na „abdomenizerze”, rozpaczliwie usiłując pomniejszyć jego rozmiary.

Wkrótce jednak w tym solidnym murze zaczęły się pojawiać rysy. Joe zaczął oszukiwać w sposób oczywisty. Walka z obwisłym brzuchem wcale nie była staczana dla mnie, lecz dla innych kobiet. Joe wcześniej zaczął mnie zdradzać, krótko po wydaniu pierwszej książki, choć oczywiście wówczas o tym nie wiedziałam. Nawet się nie domyślałam. W ogóle nie przychodziło mi to do głowy, bo czułam, że po tym, co dla niego robię i co nas łączy, mogę się spodziewać uczciwości.

Ale oto niepełna lista romansów Joego:

Melinda, opiekunka naszych dzieci.

Brenda, prostytutka.

Parę kobiet przygodnie poznanych podczas odczytów w różnych zakątkach kraju.

Merry Cheslin.

Dwie redaktorki o takim samym imieniu Jennifer (co za zbieg okoliczności).

Żarliwa wielbicielka jego książek i niestrudzona korespondentka, która odbyła daleką pielgrzymkę na jedno z jego spotkań z czytelnikami.

Dziewczyna ze sklepu z przyprawami w Chinatown.

Producentka filmowa, której ekranizacja *Nadgodzin* w 1976 roku, z Jamesem Caanem i Jacqueline Bisset w rolach głównych, okazała się wielką klapą.

Udawałam, że nic nie widzę. Nigdy nie zdarzyło mi się przyprzeć go do ściany i powiedzieć ostro: „Opanuj się, Joe!”

Opanuj się. Ale oni, mężczyźni, nie potrafili się przecież opanować, prawda? A może potrafili, tylko nie wymagamy tego od nich? Co patę lat dochodziło do rozmów. Próbowałam przemawiać mu do rozumu, przedstawiałam dowody albo domysły i stawiałam żądania, a on tłumaczył coś pojednawczo, czasem przepraszającym tonem. Umiał też wyprzeć się wszystkiego i zrobić z siebie ofiarę, twierdząc, że zmyślam i wyobrażam sobie Bóg wie co. Wówczas wycofywałam się, zawieszając rozmowę w próżni. Co, jeśli odejdzie? Nie chciałam tego. Po co przemowy i lamenty, skoro i tak się nie zmieni?

- Znajdź sobie kochanka! - radziła mi Laura.

Po rozwodzie Laura cieszyła się życiem. Często sypiała z przypadkowo poznanymi mężczyznami. Czuła się szczęśliwa i wolna, dopóki nie złapała opryszczki od jakiegoś urbanisty. Ale mnie zupełnie to nie pociągało. Jeden Joe to już było dla mnie za wiele.

Większość *mężczyzn tego* pokolenia sypiała z kobietami, które nie były ich żonami. Skoki w bok mieściły się w towarzyskim konwenansie. Ba, wręcz taki był wymóg, przynajmniej wtedy, gdy byli młodymi mężami. Jeśli byłeś mężczyzną, to ciężko pracowałeś i zginałeś kark nad klawiaturą w męczącej pozycji. Potrzebowałeś więc odpoczynku, rozrywki i kobiet, jak partii ping-ponga, pokera czy kąpieli w chłodnym strumyku. Przykro nam, żonki, ale rozumiecie, nie, wy tego nigdy nie rozumiecie, nawet nie ma sensu, żebyśmy my, mężowie, cokolwiek wam tłumaczyli. Lepiej nic nie mówcie. Patrząc perspektywnie, szkoda, jaką ponosi nasze małżeństwo, jest doprawdy niczym wobec szkód, jakie ponieśliśmy, gdybyśmy rzeczywiście mieli się opanowywać i trzymać na uwierzy nasze rozszałałe popędy.

Przy pisaniu książek Joe porrafił przytoczyć najpiquantniejsze szczegóły spotkania we dwoje. Udawaliśmy przed sobą, że to tylko fantazje niespokojnego, nie mogącego spać mężczyzny o bardzo bujnej wyobraźni.

— Słuchaj, a gdyby ten mąż - mówił o postaci jednej z książek - miał romans z prostą dziewczyną ze sklepu z przyprawami w Chinatown? Ona mu sprzedaje anyż, on do niej przychodzi co dzień...

— Dobra — godziłam się. — Opowiadaj.

I opowiadał, dlaczego i co może czuć taki mężczyzna słabego charakteru, postać, którą konstruowaliśmy do książki. A potem, siedząc nad maszyną z kamienną twarzą, przekładałam te opowieści na język literacki, nie oceniając ich, lecz ubierając je w burzę namiętnych słów, które przychodziły mi do głowy nie wiadomo skąd (kto to mógł wiedzieć: z moich doświadczeń, wiedzy, układu nerwowego, płatu mózgowego podłączonego do wyobraźni?).

On siedział na łóżku, patrzył, jak piszę, wsłuchiwał się w srukot klawiszy, w ich równy rytm, kiwając do taktu głową, jakbym grała jazz. Kochał mnie bardzo, niezależnie od wszystkiego. Jego wdzięczność wyczuwałam o każdej porze dnia, o każdej godzinie, przynajmniej przez pewien czas. Byłam jego drugą połową, jego lepszą połową, i nie było w tamtych latach dnia, w którym nie dawałby mi tego odczuć.

Ściany w prezydenckim apartamencie hotelu InterContinental w Helsinkach są solidne, być może nawet specjalnie grube, ale z pewnością nie na tyle, by mogły zagłuszyć kłótnię, jaka wybuchła między mną i Joem w tych wspaniałych pokojach. Goście pod nami musieli słyszeć krzyki o świcie, choć najprawdopodobniej mało z nich rozumieli, bo słowa wyrzywały nam się gwałtownymi, gniewnymi erupcjami, w bardzo niepodręcznikowym angielskim.

Już wyszliśmy z sauny. Staliśmy w sypialni, czerwoni i mokrzy od gorąca. On owinięty w pasie ręcznikiem, a ja w prześiąkniętej potem i parą koszuli nocnej.

— Skoro rzeczywiście było ci tak źle, tak bardzo źle, że chcesz separacji - mówił - to trzeba było przyjść i powiedzieć: „Joe, nie wytrzymam dłużej”. Coś bym wymyślił.

- Ciekawe, co byś wymyślił, hm?

- Nie wiem — zachnął się dotknięty. — Ale jesteśmy małżeństwem, Joan. Czy to jest bez znaczenia? Mamy dzieci, kochane wnuki, inwestycje w nieruchomościach, ubezpieczenie na życie i pierwszorzędny plan emerytalny. I mamy starych, dobrych przyjaciół, którzy niedługo zaczną odchodzić, a ty gdzie wtedy będziesz? Gdzie, Joan? Zamieszkaż sama w jakimś pokoiku? Uparta, ale dzielna? Na tym ci zależy? To ma przynieść ci szczęście? Jakoś trudno mi w to uwierzyć! - Starał się odwieść mnie od tej decyzji; błagał, czym wprowadził mnie w autentyczne zdumienie, bo czynił to rzadko. - Małżeństwo to związek dwojga ludzi, to umowa zawarta między nimi — ciągnął dalej już spokojniejszym tonem. — To handel wymienny, ty brałaś, ja brałem, być może rzeczywiście ktoś wziął za dużo.

- Na pewno ktoś wziął za dużo — wpadłam w słowo. — To była najgorsza umowa w świecie, a ja ją podpisałam. Powinłam była ciągnąć studia, własną pracę, powinienam była czekać, nie śpieszyć się, zobaczyć, jak zmienia się świat. Ale świat nie zmienia się wiele. Wszyscy są zafascynowani wewnętrznym życiem mężczyzn. Także kobiety. Mężczyźni wygrywają, są górą, najwyżej okazują łaskawość. Mają władzę. Mają wszystko. Rozejrzyj się, włącz telewizor, masz Kongres i morze facetów, z przekrzywionymi krawatami i nie uczesaną szopą na głowie...

- Joan — przerwał mi — nie jestem przecież złym człowiekiem...

- Nie jesteś złym człowiekiem. Jesteś wielkim dzieckiem!
Kiwnął boleśnie głową.

- To pewnie prawda. - Zamyślił się, a po chwili podniósł głowę. - Nie chcę być sam - powiedział cicho. - Nie teraz, w tym punkcie życia. Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak by to miało być...

Ale ja wiedziałam, że Joe potrafi o siebie zadbać, że da sobie radę, nawet jeśli będzie musiał odżywiać się szynką z puszki, krążkami serków „Brie” i tłustym gulaszem w winie. Przecież będą jeszcze obiady i lunche z wydawcą albo agentem. Będą

kolejne nagrody, bankiety i uroczyste kolacje. Nie będzie też potrzebował mojej cielesnej bliskości, bo wciąż będą się przy nim pojawiać młodsze kobiety, które z drzeniem serca położą się na jego oklapłym brzuchu i zapadłej klatce piersiowej. Potrzebował mnie tylko przy komputerze, z głową nad klawiaturą, z palcami na klawiaturze.

— To koniec, Joe - usłyszałam własny głos. - Szybko się przyzwyczaisz do życia w pojedynkę. Ja w każdym razie przyzwyczaiłam się bardzo szybko. — Po tych słowach dodałam już bez złości: - Dasz sobie radę, Joe.

Siedział na łóżku. Opierał się plecami o poduszkę, jakby trochę zrezygnowany, jakby zaczynał wreszcie dopuszczać do siebie myśl, że rzeczywiście zostawię go po powrocie do Weathermill, że to nie jest babska histeria.

— Pozwól, że zapytam cię o jedną rzecz — odezwał się po dłuższej chwili. - Co dokładnie powiedziałaś Nathanielowi Bone'owi?

— Nic, czego mógłbyś się obawiać — zapewniłam.

— To dobrze. — Spojrzał na mnie. — Myślałem, że powiedziałaś mu coś, czego już nie będzie można cofnąć.

Zapadła dłuższa cisza. Trochę ochłonęliśmy. Zastanawiałam się, co dobrego przyniesie rozłąka. Czy Joe w ogóle zauważy, że nie ma mnie obok? Nie wyda już żadnej książki. I co z tego? Wydał już dość książek. W Helsinkach otrzymał nagrodę, która niesie wyraźne przesłanie: „Wykonałeś kawał naprawdę dobrej roboty, dziękujemy ci za to, teraz możesz odpocząć”. Być może zrozumiał w końcu, że to najlepsze rozwiązanie; usunąć się właśnie teraz. Przyjmowanie od świata kolejnych honorów byłoby tylko próżną zachłannością. Zauważyłam, że nawet teraz Joe czuł się zdeprymowany helsińską nagrodą. Być może to miał na myśli, kiedy prosił, bym się zastanowiła, dlaczego nie chciał jechać do Finlandii razem z Susannah i Alice. To była wielka nagroda, zbyt wielka, by mógł spokojnie spojrzeć córkom w oczy. Czułby, jak pali go wstyd.

Może zawsze czuł trochę wstydu. Nigdy jednak dość, by co-

kolwiek zmienić, ani wcześniej, ani teraz. Nie było go stać na zmianę. Chciał trwać ze mną u boku do końca świata.

- Wiesz, myślę jednak, że powinnam powiedzieć Bone'owi — powiedziałam z namysłem.

- Co? — Joe był zaskoczony. — Joan, nie zapominaj, że jestem już starym, zmęczonym człowiekiem. Nie jestem twoim wrogiem. To tylko ja.

Przypomniał mi się młody Joe, smukły i przystojny, z bujną, czarną czupryną i włoskami na piersi, i po raz kolejny zdziwiłam się, jak czas go zmienił, jak Joe się rozpał i rozrósł, a ja mu w tym dopomogłam. Stał się słodki i miękki jak jego „Śnieżki”. Ja zresztą też. Słodkie było też nasze wspólne życie, które po prostu już się dopełniło.

- Tak, Bone powinien poznać prawdę.

Wstałam i przeszłam do garderoby. Ubierałam się w postanowieniu, że spotkam się z Nathaniłem. Chciałam iść do niego już teraz, nad ranem. Zapukam do drzwi jego pokoju, wyrwę go ze snu i zanim się zorientuje, co się dzieje, zacznę o wszystkim opowiadać.

Wyciągałam z szuflady stanik, kiedy Joe położył mi dłoń na ramieniu i obrócił do siebie.

- Daj spokój - powiedział cicho. - To szaleństwo. Nie każ nam przez to przechodzić. Nie zrobisz tego. Grasz przede mną i znakomicie ci się to udaje.

- Przestań - szarpnęłam się, drżącymi palcami zapinając stanik na plecach. - Bone mieszka na szóstym piętrze, podał mi numer pokoju. Pójdę do niego, poproszę o drinka, powiem, żeby przygotował notatnik, i wszystko opowiem. Wiesz dlaczego? Bo nie mam już siły być człowiekiem, którego nienawidzę. *Jestem* pisarką, Joe, bardzo dobrą pisarką! Wiedziałeś o tym? To ja zdobyłam Helsińską Nagrodę Literacką.

Tego już nie mógł znieść. Kiedy mijałam go, wychodząc z garderoby, pchnął mnie na szafę. Jasne, twarde jak kamień drewno jęknęło, ale ani drgnęło. Meble w prezydenckim apartamencie zrobione były iście po królewsku, dla ludzi, którzy lubi-

li meble ciężkie i stabilne, wrośnięte w pokój jak drzewa w lesie. Odepchnęłam go ze łzami w oczach, obiema rękami, nie mocno, jak mała, bezbronna dziewczynka.

Upadł na łóżko i nagle jego ręce uniosły się w charakterystycznym odruchu, zacisnął szczęki i wydusił z siebie: „O kurde... Joan”.

Wszysrko srało się tak, jak w restauracji „Pod Złamanym Krabem”; te same zaciśnięte usta, to samo słowo, to samo staccato, te same przymknięte oczy. Atak serca.

- Joe! Co ci jest? — zawołałam.

Nie reagował.

- Na pomoc! - krzyknęłam. - Na pomoc!

Nie umiałam jednak wydobyć z siebie pełnego głosu, a pokój zdawał mi się nieprzeniknioną fortecą.

- Spokojnie, spokojnie, zaraz wezwę pomoc - mówiłam do niego.

Podbiegłam do telefonu i wykręciłam numer recepcji. Usłyszałam w słuchawce spokojny, europejski sygnał telefoniczny, a potem czyjś uprzejmy głos. Krzyczałam. Osoba po drugiej stronie uspokajała mnie cichym, zrównoważonym głosem. Wiedziałam już, że za kilka minut pojawią się sanitariusze, że zrobią mu sztuczne oddychanie, podadzą tlen, wtłoczą w niego swoje mroźne, północne powietrze. Jednak do tego czasu byłam tu sama i sama musiałam zrobić sztuczne oddychanie, bo zdawało mi się, że Joe nie oddycha. Przez sekundę nie wiedziałam, co robić, zbyt przerażona, by myśleć racjonalnie. Uklęłam przy nim, jak Lev Bresner wówczas w restauracji, położyłam dłonie na jego klatce piersiowej, ucisnęłam kilkakrotnie z całych sił, a potem przyłożyłam usta do jego ust i zaczęłam wdmuchiwać w niego swój oddech.

W sytuacjach zagrożenia kobieta czy mężczyzna unosi podbródek ofiary i odchyła jej głowę, sprawdza palcem drożność jamy ustnej i wdmuchuje swój oddech w słabe płuca. Gorączkowo próbuje przywołać z pamięci kolejne czynności wyłożone w instruktażach pierwszej pomocy - instruktażach życia i śmier-

ci. Nie pamiętałam jednak nic z rzeczy, o których czytałam dawno, bardzo dawno temu. Więc po prostu uciskałam klatkę piersiową i wdmuchiwałam powietrze w płuca.

Jakbyśmy porozumiewali się jakimś dziwnym językiem, odbywali jakiś rytuał, niczym Eskimosi, którzy według dzieci całują się, pocierając sobie nawzajem nosy. Tak robiły moje córki, stojąc blisko siebie, kręcąc wolno głowami, muskając się czubkami nosa, czując ciepły dotyk i dreszcz, jaki towarzyszy nawet lekkiemu zetknięciu się dwóch ciał. Siedziałam nad Joem, podtrzymywałam jego odchyloną głowę, nasze otwarte usta łączyły się raz po raz — tak mąż i żona żegnają się po latach małżeńskiego pożycia.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Umieranie na obcej ziemi podobne jest do narodzin; taki sam zamęt, wrzawa, niezrozumiały język, bieganina, hałas, a w środku tego chaosu osoba, na której skupia się cała uwaga. Niemordowani Finowie zajmowali się nim bez wytchnienia, a ja, choć Joe nie dawał żadnych znaków życia, trzymałam go za rękę i powtarzałam, że będzie żył. Ktoś nałożył mu na twarz maskę tlenową, jego ciemne oczy zasnuwała delikatna mgła, przytuliłam jego głowę, chciałam przygarnąć go do siebie, przytrzymać, nie pozwolić odejść.

Zgon stwierdzono dopiero na oddziale intensywnej opieki w pobliskim szpitalu Loviso, gdzie młody lekarz, kojarzący mi się z jakąś drugoplanową postacią jednej ze sztuk Ibsena, wyjął z uszu drżące jak paproć słuchawki stetoskopu i powiedział, patrząc mi w oczy: „Niestety, pani Castleman, to koniec”.

To był wstrząs. Nie umiałam wydobyć z siebie słowa. Z jakimś obcym łkaniem padłam na piersi Joego. Lekarz nie powstrzymywał mnie. Dopiero sama, po bardzo długim czasie, powoli się wyprostowałam. Joe leżał na kozetce opleciony kablami. Wielki Guliwer, nieruchomy, drzemiący, potężny, z innego świata. Nie mogłam znieść tego widoku. Tak rozdzierającego. Martwy człowiek jest taki pusty; wszystko z niego uchodzi, ubywa i znika. Wszystko, co w nim było lub wydawało się, że było. Po chwili weszły dwie pielęgniarki i bez słowa zaczęły odłączać Joego od aparatury. Słyszałam głucho cmoknięcia zrywanych z ciała gumowych przyssawek. Usiadłam na krześle obok Joego, bojąc się go dotknąć. Jego ciało wydało mi się takie wiotkie, kruche, pokryte teraz siecią nachodzących na sie-

bie, różowych placków po przyssawkach. Trwaliśmy tak przez kilka dobrych minut. Obok siebie. Zrezygnowani. Beznadziejnie samotni, jak przez długie lata naszego małżeństwa.

Następnego dnia, kiedy już załatwiono formalności związane ze zgonem, kiedy oczy tak spuchły mi od płaczu, że ledwie mogłam unieść powieki, kiedy minęła reszta nocy, dobrze przespaliśmy, bo jeszcze w szpitalu lekarze podsunęli mi małe, niebieskie pigułki na sen, wyjechałam z Finlandii na zawsze. Ciało Joego, złożone w metalowej trumnie, przeznaczonej do transportu lotniczego, spoczęło w luku bagażowym. Na helsińskie lotnisko Vantaa odprowadziło mnie paru zdruzgotanych członków Fińskiej Akademii, choć mówiłam, że nie jest to konieczne, bo byłam z grupą osób z wydawnictwa i agencji literackiej. Wydawało się, że nikt nie ma odwagi zamienić ze mną słowa. Irwin Clay, agent Joego, unikał nawet mojego wzroku. Zaprowadzono mnie do pustego pomieszczenia dla VIP-ów i załatwiono, bym mogła dostać się na pokład samolotu bocznym wyjściem, unikając gromadzących się w holu nielicznych fotoreporterów. Kiedy zęgnąłam się z członkami Akademii, Teuvo Halonen, nie wypowiedziawszy słowa, nagle się rozpłakał. Ktoś odciągnął go na bok, by oszczędzić mi dodatkowych wzruszeń.

W samolocie usiadła obok mnie pani Kirsri Salonen, uroczą członkini Akademii, o bardzo poważnej i niemłodej już twarzy. Miała mi towarzyszyć do Nowego Jorku, mimo moich zapewnień, że to niepotrzebne. Gdybym nie chciała być sama, mogłabym usiąść przy Irwinie. Jednak władze Akademii postanowiły oddelegować kogoś do podróży i, prawdę mówiąc, w głębi duszy byłam im za to wdzięczna. Pani Salonen głąskała mnie po dłoni i ciepłym rodzicielskim tonem szeptała słowa pocieszenia. Mówiła, jak ważne jest teraz, bym myślała o sobie, bym nie odmawiała sobie dobrych rzeczy i abym nie odmawiała tym, którzy chcą dla mnie zrobić coś dobrego. Słyszałam jeszcze, jak mówi coś o Bożej opiece i o tym, że powinnam spróbować się zdrzemnąć.

— Pani Salonen, mogę pani zadać osobiste pytanie? - zapytałam raptem, a ona przytaknęła przyzwalająco. — Czy pani jest mężatką?

- Ależ tak - odpowiedziała. - Niedawno świętowaliśmy z mężem dwudziestą siódmą rocznicę ślubu. - Sięgnęła do torebki i wydobyła fotografię wysokiego, chudego jak szczapa mężczyzny, w koszuli z krótkim rękawem i armią długopisów zatkniętych za przednią kieszeń. - Ma na imię Erik, jest chemikiem - objaśniała pani Salonen. — Pogodny i nadzwyczaj zgodliwy czterdziolatek. Mamy w Turku letniskowy domek, w którym spędzamy weekendy.

Czy zostanie pani moją żoną, pani Salonen? - miałam ochotę ją zapytać. Czy zaopiekuje się mną pani, jak Erikiem, swoim mężem chemikiem?

Byłam dobrą żoną, przez większość czasu. Joe nie mógł narzekać. Był zadbany, miał wszelkie wygody, mógł się czuć bezpiecznie, zawsze otoczony przez ludzi, rozprawiający o czymś zapamiętane, gestykulujący, wyczyniający niesłychane rzeczy z kobietami. Jadał dobrze i drogo, dużo pił, czytał do woli, kochał książki, zostawiał je otwarte grzbietem do góry, łamiąc im te grzbiety z nadmiaru miłości. Wieczorami i popołudniami opowiadał mi historie, których doświadczył, które dostrzegł albo które po prostu przyszły mu do głowy. Ja je spisywałam i chowałam w segregatorach. Gdy nadchodził czas, sięgałam do nich i je wykorzystywałam. W ten sposób pozwalałam, by anegdota najpierw ostygła i okrzepła, by z wolna przemieniła się w nowe frazy, w coś mojego, ale w jakiejś części także jego. To od samego początku nie było uczciwe. Z pewnością nie. Ale mi nie zależało na uczciwości.

Spać. Na tym teraz mi zależało. Przede mną długa podróż do domu. Opuściłam oparcie fotela, ułożyłam wygodnie głowę, zamknęłam oczy i pomyślałam o Joem, jak był dzieckiem i stał nad grobem ojca na pogrzebie. Z chwilą tej śmierci coś się w nim załamało, coś, czego nigdy już nie udało się odtworzyć. Może była to tylko wymówka? Wielu młodych chłopców traci ojca,

a wyrasta na dobrych pisarzy i potrafi napisać znakomitą prozę. Joe nie potrafił. Brakowało mu talentu, daru natury, którego nikt nie był w stanie w nim zaszcześcić, którego nie można poddać implantacji, jak mikrochipa, endoprotezy, zastawki serca, cudu.

Nagle pojawiła się przy moim fotelu stewardesa - ta sama ponętna brunetka, która towarzyszyła nam w drodze do Finlandii, ta sama, której bujne piersi falowały Joemu przed oczami, kiedy częstowała nas ciasteczkami z koszyka, ta sama, która wyzwoliła w nim roznamiętnione spojrzenia. Czy uratowałyby go, gdyby przy niej umierał? Kobiety pociągały go zawsze, a jednocześnie niemal nie interesowały. Intrygująca rozbieżność potrzeb, która powodowała tylko krótką erekcję, wypełniała go tylko gorącym powietrzem jak balon, wypełniała go chwilową potrzebą zdobycia kobiety, a także potrzebą, by od kobiety uciec, w wielki świat, gdzie mógłby chodzić i rozmyślać o sprawach, bez których mężczyźni tacy jak Joe Castleman nie potrafią żyć: to świat krwistego steku smażonego na cebulce, leśnego zapachu jednosłodowej whisky i niezwyklej doskonałości opowiadania, napisanego przed stu laty przez pewnego geniusza z Dublina.

— Tak mi przykro z powodu śmierci pani męża, pani Castleman — powiedziała smutno brunetka, kładąc przede mną tackę z kanapkami, a ja podziękowałam jej uprzejmie.

Zjadłyśmy z panią Kirsti Salonen ciągnące się bułki. Potem podano nam obiad, który także zjadłyśmy. Potem wypiliśmy czerwone wino i znowu ułożyłyśmy się wygodnie w fotelach.

Mijały godziny i przyszedł czas, kiedy pasażer lotu transatlantyckiego nieuchronnie zapada w płytki sen. Oczy płasają pod powiekami, a w głowach spuszczonej na pierś lub odchylo-nych do tyłu nie jawi się żaden obraz senny. Pani Salonen spała obok mnie, jej skroń niemal dotykała mojego ramienia, jakbyśmy były zakochaną parą przemierzającą ocean. Z pewnością czułaby się zmieszana, gdyby wiedziała, jak jest blisko mnie, i odsunęłaby się szybko ze słowami przeprosin. Ja zaś wiedziałabym, że nawet pod warstwą konwenansu i grzeczności kryje się silne dążenie ku miłości.

Gdyby żył Joe, nie spałby. Siedziałyby obok mnie rozbudzony i znużony. Jego palce dotykałyby miękkich poręczy fotela. Ja drzemałabym, on czuwałby. Byłby strażnikiem. Przypomniało mi się, jak na pierwszych zajęciach w Smith College Joe czytał na głos fragment *Zmarłych*, tak ptzejmujący, że odejmował mocę każdemu, kto go przeczytał lub wysłuchał. Któż mógł tak pisać, do diabła? Żadne z nas. Nawet nie warto było próbować. Kręciliśmy tylko w zachwycie głowami. Potem rozmawialiśmy parę razy i coś między nami zaiskrzyło. Spotkaliśmy się w mieszkaniu profesora Tanaki, w jego łóżku, i zaczęło się życie. Bezszelестnie zaniosło nas aż tutaj, na najwyższy punkt, może najniższy - do kresu.

Wszystkie światła nad pasażerami były wygaszone oprócz mojego. Rzuciła żółtą smugę na moje kolana i ramiona, i brzeg włosów pani Salonen. Ogarniała mnie coraz większa senność. Zasypiałam, gdy wyczułam, że ktoś obok mnie stoi i coś do mnie mówi.

-Joan.

Spojrzałam w górę i ze zdziwieniem zobaczyłam Nathaniela Bone'a. Jego podróż do Finlandii także się skończyła.

— O, Nathaniel — powiedziała zaskoczona. — Nie wiedziałam, że lecimy tym samym samolotem.

-Tak. Siedzę z tyłu, w klasie ekonomicznej - wyjaśnił. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam, może wolisz być sama...

-Nie, nie. Nie przeszkadzasz.

-Wiesz... Joe... Wciąż nie mogę dojść do siebie. Chciałem napisać po powrocie list kondolencyjny, zacząłem już układać w głowie pierwsze zdania, ale... Jestem w szoku, wiesz, po prostu w szoku.

— Dziękuję.

Moja sąsiadka poruszyła się raptem, uniosła na chwilę cięższe powieki, westchnęła i odwróciła głowę. Spojrzałam na Nathaniela.

— Nie możemy tu rozmawiać — powiedziała. — Może przejdziemy do ciebie?

Pokiwał zachęcająco głową. Wstałam i ruszyłam za nim między rzędami, mijając kotarę w fiński deseń Marimekko, która oddzielała nielicznych pasażerów pierwszej klasy od pasażerów dużo większej klasy biznesowej. Wydawać by się mogło, że każdy, kto tu siedzi, to biznesmen; garnitury, rozpięte pod szyją guziki, poluzowane i odsunięte na bok krawaty, oczy w półprzymknięte, laptopy na półeczkach albo wciśnięte między kolana, niczym integralne części ciała. Przeszliśmy przez następną zasłonę, oddzielającą biznesmenów od dusznego i tłoczego przedziału klasy ekonomicznej. Większość okien była tu już zasłonięta blendami. Tylko gdzieś tam jaśniały wysepki wąskiego światła. Niekiedy cały rząd zajmowała jedna rodzina; dzieci coś chrupały, szeleściły torebkami chipsów, kręcili się w niewygodzie pod zmiętym kocem, ktoś krzyknął, a inne zakwili, tułone natychmiast przez matkę nucącą fińską kołysankę. Alejka między rzędami była zaśmiecona, jakby przeszedł nią tropikalny huragan. Najpierw nastąpiłam na jakąś gazetę i torebkę, a potem na kobiecy but.

Nathaniel miał miejsce w samym ogniu, w przedostatnim rzędzie. Jego towarzysz podróży spał w najlepsze, chrapiąc i zajmując część fotela Bone'a. Ponieważ wszystkie fotele w pobliżu były zajęte, stanęliśmy z tyłu, przy toalecie i metalowych wózkach z posiłkami.

- Będzie ktoś na ciebie czekał na lotnisku? - zapytał.

- Córki.

Jeszcze ze szpitala dzwoniłam do Susannah i Alice. Ich głosy, nawet z tak daleka, przy akompaniamencie zakłóceń na łączach, brzmiały niewypowiedzianie smutno. Przygnębiająco. „Och nie, mamo...”, mówiła Susannah, pociągając nosem. „O mój Boże”, łkała Alice, „tato...”

David nie odbierał telefonu. Nagrałam się na automatyczną sekretarkę (to jakiś cud, pomyślałam, że David ma automatyczną sekretarkę). Nie chciałam w taki sposób informować go o śmierci ojca, ale wolałam, żeby dowiedział się ode mnie, a nie od osób trzecich lub z mediów. Nie oddzwonił. Nie miałam

pojęcia, jak przyjął wiadomość; z obojętnością, refleksją, a może boleścią w sercu. Naprawdę nie umiałam tego odgadnąć.

- To dobrze. Nie będziesz musiała sama wracać do Weathermill — mówił Nathaniel.

- Tak.

Wyobraziłam sobie, jak Alice zacznie zaraz rządzić w domu, a Susannah zabierze się do zaprawiania konfitur z cytryn, po które nigdy nie sięgnę i które będą stały w spiżarni po wsze czasy. Ale przynajmniej nie będę sama. Obie zostaną na noc i będą spały w pokojach, w których się wychowały. Wrócą do domu jako dorosłe kobiety, za duże na stare, dziecięce łóżka. Zostawią na parę dni własne domy, by pomóc owdowiałej mamie i z dala od trosk znaleźć ukojenie po bólu, jaki niesie ze sobą strata rodzica.

Nocą, jeśli nie będę mogła zasnąć jak Joe, być może wyjdę z sypialni, stanę pod ich drzwiami i uspokoi mnie sam odgłos ich głębokich oddechów. To przecież moje córki, moje dzieci, moje i Joego, nasze wspólne, tak jak wspólne było wszystko inne: cały gigantyczny pchli targ nagromadzonych przez dziesiątki lat przedmiotów, jak w każdym małżeństwie.

— Byłem w księgarni naukowej, czekałem na ciebie, ale ciebie nie było. Zachodziłem w głowę, co się stało, gdy nagle usłyszałem, jak ktoś w księgarni rozmawia o Castlemanie i mówi, że nie żyje. Pomyślałem, że przecież to niemożliwe, i popędziłem do hotelu. Zapytałem w recepcji, czy to prawda, że Joseph Castleman nie żyje, no i... powiedzieli mi, że prawda. Nie mogłem w to uwierzyć. Zresztą wciąż nie mogę...

Bone z pewnością mówił szczerze, ale jednocześnie jakoś mało przekonująco. Przypomniałam sobie, że Joe nigdy go nie lubił, i zdałam sobie sprawę, że ja właściwie też nie. Nadszpeciłam przy byle okazji, przymilał się, zawsze był w pobliżu, jakby śledził każdy nasz ruch; niczym kot w witrynie księgarni, który przechadza się dumnie między książkami i raz po raz trąca je delikatnie ogonem. Joego nie zawiódł instynkt, kiedy zdecydował się nie upoważniać Bone'a do napisania swojej biografii.

Nathaniel czekał, co powiem, a ja nie miałam ochoty mówić.

To, co zaszło między mną a Joem, było moją sprawą, nie jego. Nie miałam zamiaru z nikim dzielić się tą historią, nie miałam zamiaru nikogo obdarowywać takim prezentem. To należało już wyłącznie do mnie. Mogłam zrobić z tym, co chciałam. Ale na pewno nie teraz. Joe zmarł, zostałam sama, to nagłe uderzenie wciąż bolało, musiałam żyć dalej.

Wiem, że talent nie znika jak kamfora, nie wyparowuje i nie odpływa w siną dal. Przede mną długie życie, może jeszcze wykorzystam swój talent. Mogłabym czerpać z tego, co przeżyliśmy z Joem i razem osiągnęliśmy. Stworzyłabym z tego może coś obłąkane-go, może pięknego, może pełnego miłości lub żalów - może nawet podpisałabym się pod tym własnym imieniem i nazwiskiem.

— Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy w „Złotej Kopule”? - odezwał się do Nathaniela. - Mówiłeś o Joem, o mnie i jego książkach, o tym, że w pierwszych opowiadaniach Joego nie widać cienia talentu, jaki się później objawił.

Bone ptyztaknął, jego długa dłoń drgnęła, uniosła się lekko, jakby prowadzony nagłym impulsem chciał w dziennikarskim odruchu sięgnąć po notes i ołówek. Powstrzymał się jednak i przeciągnął tylko ręką po włosach.

— Tak, pamiętam.

— Muszę ci więc powiedzieć, że twoje przypuszczenia mijają się z prawdą.

— Mijają...? - Zaskoczony zniżył głos i spojrzał na mnie twar-dym wzrokiem.

— Tak - potwierdziłam. - Mijają się z prawdą. Byłoby miło, gdybyś miał rację, gdybym potrafiła tak pisać. - Patrzył wciąż na mnie, kręcąc z niedowierzaniem głową. — Wodziłam cię wtedy za nos. Winna ci jestem przeprosiny... Przepraszam.

- Och, więc tak... - Oparł się o ścianę i zwiesił głowę, na powrót stając się całym sobą. — Rozumiem.

Westchnął i wzruszył ramionami, szybko wchłaniając tę falę rozczarowania, zostawiając ją za sobą. Znowu gotowy do akcji. Co prawda nie udało mu się osiągnąć tego, czego pragnął, ale przecież był w Finlandii w tym samym dniu, w którym

umarł tam Joseph Casrleman, a to wyczyn nie lada. Na pewno wyczaruje wspaniały finał książki, cytując przygodnych ludzi, z którymi się zetknął tego dnia; pielęgniarki w dziwnych i pofałdowanych czepkach, przestraszone pokojówki z hotelu, młodego lekarza z dramatu Ibsena, który zapewne poda mu dokładną przyczynę zgonu i opíše, jak wyglądał Joe w osratnich chwilach życia; te zaciśnięte wargi, tę bezradność starego człowieka o słabym sercu.

Nie miałam wątpliwości, że Nathaniel Bone przetrwa. On zawsze spadnie na cztery łapy i zawsze będzie szedł naprzód, wytrwale zbierając dostarczane mu ukradkiem informacje, wszędzie specjalnie traktowany i wpuszczany przez szeroko otwarte drzwi. Właściwie niczego już ode mnie nie potrzebował. Ale staliśmy obok siebie i czułam, że zanim wrócę na miejsce, powinien jeszcze coś usłyszeć.

— Wiesz, skoro tak ci zależy — powiedziałam — możesz liczyć na moją pomoc przy opracowywaniu archiwów. Na pewno będziesz mógł zamieścić w książce fragmenty kilku listów.

— To świetnie, dziękuję — odparł, ale już obojętnym, jakimś nieobecny głośm, jakby już myślał o czymś innym; może o tym, jak zaskakująca okazała się wyprawa do Finlandii, może o tym, że musi przestawić wskazówki zegarka na czas nowojorski, a może o ciepłych plecach kobiety, do których wkrótce będzie mógł się przytulić.

-1 powiem ci coś jeszcze.

Niektórzy pasażerowie poprawiali koce i poduszki, zaspani wierzili się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji, niczym szczeniaczki drzemiące w małych koszykach. Obok nas pojawiła się stewardesa, inna, nieznana, tym razem blondynka. Uśmiechając się, minęła nas z naręczem słuchawek w rękę i ruszyła między fotele, pytając, kto ma ochotę obejrzeć film. Samolot zadrżał nagle, zatrzęsło nim raz i drugi, ale po sekundzie wyrównał lot i wzbił się jeszcze wyżej nad światem.

- Joe był wspaniałym pisarzem — powiedziałam. — Zawsze będzie mi go brakowało.